

**GACEK**  **SZCZEPAŃSKA**



# DOGRYWKA

Bohaterki Zabójczego spadku uczuć powracają

*Ali-Baba*

 inbook.pl

nowy  świat

**GACEK  SZCZEPAŃSKA**

**DOGRYWKA**

## Główni BOHATEROWIE

### Beata

- sympatyczna blondynka lat trzydzieści trzy. Prywatnie czuła żona i matka. Służbowo, mimo braku predyspozycji, podwójna pani prezes. Resztki dawnego romantyzmu spaliła na stosie domowego ogniska. W efekcie dramatycznych przejść z pierwszym mężem - podejrzliwa aż do bólu, co nie ratuje jej niestety przed kolejnymi kłopotami. Panicznie boi się zdrady.

### Monika

- energiczna i wysportowana brunetka, najlepsza przyjaciółka Beaty. Zarówno w życiu codziennym, jak uczuciowym potrzebuje silnych bodźców. Za sprawą nowego mężczyzny przechodzi gwałtowną metamorfozę. Jej szafa również. Boi się tylko jednego: zmarszczek.

### Andrzej

- mąż Beaty, przystojny weterynarz. Mężczyzna życzliwy wszystkim, co przez niektórych bywa omylnie interpretowane. Nie boi się robienia nietypowych prezentów własnej żonie.

### Zbyszek

- ze zwykłego architekta awansował niespodziewanie na prezesa firmy deweloperskiej. Gdyby wiedział, jakie jeszcze staną przed nim wyzwania, uzbroidłby się nie tylko w cierpliwość. Ma wnuka, co ostatecznie komplikuje jego związek z Moniką. Boi się nieproszonych gości.

### Borys

- młodzieniec równie przystojny co pewny siebie. Uzależniony od adrenaliny. Za odpowiednią kwotę podejmie się każdego, nawet najbardziej nietypowego zadania. Boi się jedynie o swój motocykl.

### Jędrak

- aktywny dwulatek, syn Beaty. Ma blond loki, zniewalające spojrzenie i ogromną wiarę we własne możliwości. Nie boi się obcych.

### Marysia

- dziewczę bujne nie tylko młodością. Jako niańka charakteryzuje się wątpliwą przydatnością. Boi się, że wyleci z pracy. I słusznie.

### Justyna

- niańka zbyt idealna, żeby mogła być prawdziwa. Boi się, że coś pójdzie nie tak.

### Kurt

- dyrektor prosto z Berlina. Ma trzymać rękę na pulsie firmy, tylko jakby za mocno zaciska palce. Boi się szefa. Tajemniczy szatyn z rolexem - tajemniczy szatyn z rolexem. O jego lękach i obawach nie wiemy nic.

### Maciek

- miły, acz nieco gapowaty sekretarz Beaty. Ponieważ jego praca polega przede wszystkim na otwieraniu i zamykaniu drzwi do jej gabinetu, boi się przeciągów.

### Sprite

- karierę dozorca na budowie podjął z powodu kontuzji nogi, a nie podeszłego wieku. Lubi oglądać telewizję i wtykać nos w nie swoje sprawy. Boi się konsekwencji służbowych.

### Nowicki

- kierownik budowy, piniacz. W ciągłym konflikcie ze wszystkimi, również z własnym sumieniem. Boi się, że mu nie starczy do pierwszego.

Dębicki

- prywatny detektyw. Profesjonalista dyskretny aż do bólu. Boi się braku klientów.

Aldona Zawistowska

- również prywatny detektyw. Kobieta inteligentna i spostrzegawcza, potrafi umiejętnie wtopić się w tło. Nie boi się ryzyka.

Babcia

- która nie wie, że jest babcią. Boi się, że nie doczeka się wnuków.

Komisarz Anna Pędzicka

- policjantka, sprawna i skuteczna. W razie potrzeby nie boi się użyć broni.

## ROZDZIAŁ 1

po którym każdy, z wyjątkiem Beatki już wie, że coś się musi wydarzyć

Bezkresna, szmaragdowa powierzchnia oceanu, naznaczona białymi smugami piany w miejscach, gdzie z szumem załamywały się wysokie fale, zlewała się gdzieś daleko z jaśniejszym o kilka tonów, ale równie intensywnym w kolorze niebem. Powietrze nad położoną w niewielkiej zatoczce plażą drżało z gorąca. Nagrzany ostrymi promieniami słońca drobny, porcelanowobiały piasek aż parzył w stopy. Bajkową scenerię uzupełniało kilka rosnących niedaleko, nastroszonych kokosowych palm.

Beata zatrzymała się w cieniu płóciennego parasola, jednego z wielu rozstawionych tuż nad wodą i z przyjemnością śledziła wzrokiem wysoką, barczystą sylwetkę nadchodzącego od strony nadmorskiego barku mężczyzny. Ubrany w kolorowe szorty i słomkowy kapelusz z szerokim rondem, szedł wzdłuż brzegu, pozwalając leniwym falom obmywać bosc stopy. W dłoniach trzymał dwa kolorowe drinki z parasolką, a po jego twarzy błąkał się uśmiech zadowolenia.

To był Andrzej, mąż Beaty.

W oczach Beaty pojawiło się rozczulenie. Jak to dobrze, pomyślała, że nie udało mi się usnąć. Zmarnowałam takie piękne popołudnie...

Trzy kwadransy wcześniej, po obfitym lunchu złożonym z egzotycznych ryb i dziwnych owoców o nieznanym nazwach, mąż namówił ją na sjęstę. Jednak kiedy po kwadransie sen uparcie nie przychodził, Beata porzuciła klimatyzowane wnętrze i poszła szukać Andrzeja, z zamiarem zrobienia mu niespodzianki.

Zaraz, zaraz. Dwa drinki?

Andrzej skręcił na piasek, między leżanki z ratta - nu przykryte poduszkami w granatowo - białe pasy. Na jednej z nich

spoczywała malowniczo upozowa - na blondynka w skąpym, czarnym bikini, z trudem utrzymującym w ryzach obfity biust. Beata zmrużyła oczy. Dziewczyna kogoś jej przypominała... Andrzej podszedł do blondynki, która na jego widok uniosła się wdzięcznie na łokciu i wyciągnęła dłoń po drinka, jednocześnie odwracając się trochę bardziej w stronę zaczajonej pod parasolem Beaty.

Marysia?! Ich opiekunka do dziecka?! Tutaj?!

Beata patrzyła w osłupieniu, jak Andrzej podaje tamtej kieliszek, a potem namiętnie całuje ją w usta.

- Nie! - zdążyła jeszcze krzyknąć, zanim donośny terkot budzika nie wyrwał jej ze snu. Jeszcze nie całkiem przytomna, usiadła gwałtownie na łóżku i rozejrzała dookoła. Andrzeja nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Nie było również morza, egzotycznej plaży - a przede wszystkim nie było Marysi w bikini.

Na kółdrze obok Beaty leżała tylko granatowa męska piżama, porzucona w pośpiechu. Pewnie jak zwykle w środku nocy wezwano męża do jakiegoś czworonożnego pacjenta...

Beata zamyśliła się. Kiedyś Andrzej, wychodząc wcześniej, zawsze zostawiał jej na poduszce żartobliwe liściki, w których na wszystkie możliwe sposoby odmieniał czasownik „kocham”. Jednak ostatnio takie karteczki pojawiały się coraz rzadziej. Małżeńska rutyna, czy...

Beatka poczuła nagle ukłucie niepokoju. Westchnęła ciężko: że też tamta sytuacja sprzed trzech lat ciągle ją prześladowuje - co z tego, że w innych dekoracjach i z innymi bohaterami, skoro motyw zdrady musi być w niej obecny obowiązkowo? Na moment zamknęła oczy. Pod powiekami zobaczyła obraz Pawła, swojego pierwszego męża, obejmującego przed kawiarnią na Rozdrożu prześliczną brunetkę... Brrr, wzdrygnęła się. Jaka ja byłam wtedy głupia, jaka głupia!

W efekcie fatalnego zauroczenia o mały włos nie straciła ukochanej ziemi oraz... życia. I choć wszystko, dzięki uporowi i poświęceniu jej najlepszej przyjaciółki Moniki skończyło się dobrze, fobia na tle podejrzeń o nieszczerłość pozostała. Na szczęście jej drugi mąż, Andrzej, człowiek spokojny i łagodny,

o niespotykanych pokładach cierpliwości i dystansu do drobiazgowości tego świata był ostatnim człowiekiem, który mógłby dać jej jakikolwiek powód do zazdrości.

Skąd w takim razie w jej śnie wzięła się Marysia?

Żeby nie roztrząsać tematu i nie dawać pożywki wyobraźni, Beata podniosła się energicznie, podeszła do okna i rozsunała zasłony. Do pokoju radosną falą wdarło się słońce, zieleń rosnących w ogrodzie drzew i dwie zaspane ćmy. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, pomyślała Beata, wciągając głęboko w płuca chłodne, ranne powietrze.

Poprzedniego dnia wrócili z wakacji z Portugalii i teraz trzeba się było na nowo odnaleźć w codziennej rzeczywistości.

Beata owinęła się cienkim szlafrokiem i ruszyła na dół, żeby przejrzeć nagromadzoną przez ostatnie dwa tygodnie pocztę. Na niewielkiej komodzie, pod lustrem, leżał okazały, kolorowy stos. Rachunki za telefon, wyciągi bankowe, reklamówki... i jedna duża, szara koperta bez nadawcy, z adresem wydrukowanym na drukarce komputerowej i przyklejonym trochę krzywo na szarym papierze: BEATA STOKOWSKA. DO RĄK WŁASNYCH. Ciekawe co to, przebiegło Beacie przez głowę i już miała zacząć otwierać przesyłkę, kiedy z góry dobiegł ją bardzo głośny, radosny okrzyk: - Mamiiiiii!

Beata uśmiechnęła się.

- Już idę, syneczku!

Szybkim ruchem zebrała całą korespondencję i wrzuciła do stojącej obok torebki, żeby przejrzeć później w biurze.

I tak szara koperta z naderwanym rogiem trafiła na samo dno, a spokój Beaty nie został naruszony. Gdyby bowiem zdążyła ją otworzyć, zobaczyłaby w środku złożoną na pół, białą kartkę papieru i odcinający się od niej złowieszczą czernią napis: TWÓJ MAŻ ZDRADZA CIĘ Z NIAŃKA!

\*\*\*

Kiedy Beata, wciąż uśmiechnięta, weszła do dzieciennego pokoju, wyraz jej twarzy uległ gwałtownej zmianie.

Słodki dwulatek o buzi barokowego amorka i blond loczkach, uosobienie niewinności, musiał już nie spać przynajmniej od kilku minut. A konkretnie od tyłu, ile zajęło mu rozsmarowanie



po sobie i kołderce podkładu w płynie Diora i posypanie tegoż wygrzebanym sprytnie z pudełeczka szarym cieniem do powiek. Skąd on to wziął? - przebiegło Beatce przez głowę, ale zaraz zauważyła leżącą na podłodze obok łóżeczka jej własną kosmetyczkę, którą mały musiał cichcem przynieść sobie z łazienki. Pokręciła z niedowierzaniem głową, podniosła synka i przytuliła ostrożnie, żeby nie pobrudzić sobie szlafroka.

- Jędreku! Rzeczy mamy nie wolno ruszać! Umawialiśmy się, pamiętasz? - pouczyła, ale w jej głosie zabrakło stanowczości. Mały wykorzystał to natychmiast, obejmując szyję matki ramionkami, wtulając buzię w jej włosy i ucinając w ten sposób w zarodku temat dopuszczalności pewnych zachowań.

Chwilę później Beata rozpoczęła ubieranie synka, co nie było czynnością prostą. Dwulatek miał bowiem ściśle wyrobione zdanie na temat tego, co zamierza na siebie włożyć, a jego koncepcja w żadnym punkcie nie pokrywała się niestety z koncepcją matki. Kiedy w końcu Beata zeszła z Małym na dół, jego strój był wynikiem daleko idącego kompromisu. Chłopczyk miał na sobie ulubione czerwone bojówki, które poprzedniego dnia oblał sokiem, oraz za małą bluzę z Batmanem. Ze swojej strony Beacie udało się przeforsować jedynie majtki i skarpetki.

Wchodząc do kuchni rzuciła okiem na zegar. Ósma dwadzieścia pięć. Opiekunka powinna już dawno być, ale Beata wiedziała z doświadczenia, że nie ma co liczyć na jej punktualność. Marysia spóźniała się notorycznie, usprawiedliwiając na zmianę kłopotami komunikacyjnymi lub zdrowotnymi. I, niestety, nie była to jej jedyna wada. Dziewczyna, obdarzona przez naturę figurą Marylin Monroe, eksponowała ją bez skrupowania, co nie mogło jej raczej zaskarbić sympatii pracodawczyni. Gdyby nie to, że Mały ją po prostu uwielbiał, Beata już dawno wymieniłaby tę dziewczynę na inny model.

Sprawnym ruchem umieściła synka w wysokim krzeselku, postawiła przed nim plastikowy kubeczek z sokiem pomarańczowym, rzuciła mu na stół kilka samochodzików i, w zasadzie gotowa do wyjścia, wypila jeszcze dietetyczny jogurt z lodówki. Musiał jej starczyć zamiast śniadania.

No, gdzie ta dziewczyna...?!

Pół do dziewiątej przy drzwiach wejściowych odskoczyła zasuwa i do kuchni wpadła bujna blondynka w króciutkich dżinsowych szortach i czarnej bluzeczce na cienkich ramiączkach. Była zaczerwieniona i zdyszana.

Ciekawe, co tym razem...

- Kurczę, strasznie przepraszam! Autobus się spóźnił! Nawet specjalnie dzisiaj wcześniej wyszłam na przystanek, żeby na pewno zdążyć, a tu proszę, jak na złość! - Rzuciła na podłogę czarny płócienny plecak Nike i podeszła do Jędrka. - Piąteczka, Mały, chcesz śniadanko?

- Chcem! - Jędrak, ucieszony widokiem opiekunki, entuzjastycznie wyraził chęć współpracy.

- Marysiu! - Beata postanowiła po raz kolejny przemówić do odpowiedzialności dziewczyny. - Przecież prosiłam, żebyś przychodziła PUNKTUALNIE! Dobrze wiesz, że im później się od nas wyjedzie, tym większe korki przed Warszawą. Czy naprawdę nie możesz się trochę postarać?

Marysia otworzyła szeroko wielkie błękitne oczy i spojrzała na swoją pracodawczynię ze szczerym zdziwieniem.

- Ależ pani Beato, przecież ja się staram!

## ROZDZIAŁ 2,

po którym ulubiony t - shirt Moniki wyląduje w śmieciach

Monika biegła przed siebie, ile sił w nogach. Nie zwracała uwagi na gałęzie, które uderzały ją w twarz, ani na gęste poszycie, które hamowało kroki. Jeżeli zwolni, dopadną ją. Miała nad nimi przewagę kilku minut, ale oni znali ten teren jak własną kieszeń. Nie będzie łatwo im uciec.

Dobiegła do potężnego dębu, oparła się plecami o szeroki pień i próbowała uspokoić oddech. Gdyby nie to, że miała niezłą kondycję, byłoby z nią naprawdę krucho.

Gdzieś w lesie trzasnęła gałązka. Monika spięła się w sobie i zacisnęła palce na kolbie broni, ale na szczęście odgłos się nie powtórzył. Po kilku minutach odważyła się wyjrzeć ostrożnie zza drzewa. Przed nią rozpościerała się niewielka polana. Słońce przeświecało przez gałęzie, tworząc na trawie misterny wzór światła i cieni. Śpiewały ptaki, las intensywnie pachniał żywicą, było sennie i spokojnie, ale Monika świetnie zdawała sobie sprawę, że to tylko pozory. I wiedziała, że musi zachować wyjątkową czujność.

Rozejrzała się jeszcze raz i na oko oceniła odległość dzielącą ją od przeciwległej ściany drzew. Dosłownie kilkadziesiąt metrów... Jeżeli tylko uda jej się przedostać na drugą stronę, będzie bezpieczna.

Odczekała jeszcze chwilę, wzięła głęboki oddech i ruszyła sprintem przed siebie. Biegła zakosami, żeby utrudnić trafienie. Jeszcze tylko dziesięć metrów, pięć, trzy...

Bang! - rozległ się stłumiony huk wystrzału i jednocześnie Monika poczuła bolesne uderzenie w pierś. Zamarła w pół kroku i zaskoczona patrzyła, jak na jej koszulce wykwitła wielka, ciemnoróżowa plama.

- Prosto w serce - usłyszała głęboki, trochę zaczepny męski głos.

Gałęzie naprzeciwko niej rozchyliły się i na polanie pojawił się

wysoki, barczysty mężczyzna w czarnym kombinezonie, z karabinkiem w ręku. Twarz miał zasłoniętą ochronną maską, jaką dostawali wszyscy uczestnicy gry paintballowej.

- Powinnaś bardziej uważać - rzucił wesoło, przebiegając obok.

Zaskoczona przyglądała się, jak mężczyzna przecina sprintem polankę i znika w krzakach po drugiej stronie.

Bardziej uważać? - powtórzyła w myślach czując, jak całe podniecenie grą gdzieś z niej wyparowuje. Wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i zaczęła ścierać farbę z zielonkawego trykotu koszulki. Bez powodzenia. Tarła uparcie, coraz mocniej, a jednocześnie do oczu napływały jej łzy. Przypomniała sobie bowiem okoliczności, w jakich poprzednio miała na sobie tę bluzkę. To było równo miesiąc temu, podczas ostatniego wyjazdu ze Zbyszkiem...

Pac, pac, pac - na jej plecy posypał się nagle grad trafień, a kiedy odwróciła głowę, pod drzewami po prawej stronie dostrzegła przemierzającą się małą grupę zawodników. No tak, nic dziwnego, że wykorzystali sytuację, skoro tkwiła na otwartym terenie jak jakaś kretynka. Pomasowała sobie okolice prawej łopatki i ruszyła przed siebie.

Grunt, to się nie rozklejać, pomyślała, składając się do strzału, i od razu poczuła się lepiej.

Po skończonej grze Monika oddała maskę i karabinek, na który mówiono tutaj marker, przy stanowisku organizatorów, i zaczęła rozglądać się za Agatą.

Agata, jej koleżanka jeszcze z liceum, miała na punkcie paintballa kompletnego świra. Była jedynym w Polsce kobietą - sędzią klasy międzynarodowej i spędzała w lesie każdą wolną chwilę. Od dawna bezskutecznie namawiała Monikę, żeby też spróbowała. Przed dwoma dniami zadzwoniła znowu.

- Kochana, w sobotę gramy. Tym razem musisz przyjść. Odreagujesz po tym wszystkim...

- Aleja naprawdę...

- Przecież masz wakacje. Będę po ciebie o ósmej.

Faktycznie, po kilku godzinach biegania, kluczenia, ukrywania się i czołgania Monika musiała przyznać, że Agata miała rację -

udało jej się odreagować, to pewne. Zaczęła się rozglądać za przyjaciółką, ale jakoś nie mogła jej znaleźć.

Na kawałku łąki i na wąskiej gruntowej drodze panowało totalne zamieszanie. Samochody wykręcały, rycząc silnikami, trąbiły i wzniewały tumany kurzu. Monika stanęła na poboczu, próbując się zorientować, w którym miejscu po przyjeździe zaparkowały z Agatą, kiedy tuż obok niej zahamował gwałtownie jakiś mężczyzna na czerwonym motocyklu.

- Czekasz na kogoś? - spytał, przekrzykując silnik.

- My się znamy? - zdziwiła się Monika.

- W pewnym sensie - roześmiał się, wskazując różową plamę na jej t - shircie.

Nareszcie mogła mu się dobrze przyjrzeć. Miał wyjątkowo przystojną twarz o regularnych rysach, a w szeroko rozstawionych zielonych oczach migotały młodzieńcze, zawadiackie błyski. Ale szczeniak, uświadomiła sobie Monika. Najwyżej dwadzieścia pięć...

Chłopak przecesał niecierpliwie palcami zmierzwione, ciemne włosy:

- Wskakuj, podrzucę cię do miasta...

\*\*\*

Monika przeciągnęła się i otworzyła oczy, a na jej ustach pojawił się rozmarzony uśmiech. To wszystko było jak sen. Ciągle nie mogła uwierzyć, że to się STAŁO zaledwie trzy dni temu. A konkretnie - trzy dni, siedem godzin i dwadzieścia minut... A już na pewno nie mogła uwierzyć, że to się cały czas DZIEJE.

Z zaplecza salonu fryzjerskiego wyszła szczupła blondynka i podeszła do fotela, na którym od pół godziny siedziała Monika z jeżem foliowych igieł na głowie.

- Pobudka - zażartowała i zaczęła uważnie oglądać jeden z pomalowanych farbą kosmyków. - Bardzo będą jasne te refleksy. Tak, jak pani chciała... Poproszę do mycia.

## ROZDZIAŁ 3

w którym nie wiadomo po co pojawia się tajemniczy szatyn

Pochylił się nad umywalką w męskiej toalecie warszawskiego lotniska im. Chopina. Przez chwilę przemywał twarz zimną wodą, w końcu po raz ostatni zanurzył dłonie w orzeźwiającym strumieniu, ochlapał policzki i podniósł wzrok na swoje odbicie. Głębokie cienie pod oczami, blade policzki... wyglądał na zmęczonego. Był zmęczony. Cholernie zmęczony. Oczywiście nie z powodu podróży. Lot z Berlina trwał przecież niecałą godzinę.

Przybliżył twarz do lustra i przesunął palcami po cienkiej bliźnie, ukrytej pod starannie przystrzyżonym, ciemnym zarostem. Jego usta wykrzywił ironiczny uśmiech.

Był pewien, że nie spieprzy tej sprawy. Nie tym razem.

Kilka kropel wody spłynęło mu po szyi, zatrzymując się na ciemnym materiale eleganckiej koszuli. Sięgnął szybko do podajnika, wziął dwa szorstkie, papierowe ręczniki i osuszył twarz, a potem przez chwilę energicznie pocierał nimi skronie, żeby pobudzić krążenie. Rzucił ostatnie spojrzenie w lustro, przecesał palcami krótkie, ciemne włosy, złapał za rączkę eleganckiej walizki i ruszył energicznym krokiem w stronę wyjścia.

W hali przylotów rozejrzał się uważnie, po czym podszedł do kiosku. Chwilę przeglądał wyłożone gazety, wreszcie kupił tę, w której zauważył najwięcej ogłoszeń, schował ją starannie do bocznej kieszeni w walizce i już szedł szybkim krokiem prosto w kierunku stanowiska firmy wynajmującej samochody.

Siedząca za kontuarem szczupła, ładna blondynka obrzuciła go zaciekawionym spojrzeniem.

- Hello, may I help You? - spytała, uśmiechając się zachęcająco.

- Dzień dobry - odpowiedział, ku jej zaskoczeniu, poprawną polszczyzną. - Chciałbym wypożyczyć samochód.

## ROZDZIAŁ 4

### czyli rozmyślania blondynki

Korek zaczął się już w Jankach. W stronę Warszawy, jak okiem sięgnąć, ciągnął się kolorowy sznur aut, pełen wściekłych, spóźniających się właśnie do pracy kierowców. Beata zrezygnowanym wzrokiem wpatrywała się w światła stopu posuwającej się przed nią w żółwym tempie hondy accord. Zapalały się co chwila, sygnalizując Beacie, że również powinna nacisnąć hamulec.

- Jak ja nie lubię poniedziałku! - westchnęła i podkreśliła klimatyzację, bo wewnątrz auta zaczynało się już nagrzewać. Najbardziej denerwujące było to, że po przeciwnych pasach, szosą w kierunku Katowic, samochody śmigły jeden za drugim, skrępowane tylko znakami ograniczającymi prędkość. Korciło ją, żeby machnąć na wszystko ręką i na najbliższym skrzyżowaniu zawrócić do domu, do synka, ale oczywiście było to zupełnie nierealne.

Miała dziś o dziesiątej spotkanie z zarządem Pawbudu, firmy deweloperskiej, której była właścicielką do spółki z pewnym Niemcem, Johannesem Wiesbaumem. Wiesbaum szczęśliwie trzymał się od spraw firmowych z daleka, ograniczając swoją aktywność do pobierania z konta należnych mu kwot. Natomiast Beatka, jako jednoosobowa rada nadzorcza musiała trzymać rękę na pulsie, choć naprawdę nie miała do tego predyspozycji. Miała za to Zbyszka, kompetentnego pracownika, a przede wszystkim - przyjaciela. Dlatego kiedy odziedziczyła firmę po

pierwszym mężu, natychmiast mianowała Zbyszka prezesem, i okazało się, że był to najlepszy ruch, jaki mogła wykonać. Zbyszek zdjął z jej ramion ciężar odpowiedzialności, którego na dłuższą metę nie potrafiłaby dźwigać, a obowiązki Beaty zostały ograniczone wyłącznie do oficjalnych i reprezentacyjnych, do których żadna specjalna wiedza nie była potrzebna. Dlatego

czas i energię, zaoszczędzone w ten sposób, postanowiła przeznaczyć na coś innego. - za pieniądze odziedziczone po zmarłym mężu założyła fundację pomocy dla wykorzystywanych kobiet. I choć gabinet, w którym urzędowała, znajdował się w nowoczesnym biurowcu na Pięknnej, gdzie mieściły się biura Pawbudu, to przede wszystkim zajmowała się tam sprawami swojej fundacji.

Z zamyślenia wyrwało ją natarczywe trąbienie. Machnęła uspokajająco ręką do kierowcy z tyłu i ruszyła, doganiając hondę, która odbiła kilka metrów w przód. Jednocześnie we wstecznym lusterku mignęło jej własne odbicie - twarz bez makijażu, włosy ściągnięte w koński ogon... No cóż, pani prezes jak się patrzy.

Sięgnęła do ogromnej, beżowej torby, wyjęła z niej kosmetyczkę Burberry i, zapatrzona w samochodowe lusterko, zaczęła pokrywać bladą twarz pudrem w kremie. Nie było to łatwe, bo widoczność miała fatalną, ale jakoś sobie poradziła. Następnie wzięła się za robienie oka i kiedy wreszcie zaczęła z grubsza przypominać człowieka, wściekły klakson auta stojącego za nią w korku spowodował, że maznęła się tuszem po policzku.

Cholerny poniedziałek!



## ROZDZIAŁ 5

o tym, jak pani prezes radzi sobie z emocjami

...Beata Stokowska, Beata Stokowska, Beata Sto - kowska. Ostatni zamaszysty podpis, i Beata z westchnieniem ulgi odłożyła długopis na jasny blat biurka. Podpisywanie dziesiątków dokumentów, których treści w większości nie rozumiała, było czynnością monotonną i bardzo nużącą, dlatego Beatka szczerze jej nie znosiła. Teraz, pocierając palcami skronie, rozparła się wreszcie wygodnie w szerokim, jasnym, skórzanym fotelu i wyciągnęła przed siebie bose stopy - praktyczny przywilej posiadania własnego gabinetu. Eleganckie, ale potwornie niewygodne sandały na obcasie zdjęła już dawno, co zdecydowanie podniosło wydajność jej pracy.

Nareszcie udało się jej uporać z pierwszym, wyjątkowo okazałym stosiem papierów, które przygotował dla niej Maciek. Po dwutygodniowej nieobecności było tego naprawdę dużo. Dokumenty podsunęte przez zarząd Pawbudu, dokumenty dotyczące jej fundacji... Bolały ją oczy, kark, prawy nadgarstek, odniosła nawet przedziwne wrażenie, że boli ją długopis. Do tego czuła, że żołądek ma po prostu zaciśnięty w pięść z głodu.

W tym momencie ktoś cicho zapukał do drzwi. Zanim zdążyła jakoś zareagować, drzwi otworzyły się powoli i ukazała się w nich szpakowata głowa Zbyszka Wierzbickiego.

- Można...? - spytał bez uśmiechu. - Toty?! Chodź...

Zbyszek bez słowa wszedł do środka. Nie wyglądał za dobrze. Garbił się, wyraźnie schudł, a wzrok miał przygaszony i smutny. Powoli podszedł do biurka i zapadł w fotel dla interesantów. Beata przyjrzała mu się z troską. Od razu zwróciła uwagę na jego wymięte spodnie i plamę z przodu koszuli. A więc nadal nie doszedł do siebie po sprawie z Moniką... Kiedy widzieli się poprzednio, Zbyszek był świeżo po

zerwaniu. Zrozpaczony, przygnębiony, rozkojarzony. Mimo to, a może właśnie dlatego zgodził się jechać do Berlina w poszukiwaniu dodatkowych funduszy na budowę luksusowego osiedla w Jankach, z którego finansowaniem mieli ostatnio poważne kłopoty.

No cóż, kryzys...

- Tak się cieszę, że cię widzę! - zaczęła sztucznie ożywionym głosem. - Kiedy wróciłeś?

- Dziś rano - odparł ponuro Zbyszek i wlepił puste spojrzenie w ścianę, gdzieś nad ramieniem Beatki.

O Boże, nic mu się nie polepszyło - ze smutkiem uświadomiła sobie Beata.

- Zmęczony? - spytała miękko.

- Trochę.

- Jak rozmowy z Wiesbaumem?

- Tak sobie. Wysłałem ci sprawozdanie mailem.

- Jeszcze dzisiaj zerknę. Napijesz się czegoś?

Zbyszek pokręcił przecząco głową i zapadło między nimi ciężkie milczenie. Beata, nie wiedząc jak je przerwać, wstała i nalała sobie wody do szklanki. Kiedy wróciła na swoje miejsce, Zbyszek odetchnął głęboko i spytał pozornie obojętnym tonem:

- Co u Moniki?

- U Moniki? - Beata nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Nie widziała jeszcze przyjaciółki po powrocie z wakacji. Poza tym miała wrażenie, że wszystko, co powie, w jakiś sposób Zbyszka zrani. - U niej... Nie wiem dokładnie... chyba wszystko dobrze.

- Aha - przyjął do wiadomości. - A... nie wiesz, czy kogoś ma? - drążył dalej z uporem masochisty.

- Nie! Nie, no coś ty!

- Jest wolna. Może być z kim chce - zadeklarował grobowym głosem i dla odmiany wbił wzrok w podłogę.

Beata pokręciła głową.

- Zbyszek... daj spokój. Może wszystko się jeszcze jakoś ułoży? Co ja mówię, na pewno się ułoży! Ona też to wszystko przeżywa, też jej nie jest łatwo. Musisz jej dać trochę czasu.

Zbyszek ukrył twarz w dłoniach, a kiedy po chwili spojrzął na

Beatkę, wydawało jej się, że w jego oczach dostrzega łzy.

- Beata, ja ją wciąż Kocham - wyszeptał. - I tak strasznie za nią tęsknię... - Znowu ciężko westchnął i z wysiłkiem podniósł się z fotela. - Aha, jeszcze jedno... Mam prośbę...

- Jasne, mów. - Beata również się podniosła i podeszła do niego. Myślała, że prośba Zbyszka będzie dotyczyć Moniki, ale pomyliła się.

- Nie bardzo mam teraz gdzie mieszkać. Chwilowo nocuję na budowie, to znaczy, rozumiesz, w biurze... Mógłbym się tam zatrzymać, dopóki czegoś nie wynajmę?

- Oczywiście! - Beata pogłaskała go serdecznie po ramieniu - A może wolałbyś u nas? Mamy przecież tyle miejsca...

- Nie. Nie... - odpowiedział cicho. - Biuro mi wystarczy. Idę! Na razie...

- Trzymaj się - uściśnęła go na pożegnanie. I dodała dobitnie:

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz!

- Jasne - uśmiechnął się słabo Zbyszek.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, Beata jeszcze chwilę patrzyła zamyślona przed siebie, a potem zdecydowanym krokiem podeszła do biurka i sięgnęła po słuchawkę telefonu stacjonarnego.

- Monisia? Tak, już wróciliśmy... Jak ty się trzymasz, Kochana? Słuchaj, tak sobie pomyślałam, czy byś czasem nie wyskoczyła do centrum na kawę? Coffee Heaven przy Świętokrzyskiej? Za pół godzinki? Beata odłożyła słuchawkę, chwyciła komórkę i kluczyki do auta, i otworzyła torebkę, żeby je wrzucić do środka. Większość przestrzeni w torebce wypełniały koperty i rachunki, które rano zgarnęła z domu, i o których od tamtej pory na śmierć zdążyła zapomnieć. Bez sensu się z tym nosić, stwierdziła, wyjmując gruby plik korespondencji i kładąc na biurku. Na samej górze sporego stosu znalazła się duża, szara koperta z adnotacją „do rąk własnych”. A właśnie, miałam sprawdzić, co to - przypomniała sobie Beata i zdecydowanym ruchem rozerwała kopertę. Na białej kartce papieru znajdowało się tylko jedno zdanie.

Beatka przeczytała je raz. Potem drugi, a kiedy jego treść wreszcie do niej dotarła, osunęła się zemdlna na podłogę.

## ROZDZIAŁ 6,

### na którym zarabia agencja nieruchomości

- ... To jest bardzo dobra dzielnica, a mieszkanie, sam pan widzi... cacko! I jaki znakomity widok! Jeden z najlepszych w Warszawie - agentka nieruchomości otworzyła z rozmachem podwójne drzwi balkonowe i, dla potwierdzenia swych słów, zatoczyła ręką szeroki krąg.

Wyszedł na balkon i rozejrzał się ciekawie. Na tle błękitnego nieba rysowały się ostrym konturem charakterystyczne sylwetki warszawskiego City.

- Piękny balkon, można tu urządzić wspaniale przyjęcia - zachęcała agentka.

Ta energiczna kobieta musiała być dobrze po pięćdziesiątce, choć na pierwszy rzut oka nie było tego wcale widać. Młodzieżowo ubrana, modnie ostrzyżona atrakcyjna blondynka, emanowała rzadko spotykaną pogodą ducha i pozytywną energią.

Przeszła właśnie tanecznym krokiem w stronę połączonej z salonem kuchni.

- Mieszkanie jest w pełni wyposażone: zmywarka, mikrofalą, a nawet, uwaga, specjalna lodówka na wina.

- A pralka, suszarka?

- Tak, oczywiście. W pomieszczeniu gospodarczym. O, proszę - agentka otworzyła wąskie drzwi w bocznej ścianie kuchni.

- A co z garażem?

- Jest, oczywiście. Przepiękny garaż podziemny, bardzo szerokie miejsce, łatwo zaparkować.

- Czy winda jedzie z garażu?

- Tak, jak najbardziej. Naprawdę, to mieszkanie to świetna okazja. Szczególnie za tę cenę. Więc jak będzie? Decyduje się pan?

- Pani... - tu zerknął na elegancką wizytówkę, którą trzymał w ręku - ...Anno, sprawa wygląda tak, że potrzebuję mieszkania

maksimum na trzy miesiące.

- Ale jest pan zainteresowany? - Tak.

- Proszę chwilę poczekać - pani Anna uśmiechnęła się, przeszła do salonu i po chwili prowadziła przez telefon ożywioną dyskusję. Kiedy wróciła, jej uśmiech był jeszcze szerszy.

- Załatwione. Wynajem na kwartał, płatne z góry. Zapraszam jutro do nas do agencji, dokończymy formalności.

- Świetnie - uśmiechnął się, zadowolony. Apartament był faktycznie znakomity, szczególnie do jego celów. I to położenie, w samym centrum! Najciemniej jest zawsze pod latarnią, pomyślał, wychodząc za agentką na elegancką klatkę schodową.

## ROZDZIAŁ 7

### czyli o tym, jak Monika niechcący dobija Beatkę

Beata, wchodząc do Coffee Heaven przy Świętokrzyskiej, czuła się fatalnie. Na tyle doszła do siebie po omdleniu, że była w stanie prowadzić samochód, jednak czuła, że jest na granicy hysterii. Oddychała z trudem i z całej siły zaciskała wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem. Między innymi dlatego obiecała sobie, że na razie nie przyzna się Monice do niczego. Nie tak na świeżo. Nie przy ludziach. Nie, na razie - nie!

Ale natręte pytania powracały, nieproszone. Jak on mógł jej to zrobić?! Jak?! I dlaczego akurat z niańką?!

Zmusiła się, żeby kilka razy głębiej odetchnąć i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu przyjaciółki. Podświadomie szukała wzrokiem kobiety smutnej i nieszczęśliwej, bo przecież Monika po rozstaniu ze Zbyszkiem nie miała prawa wyglądać inaczej.

- No hej, tutaj jestem! - usłyszała nagle radosny okrzyk i zobaczyła machającą do niej wesoło przyjaciółkę. Monika stała przy stoliku na drugim końcu sali. Ostrzyżona krótko i ekstrawagancko, ubrana w kusą, jaskrawoszmaragdową kiecę w kształcie trapezu, która odsłaniała śmiało ramiona, a jeszcze śmieiej nogi, z pewnością nie wyglądała na osobę pogrążoną w depresji.

Beata ruszyła do niej przez salę nie bardzo wiedząc, czy powinna się z tego cieszyć, czy raczej martwić.

Cmoknęły się na powitanie w policzek. Wyjątkowo intensywny zapach „Envy” Gucciego, unoszący się wokół Moniki, również nie bardzo pasował do jej codziennego, sportowego wizerunku nauczycielki wf.

- No, co tam u ciebie? - zaczęła podekscytowanym tonem Monika, nachylając się nad stolikiem. W jej głęboko wyciętym dekolcie błysnął czernią biustonosz push up. A jeszcze miesiąc temu nabijała się z kobiet, które w ten sposób eksponują biust! Jednocześnie widać było wyraźnie, że dużo bardziej niż nowiny

interesuje Monikę jej własna komórka. Cały czas obracała ją w palcach, zerkając co chwila niecierpliwie na wyświetlacz.

Beata nie wiedziała, co odpowiedzieć. W głowie cały czas pulsowało jej jedno zdanie: TWÓJ MAŻ ZDRADZA CIĘ Z NIAŃKĄ, ale nie była w stanie wypowiedzieć go na głos. Zamiast tego nabrała powietrza i wypaliła:

- Widziałam się ze Zbyszkiem!

- Aha - w głosie Moniki, nie było ani deka zaciekawienia. Za to wyraźnie się ożywiła, kiedy ciche piknięcie zasygnalizowało nadejście sms - a.

Beata przyglądała jej się, zszokowana.

- Monika, no coś ty?! Byliście ze sobą prawie trzy lata i nawet nie spytasz, co u niego?

- OK. Co u niego?

- Wygląda jak z krzyża zdjęty. Strasznie przeżywa to wasze rozstanie. Strasznie... Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

Monika właśnie wystukiwała pracowicie odpowiedź na klawiaturze komórki.

- Hm... tak... o Zbyszku mówisz, że przeżywa... - nacisnęła wyslij i dopiero wtedy spojrzała na przyjaciółkę - No, przecież wiem. Będę go miała na sumieniu. Ale trudno, nic nie poradzę. I please, Becia, nie patrz tak na mnie, jakbym ci ciotkę zamordowała - zasunęła klapkę komórki, ziewnęła leniwie i sięgnęła po torebkę. - Idę po kawę. Jak się nie napiję, to padnę. Ostatnio... mało sypiam nocami. Ty jaką chcesz?

- Wszystko jedno... - Beata oszołomiona patrzyła, jak przyjaciółka wstaje od stolika, przeciąga się jak kot powodując, że sukienka podjeżdża jej prawie do pępka, a potem rusza przez salę, kołysząc szczupłymi biodrami. Kołysząc biodrami? Monika?! Ona, która nigdy, nawet kiedy była po uszy zakochana w Zbyszku, nie podkreślała swojej kobiecości i twierdziła, że mężczyzna powinien kochać kobietę za jej wnętrze, bo wnętrze nie da się umalować? Dziwny sposób odreagowywania po rozstaniu z facetem.

Zanim Beata zdążyła pograć się na nowo w czarnej rozpacz spowodowanej anonimem, Monika postawiła na stoliku dwie wysokie szklanki z beżowym, aromatycznym płynem i

zadowolona opadła na fotel.

- Muszę ci coś powiedzieć... - zaczęła tajemniczym głosem.

- Tak?

- Mam nowego faceta!

- Co?! - Beata zakrztusiła się kawą. - Jak to, masz faceta?

- No, normalnie. Poznaliśmy się na paintballu. On jest... po prostu rewelacyjny... - na twarzy Moniki pojawiło się rozmarzenie.

Beata przez chwilę nie mogła z siebie wydusić słowa.

- Przecież dopiero zerwałaś ze Zbyszkiem - jęknęła w końcu oszłamiona.

- I to znaczy, że do końca życia mam tkwić w celibacie? Daj spokój! - Monika wzruszyła ramionami - Zresztą... samo tak jakoś wyszło... Nic nie poradzę. I wiesz, co? Znowu jestem szczęśliwa. Klin klinem. Borys jest zupełnie inny niż Zbyszek. Taki... energetyczny. Uprawia różne sporty, sztuki walki, jeździ motocyklem, naprawdę mamy ze sobą dużo wspólnego.

Beata spiorunowała ją wzrokiem:

- Jak możesz?! Przecież to zdrada! Monika wydeła wargi.

- O czym ty mówisz, Becia? Jestem wolna i mogę robić, co chcę. A chcę być z Borysem. Z nim się nie można nudzić, nie to, co ze Zbyszkiem. Zbyszek po pracy to tylko kanapa i gazeta. Nawet na kino trudno go było namówić. A jak już się gdzieś ruszał, to na działkę do córki, bawić wnuka. Wnuka, rozumiesz?! Czy ja, do cholery, wyglądam na babcię? Becia, ja mam dopiero trzydzieści lat...

- Trzydzieści trzy konkretnie!

- ...i nie zamierzam dać się żywcem pogrzebać!

- Jakie pogrzebać! - zirytowała się Beata. - Chyba zwariowałaś, dziewczyno! Zbyszek to cudowny człowiek i kochał cię do szaleństwa. Co ja mówię, ciągle kocha! A to, że taki spokojny, to pamiętam, kiedyś ci bardzo odpowiadało.

- Za spokojny. I skończmy ten temat. Dla mnie Zbyszek to już zamknięty rozdział.

Przyjaciółki, obie zdenerwowane, choć każda z innego powodu, mierzyły się coraz mniej przychylnymi spojrzeniami. Po chwili nieprzyjemnego milczenia pierwsza odezwała się Beata.



- Nie rozumiem, jak możesz... przecież Zbyszek cierpi... nie widzisz tego?!

Odpowiedziała jej cisza. Monika pochylona nad komórką, znowu coś na niej wystukiwała. Beata poczuła, jak powoli budzi się w niej wściekłość.

- Jak, mówiłaś, ten twój nowy ksiązę z bajki ma na imię? Bogdan? Bohun?

- Borys! Jest taki... przystojny, inteligentny, szalony...

- A czym on się zajmuje, ten ideał?

- Studiuję kulturoznawstwo.

- Co, przepraszam, robi?!

- Studiuję. Kulturoznawstwo. Na uniwerku.

- Jak to? To ile on ma lat?!

- Dwadzieścia trzy! - odpowiedziała Monika zaczepnym tonem. - A bo co?

Beata poczuła nagle, że ma już dosyć tej rozmowy i dziwnego zachowania przyjaciółki. Zaczęła zbierać swoje rzeczy ze stolika. Zapragnęła nagle, żeby znaleźć się w swoim łóżku, wtulić w poduszkę i płakać, płakać, płakać....

- Chyba ci kompletnie odbiło. Przecież on mógłby być twoim...

- No, synem raczej nie - zakpiła Monika.

- Ale uczniem owszem! Czy ty kompletnie zwariowałaś? - Beata wstała gwałtownie.

Chwyliła torebkę i ruszyła w kierunku wyjścia.

- Poczekaj! - Monika dogoniła ją przy drzwiach.

Beata, mimo wszystko skłonna się pogodzić, przystanęła na progu.

- Mówisz tak... - usłyszała - bo jesteś zazdrosna.

- Co?! - Beatę zamurowało. - Ja? Zazdrosna? Przecież ja tego Borysa nawet nie znam!

Monika uśmiechnęła się z wyższością.

- Oczywiście, że jesteś zazdrosna. O to, że moje życie uczuciowe kwitnie, a twoje już nie! Cześć! - i wybiegła na zalaną słońcem ulicę.

## ROZDZIAŁ 8,

### czyli bilans szkód

Beata, polykając łzy, zmierzała szybkim krokiem w kierunku parkingu pod Filharmonią, gdzie zostawiła swoje volvo kombi. Monika niechcący trafiła ją w najczulszy punkt. Jeszcze do wczoraj Beata była absolutnie przekonana, że jej życie uczuciowe kwitnie jak ogród botaniczny wiosną. Owszem, zmieniły się proporcje, codzienność trochę przytłoczyła dawny romantyzm, a w łóżku nie było już tak ekscytująco jak na początku, ale cóż, nie można przecież mieć wszystkiego. Nie tylko seks się liczy. W każdym związku na dłuższą metę przestaje być ważna adrenalina, a zaczyna się liczyć przyjaźń, wsparcie, wzajemne zaufanie... Beata nagle poczuła się tak, jakby zaraz miało jej z hukiem pęknąć serce. Zaufanie! Po tym, co zrobił jej pierwszy mąż, obdarzenie zaufaniem Andrzeja nie było proste. A kiedy się w końcu udało, kiedy pokochała go całym sercem wierząc bez zastrzeżeń w jego miłość i dobre intencje, okazało się, że to wszystko jest nic niewarte. Po prostu nic.

Beata dotarła wreszcie do samochodu. Po dłuższej chwili poszukiwań wyjęła kluczyki z torebki, nacisnęła guzik na pilocie i wsiadła do nagrzanego, dusznego wnętrza. Nie zwracając uwagi na cieknące jej po twarzy łzy, wrzuciła wsteczny, nacisnęła gaz i z impetem wpakowała się w przejeżdżające z tyłu błękitne renault laguna z logo TVP info na drzwiczkach.

Szkody okazały się niewielkie. To znaczy volvo nie ucierpiało wcale, a renówce tylko lekko wgniotły się boczne drzwi.

Mimo to Beata zareagowała klasycznie, czyli najpierw wybuchła niepohamowanym płaczem, a potem sięgnęła po komórkę i w pierwszym odruchu zadzwoniła do Andrzeja. Niestety, po ośmiu sygnałach włączył się sygnał poczty głosowej. Spróbowała jeszcze raz, znów to samo.

A przecież do tej pory zawsze odbierał! Zawsze! Nawet jeśli wyłączał telefon na czas zabiegów, od razu zgłaszała się poczta głosowa.

Na pewno jest teraz z tą... tą... A kiedy wyobraziła sobie męża w niedwuznacznej sytuacji z Marysią, oparła czoło o kierownicę i rozplakała się jeszcze bardziej.

- Mąż... nie... o...o...odbiera - wyszlochała, zachłystując się łzami.

Przystojny trzydziestolatek, kierowca potrąconej renówki, pochylił się nad Beatką z troską.

- Czyli że auto należy do męża? - zapytał niepewnie, nie bardzo wiedząc, jak w tej sytuacji zareagować. Pomimo tego, że wina Beaty była ewidentna, w jego tonie pobrzmiwała raczej życzliwość niż pretensja.

- Nieee, do mnie - pociągnęła nosem Beata.

- Naprawdę, nie ma o co tak płakać - mężczyzna wyglądał na zdziwionego.

- Nic pan nie rozumie...!

Udało jej się wygrzebać z czeluści torebki paczkę chusteczek i próbowała się jakoś doprowadzić do stanu używalności.

- To co teraz będzie? Czy... czy pan wezwie policję? - spojrzała na mężczyznę błagalnie, zaczerwienionymi od płaczu oczami.

Mężczyzna spojrzał na swój samochód, potem na zegarek, i znów na samochód.

- Wie pani co? Odpuścimy sobie tę policję. I mężowi też niech pani głowy nie zawraca. Mnie się spieszy jak cholera, za pół godziny muszę być w studio, a szkoda tak naprawdę minimalna. Oświadczenie wystarczy. Zwłaszcza, że to służbowe auto - uśmiechnął się do Beatki porozumiewawczo. - No, niech się pani nie denerwuje - dodał. - Nie zabiorą pani za to prawa jazdy.

Wyjął ze swojego auta dużą, skórzaną teczkę i wyłowił ze środka czysty arkusik papieru.

- Proszę mi tylko podać pani imię i nazwisko.

## ROZDZIAŁ 9

w którym Beatka robi to, co umie najlepiej - pograża się w rozpacz

Beata zawsze wracała z pracy jak na skrzydłach, nie mogąc się doczekać, kiedy zobaczy męża i synka. Dzisiaj wlokła się sześćdziesiątką, całą drogę zastanawiając się, jak ma wyglądać jej spotkanie z Andrzejem. Raz wydawało jej się, że powinna natychmiast z nim porozmawiać, pokazać mu list, poprosić o wyjaśnienia, chwilę później pomysł wydawał jej się niedorzeczny i głupi. Andrzej nie mógłby zrobić czegoś takiego, myślała, jestem pewna! Przy czym ta pewność trwała minutę, wypierana przez powracający nie wiadomo skąd refren piosenki „Facet to świnia”... Jednocześnie samopoczucie zmieniało się jej jak w kalejdoskopie, trochę pochłipywała, trochę uśmiechała pocieszająco do swojego odbicia w lusterku - bardzo męcząca huśtawka. A na dodatek dzisiejsza sprzeczka z Moniką sprawiła, że Beata nie mogła zrobić jedynej rzeczy, która pomogłaby jej ze stuprocentową skutecznością - nie mogła wyzalić się przyjaciółce. I właśnie kiedy o tym myślała, zadzwoniła komórka. Nie patrząc nawet, kto dzwoni, Beata otworzyła aparat.

- Słucham?

- Masz podłączony zestaw czy tak gadasz? - Monika podarowała Beacie na gwiazdkę zestaw słuchawkowy i lubiła sprawdzać, czy go używa.

- Nie wiem, gdzie mi się zapodział - przyznała się od razu Beatka. - Jak dobrze, że dzwonisz...

Monika od razu rozpoznała specyficzny ton w głosie przyjaciółki.

- Ryczałaś. Coś się stało?

Beata minęła właśnie białą tablicę z napisem „Czerwińsk”. Jeżeli teraz zacznie się zwierzać przyjaciółce, nic nie zdoła powstrzymać potoku łez i do domu wróci napuchnięta jak

Michelin.

- Nic... To znaczy... stało się... ale to nie na telefon. Po stronie Moniki na chwilę zapadła cisza.

- Chodzi ci o mnie i Borysa?

- Nie, nie! - zaprzeczyła gwałtownie Beata. - I przepraszam, że... tak dziś na ciebie wsiadłam...

- Daj spokój... - stwierdziła Monika. - Już wybaczone. Kurczę, Beata, czyli musimy się znowu koniecznie spotkać. Jutro koło dziesiątej, OK?

- OK - zgodziła się smętnie Beata, choć tak naprawdę wsparcia potrzebowała natychmiast.

- Podjechać do ciebie do biura?

- Nie, nie! - Beata nie miała zamiaru ryczeć na oczach personelu. - Lepiej gdzieś na mieście... Może Łazienki?

- Dobra. Nad tym stawem naprzeciwko Belwederu...

- To do jutra. Monika...

- Słucham?

- Dzięki...

Dokładnie w momencie, kiedy Beata zaparkowała przed domem, drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Andrzej ze swoją lekarską walizką w ręku. Nieprzyjemny uścisk w żołądku Beaty przybrał na sile. Oj, nie miała ochoty na to spotkanie... Powoli, bardzo powoli zaczęła zbierać z siedzenia rzeczy: torebkę, dwie teczki z dokumentami, napoczętą butelkę Nałęczowianki. Przez ten czas Andrzej podszedł do swojego jeepa i wrzucił walizkę do bagażnika. Beata, czując się idiotycznie, położyła rękę na klamce, wzięła głęboki oddech i skoczyła na głęboką wodę.

- Hej! - pomachała mężowi, wysiadając z volvo i zastanawiając się, czy do niej podejdzie.

Nie podszedł.

- Spieszę się! - krzyknął tylko, wskakując do auta i przekręcając kluczyk. - Dzwonili ze stadniny. Marysi już nie ma, Jędrkowi włączyłem teletubisie. Psy zamknięte. Nie czekaj na mnie z kolacją - ostatnie słowa zagłuszył warkot silnika. Po chwili jego samochód zniknął za bramą, zostawiając za sobą błękitny obłok spalin.

Beata odetchnęła z ulgą. Moment konfrontacji z mężem odłożony.

A jesteś pewna, że pojechał do stadniny? - podpowiedział natychmiast usłużnie jakiś wewnętrzny głos. Jeżeli nie wyjaśnię tej sprawy z anonimem, zwiariuję - dotarło do niej w tym samym momencie.

Jędrka znalazła na kanapie przed telewizorem, zahipnotyzowanego przez cztery kolorowe stworzonka. Synek pozwolił się przytulić i pocałować, ale na większe zaangażowanie z jego strony na razie nie było co liczyć, więc Beata, zaczęła się energicznie krzątać po domu.

Niestety, dużo łatwiej zająć czymś ręce niż myśli, i w pewnym momencie Beacie zaczęło się regularnie zbierać na płacz. Szybko, żeby Mały nie widział, pobiegła do łazienki i dopiero tam wybuchła niepohamowanym szlochem. Przyciskając do twarzy ręcznik łkała spazmatycznie, nie mogąc poradzić sobie z emocjami, które od kilku godzin zbierały się w niej, szukając ujścia. Dopiero kiedy łzy wypłykały spod jej powiek obraz Andrzeja całującego Marysię, obraz, który uwierał jak gigantyczne ziarenko piasku, uspokoiła się na tyle, żeby odłożyć ręcznik i obmyć twarz zimną wodą.

- Mami! Piciu! - dobiegło w tym momencie z salonu uświadamiając Beacie, że na szczęście ma jeszcze w tym domu kogoś, komu naprawdę jest potrzebna.

- Już idę, synku - odrzyknęła i zaczęła w pośpiechu poprawiać makijaż. Mały nie powinien się zorientować, że coś jest nie tak.

Dwie godziny później Jędrak zasnął, wtulony w swojego ukochanego, żółtego misia. Beata pocałowała go w czoło na dobranoc, wyszła z pokoju i znowu poczuła się nieswojo. Dom, nie do końca jeszcze urządzony po przebudowie, odstraszał swoją pustką i wychylającym się z kątów mrokiem. Atmosfery nie ocieplały nawet porozrzucane wszędzie zabawki i kolorowe bazgroły Jędrka na drzwiach od łazienki. Beata podeszła do wąskiego okna w przedpokoju, przez które widać było oświetlony zewnętrzną lampą fragment podjazdu, pośrodku którego stało samotnie jej auto.

- A jeżeli on mnie naprawdę zdradza?

Złe myśli powróciły ze zdwojoną siłą i popchnęły Beatę do działań, o które nigdy wcześniej by siebie nie podejrzewała. Zaprowadziły ją mianowicie do gabinetu Andrzeja, przed jego wielkie, stare biurko, zarzucone najróżniejszymi szpargałami. „Przeszukaj, no, dalej!”, podpowiadały, kiedy tak stała niezdecydowana, patrząc z lękiem na mebel, jakby ten miał ją zaatakować. „Każda żona na twoim miejscu by to zrobiła!”

Więc chwyciła za mosiężny uchwyt i z trudem wyciągnęła ciężką, przepastną szufladę, pełną najprzeróżniejszych szpargałów. Przez chwilę pomyślała, że szukanie w tym bałaganie dowodów niewierności męża zakończy się grubym rozczarowaniem, jej wzrok przyciągnęło jednak coś migoczącego między papierami. Wyciągnęła rękę i po chwili między palcami przelewał jej się złoty, cienki łańcuszek, na którym kołysał się maleńki, również złoty symbol zodiakalnego lwa. Zaskoczona, w pierwszym momencie poczuła radość.

Jak to miło, uśmiechnęła się odruchowo, że ma już dla mnie prezent na urodziny!

Ale zaraz zapaliło jej się w głowie ostrzegawcze światełko. Złapała stojący na biurku kalendarz i zaczęła przerzucać kartki do tyłu. Kiedy to było, kiedy to było, gorączkowo próbowała sobie przypomnieć... Marzec! Marysia przyszła do pracy w pierwszym tygodniu marca! A Beata na wszelki wypadek zapisała sobie wtedy jej wszystkie dane... Marysia Szewczyk, córka Tadeusza i Joanny, urodzona 25 lipca 1988 r. w Pruszkowie...

- Dwudziesty piąty lipca... O, Boże, o Boże...! - przyłożyła dłonie do twarzy i na chwilę zamknęła oczy. - A więc jednak...

Przez chwilę walczyła z pokusą, żeby wyrzucić wisiorek za okno, w końcu odłożyła go z powrotem do szuflady i na miękkich nogach powlokła się do kuchni, zrobić sobie herbatę. Stała, bezmyślnie wpatrując się w czajnik elektryczny i nie starając powstrzymać płynących po policzkach łez. W głowie miała kompletny mętlik.

Najchętniej schowałaby się gdzieś albo uciekła.

Zamiast tego podjęła walkę z chandrą przy pomocy dwóch

tabliczek mlecznej czekolady, wyciągniętych z kredensu, oraz swojego ulubionego „Notting Hill”.

Walka niestety okazała się przegrana. W momencie, kiedy Hugh Grant dawał kosza Julii Roberts, musiała pobiec do łazienki po papier toaletowy, bo wszystkie chusteczki zużyła już wcześniej. W dodatku zdała sobie nagle sprawę, że minęła dziesiątą, a Andrzeja nadal nie ma. Usłużna wyobraźnia szybciotko podsunęła plastyczną wizję męża spoczywającego w objęciach Marysi w jakimś hotelowym pokoju...

Oczywiście pierwsze, co jej w tej sytuacji przyszło do głowy, to zadzwonić.

Andrzej nie odebrał.

Spróbowała więc jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze... I ciągle słyszała tylko nagrany wiadomość poczty głosowej.

Nie odbiera, bo jest z NIA! Na pewno!

To była jedyna myśl, jaka jej przychodziła do głowy.

Osunęła się po ścianie na podłogę i skuliła, oplatając ramionami kolana. Miała ochotę krzyczeć z bólu, rozpacz, tęsknoty. Dlaczego? - pytała siebie, pociągając nosem. Jednocześnie czuła, jak jej spódnica robi się coraz bardziej mokra od łez. Dlaczego to znowu mnie się zdarza? Co jest ze mną takiego, że nie potrafię stworzyć normalnego, dobrego związku?

Podniosła się i chwiejnym krokiem poszła z powrotem do kuchni. Mechanicznym ruchem otworzyła apteczkę, wyjęła niewielką, przezroczystą buteleczkę z napisem na etykietce „Pastyłki nasenne” i wysypała na stół całą zawartość. Chwilę siedziała nieruchomo, wpatrując się tępo w rozsypane tabletki. W końcu wzięła jedną w palce i połknęła, popijając resztką zimnej, słodkiej herbaty. Po chwili wahania połknęła następną, po czym zgarnęła resztę ze stołu i chwilę ważyła na dłoni... A potem wsypała je jednym ruchem z powrotem do buteleczki.

Wystarczy, stwierdziła i powoli ruszyła na górę. Na piętrze zajrzała jeszcze na chwilę do Jędrka - leżał rozkopany w niebieskiej pościeli, ciepły, mięciut - ki i przytulny, i posapywał cichutko przez nos. Beatka otuliła go czule kołderką.

- Śpij, kochanie - szepnęła, pocałowała go w czoło i poszła do



swojej sypialni.

Nie wiedziała, że na następny dzień los przygotował dla niej kolejny zestaw atrakcji.

\*\*\*

Obudziło ją, dochodzące z łazienki, wesołe pogwizdywanie Andrzeja. Niechętnie otworzyła zapuchnięte oczy i od razu zamknęła je z powrotem, w obronie przed jasnymi promieniami słońca, wypełniającymi pokój. Czuła się fatalnie - była zmęczona, bolała ją głowa i uwierało ubranie, w którym przespała noc. Na samą myśl, że powinna wstawać i szykować się do pracy, aż się wzdrygnęła. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie zadzwonić do biura i nie powiedzieć, że dziś nie przyjdzie, ale moment słabości minął. Postanowiła podjąć nierówną walkę z codziennością.

W tym momencie z łazienki wyszedł Andrzej. Miał na sobie dżinsy i stary, wyblakły t - shirt, który bardzo lubiła. Na jego widok powróciły wspomnienia poprzedniego dnia i Beata poczuła, że znowu pod powiekami zbierają jej się łzy.

- O! Cześć! Dobrze spałaś? - zapytał Andrzej obojętnym tonem i nie czekając na odpowiedź dodał: - Wychodzę! - Po czym faktycznie ruszył w stronę holu.

- Andrzej! - krzyknęła za nim Beata, podrywając się z łóżka.

- Tak? - odwrócił się w drzwiach, ale nadal na nią nie patrzył, zajęty poszukiwaniem czegoś w kieszeni spodni.

- Nie, nic... - Beata opadła z powrotem w pościel, a kiedy za mężem zamknęły się drzwi, wybuchła rozpaczliwym płaczem.

## ROZDZIAŁ 10

w którym sprawność fizyczna Moniki bardzo się przydaje

Monika wyskoczyła spod prysznica i, owijając się w pośpiechu jaskrawoniebieskim ręcznikiem, boso pobiegła do kuchni. Dochodziła ósma trzydzieści i Borys mógł się w każdej chwili obudzić. Włączyła ekspres, wrzuciła chleb do tosterka i wybiła na patelnię dwa jajka, ostrożnie, bardzo ostrożnie, bo Borys nie lubi rozlanych żółtek... Kiedy trzy minuty później zsuwała sadzone na talerz, kawa z ekspresu dopiero zaczynała ciurkać do dzbanka. Monika niecierpliwym ruchem przesunęła pokrętło na maksymalną moc, ale niewiele to pomogło.

Jak to dobrze, pomyślała, ustawiając naczynia na tacy, że umówiłam się z Beatą dopiero na dziesiątą. Zdążę mu jeszcze podać śniadanie... a może nie tylko...

Na myśl o tym, na co jeszcze, oprócz sadzonych, mógłby mieć ochotę Borys, poczuła zalewającą ją nagle falę gorąca...

Prawda była taka, że nigdy wcześniej z żadnym facetem seks nie sprawiał jej takiej frajdy. Przy Borysie czuła się najpiękniejsza. Najseksowniejsza. Najbardziej pożądana. Wyjątkowa. Chwilo, trwaj!

A jeśli to zbyt piękne? - Monika zadrżała. Przecież świetnie zdawała sobie sprawę, że jej szczęście zależy od zbyt wielu czynników, z pozoru błahych... Na przykład: zmarszczki. Wokół jej oczu ostatnio pojawiły się pierwsze, niepokojące linie. Nie mogła przecież pozwolić, żeby Borys je dostrzegł. Oczywiście wiedział, że jest od niego starsza, ale ciągle nie miał pojęcia, jak bardzo, i Monika dużo by dała, żeby dalej pozostawał w tej błogiej nieświadomości. Dlatego codziennie rano, kiedy on jeszcze spał, pracowicie wklepywała w twarz kremy, nakładała specjalne maseczki i masowała policzki, a wszystko po to, żeby zatuzszować krępującą różnicę dziesięciu lat, jaka ich dzieliła.

- Moni?! Obudził się!

Monika złapała tacę i popędziła do sypialni. Borys leżał w

poprzek łóżka, a jego nagie muskularne ciało przesłaniał tylko, niedbale narzucony, biały trójkąt prześcieradła. Na widok Moniki przeciągnął się, napinając mięśnie i poklepał zachęcająco dłonią materac obok siebie.

- No, chodź...

Monika posłusznie odstawiła tacę na mały stolik, wślizgnęła się pod prześcieradło i przytuliła mocno do niego.

- Mhm... - przygarnął ją ramieniem.

- Mam dla ciebie śniadanko, Misiu... - wyszeptała mu czule do ucha, a potem delikatnie pocałowała w szyję.

- Mhm... na pewno masz coś jeszcze... - zamruczał i wsunął dłoń pod ręcznik, którym była owinięta.

- Już późno... - westchnęła. - Ja muszę...

- Co musisz? - palce Borysa zaczęły się powoli przesuwac coraz wyżej po jej udzie.

- Jestem umówiona...

Zanurzył twarz w jej włosach i wyszeptał:

- Najpierw przyjemność, potem obowiązek. Nie miała siły dyskutować...

Tego właśnie najbardziej brakowało Zbyszkowi... - przemknęło Monice przez głowę jakieś dwadzieścia minut później. Spontaniczności. Nie, no oczywiście seks z nim był całkiem przyjemny, ale taki strasznie... serio. Zero fantazji, zero szaleństwa. I przewidywalny aż do bólu. Zupełnie jak ta jego szara, flanelowa piżama, w której spał bez względu na porę roku.

Mniej namiętności, więcej bliskości, podsumowała szybko, i zaraz sama siebie za to skarciła... Przecież Borys też jest jej bliski, nawet bardzo. Po prostu ze Zbyszkim byli ze sobą tak długo...

Za długo, zreflektowała się nagle i wstała z łóżka tak energicznie, jakby chciała zrzucić z siebie wspomnienia. Bosą stopą natrafiła na jakiś przedmiot, leżący na podłodze. To był budzik, który musiał spaść z szafki nocnej, kiedy się kochali. Podniosła go.

- O nie! - jęknęła.

Czerwone cyferki dyskretnym pulsowaniem sygnalizowały, że

do wyjścia z domu pozostał jej najwyżej kwadrans.

Przelykając w biegu zimny tost, rzuciła się do szafy. Jej garderoba składała się teraz z dwóch rodzajów ciuchów - tych sprzed Borysa, czyli za dużych, za luźnych i za mało kobiecych, oraz tych, w których mogła mu się pokazać, licząc na akceptację. Niestety, tych drugich było zdecydowanie mniej. Kiedy zdenerwowana przesuwiała wieszaki, objęły ją mokre ramiona Borysa, a na karku poczuła delikatne muśnięcie jego warg.

- Mała powtórka? Co ty na to? - szepnął, przytulając się do niej, i Monika wyraźnie poczuła, że jego propozycja nie jest gołosłowna.

- Kochanie, nie mogę, naprawdę - wyswobodziła się z uścisku i coraz bardziej nerwowo zaczęła przerzucać rzeczy w poszukiwaniu dżinsowych rybaczek, które wczoraj, a może przedwczoraj miała na sobie podczas wieczornego spaceru brzegiem Wisły.

- Nie widziałeś takich moich krótkich dżinsów? - jęknęła.

- Tych? - wskazał palcem błękitną nogawkę, przewieszoną przez oparcie starego, pluszowego fotela stojącego pod oknem. Kompletnie nagi, stał obok, oparty biodrem o szafę, jakby na coś czekał.

- Dzięki! - ucieszyła się, usiłując na niego nie patrzeć. Gwałtownym ruchem wyciągnęła spodnie spod sterty innych ciuchów. Zbyt gwałtownym. Wolna nogawka najpierw się naprężyła, a później wystrzeliła z zadziwiającą siłą dobrego streczu, kosząc po drodze opasy stos przeróżnych mniej i bardziej ważnych papierów, ułożony na parapecie. W jednej chwili podłoga pokryła się szeleszczącym dywanem kartek. Monika zamarła, przyglądając się bezradnie rozmiarom kłęski.

- Dobra, ubieraj się, ja posprzątam - westchnął Borys. - Tylko lepiej idź gdzieś stąd, bo jak mi tu taka goła latasz, to za siebie nie ręczę.

Kiedy kilka minut później wyszła z łazienki, gotowa na spotkanie z przyjaciółką, Borys w kolorowych bokserkach siedział po turecku na łóżku, a przed nim leżały uporządkowane kolorowe arkusze wydrukowanych z

komputera zdjęć.

- Oj, nie oglądaj tego, fatalnie na nich wyszłam - zdenerwowała się, próbując wyrwać mu odbitki, ale zrećcznie odsunął je z zasięgu jej ręki.

- Coś ty, fajna laska jesteś... a ta obok, też niczego sobie. Co to za jedna?

- No przecież Becia, moja przyjaciółka, mówiłam ci o niej, ta, co jest prezesem i wyszła za weterynarza - Monika rozglądała się teraz dla odmiany za komórką. - Właśnie się idę z nią zobaczyć.

- Aaa, pani prezes... - Borys z uwagą przeglądał zdjęcia - Niezła lala. A ta chałupa też niczego sobie... to u niej było robione?

- Aha... Nie widziałeś mojego telefonu?

- Widziałem, ale nie pamiętam, gdzie. Może na szafce nocnej. To ona ma chyba niezłą kasę, co?

- No, niezłą... - Monika zanurkowała pod ramieniem Borysa i z ulgą wyciągnęła spod rozłożonej książki swojego ericssona.

- A ten dzieciak to ich?

- A czyż? Lecę, pa! - pocałowała go w policzek, a zamyślony Borys na pożegnanie klepnął ją lekko w pośladek.

## ROZDZIAŁ 11

o tym, że jedni mają rolexa, a drudzy nie

Woda gwałtownie zabulgotała i elektryczny czajnik wyłączył się z cichym pstryknięciem. Witold Dębicki wstał niechętnie od biurka i przeszedł do sąsiedniego pokoju przygotować sobie coś do picia. Sylwia, jego sekretarka, od trzech dni była na zwolnieniu, więc chcąc nie chcąc musiał radzić sobie sam. Okazało się zresztą, że nie było to specjalnie trudne. Po prostu parę razy zrobił kawę i odebrał dwa telefony, z których jeden okazał się automatycznym komunikatem telekomunikacji polskiej o niezapłaconym rachunku. No cóż, ostatnio nie miewał dużo zleceń. Większość klientów przejęły duże agencje detektywistyczne. Jak tak dalej pójdzie, pewnie będzie musiał się pożegnać z Sylwią. Trochę szkoda, bo była miła i jej obecność dodawała agencji renomy, ale miała jedną podstawową wadę - nie pracowała za darmo.

Na parapecie okna, obok czajnika, stały dwa słoiki z kawą, puszka Liptona, dwie białe, porcelitowe filiżanki i kilka kubków. Dębicki sięgnął po duży, żółty, lekko wyszczerbiony, z granatowym napisem Radio Pogoda. Wsypał łyżeczkę prawdziwej kawy, nie tego rozpuszczalnego gówna, zalał wodą i przykrył szczelnie spodkiem, żeby napój naciągnął. Dookoła natychmiast rozniósł się aromat, intensywny i obiecujący.

Dębicki podrapał się leniwie po wydatnym brzuchu i wyjrzał przez okno na ulicę. Piętro niżej od wczesnego rana do późnego wieczora trwał nieprzerwany ruch. Rozpaczliwie wąską arterią mieszkańcy podwarszawskich okolic przemieszczali się tam i z powrotem setkami aut, za którymi ciągnął się hałas silników i smród spalin. Od dymu czasami aż kręciło się w głowie. Mimo to pawilony przy szosie warszawskiej uważane były w Pruszkowie za jedną z najlepszych lokalizacji, a czynsze odbiegały tu od przeciętnych w górę, nie w dół.

Żaluzje - pomyślał Dębicki, biorąc kubek z kawą do ręki. Może

powiniennem kupić żaluzje?

W uporczywy szum dochodzący z zewnątrz wdarł się ostry dźwięk domofonu. Nie spiesząc się, Dębicki odstawił kubek i pochylił nad biurkiem sekretarki.

- Agencja, słucham.

- Byłem umówiony na dzisiaj...

Aaa, prawda, przypomniał sobie Dębicki, to na pewno ten facet, dla którego ostatnio pracował.

- Lokal siedem.

Nacisnął brzęczyk i po chwili na parterze trzasnęły drzwi. Podczas gdy klient pokonywał schody na piętro, Dębicki próbował sobie przypomnieć, co wie na jego temat. Mężczyzna, sądząc z głosu między trzydziestką a czterdziestką, mówiący z lekkim obcym akcentem oznajmił, że znalazł reklamę agencji w In - ternecie, że ma pilne zlecenie, i spytał, ilu pracowników będzie do dyspozycji. A kiedy Dębicki, pewny, że traci klienta, przyznał, że działa sam, mężczyzna zlecił mu pilną robotę. Dębicki odniósł nawet wrażenie, że tym chętniej.

Pewnie to jakaś znana osoba, która chce zachować anonimowość, pomyślał. Wiadomo, im mniej ludzi, tym większa dyskrecja.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na progu stanął przystojny, wysoki, świetnie zbudowany szatyn mocno po trzydziestce. Miał na sobie garnitur, na który normalny człowiek musiałby pracować przez kwartał, buty w podobnym przedziale cenowym i równie kosztowną opaleniznę. Wyglądał na człowieka sukcesu, pachniał jak człowiek sukcesu i tak też się zachowywał.

Zrobił zdecydowany krok do środka i obrzucił taksującym spojrzeniem niewielkie pomieszczenie. Umeblowanie, więcej niż skromne, nie wystawiało zbyt dobrego świadectwa możliwościom agencji. Dębicki poczuł się trochę nieswojo.

- Witam - mocno uściśnął przybyłemu rękę, starając się od początku zrobić jak najlepsze wrażenie. - Witold Dębicki.

Dłoń mężczyzny zacisnęła się na jego rękę z taką siłą, że poczuł ból.

- Spiesz mi się - oświadczył gość. - Nie myślałem, że droga z

Warszawy tutaj zajmie mi aż - podciągnął rękaw i wymownie spojrzął na złotego rolexa na lewym nadgarstku - czterdzieści pięć minut.

Dębicki spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- Aż? W szczytce się jedzie półtorej godziny. Mężczyzna pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Niemożliwe...

- Możliwe. Dawno pan chyba nie bywał w tych okolicach...

Przybysz ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

- Dawno nie bywałem w Polsce. Ale do rzeczy...

- Proszę, proszę dalej - zreflektował się Dębicki, zapraszając gościa gestem ręki do gabinetu.

Ciekawe, pomyślał obserwując, jak ten pewnym krokiem podchodzi do biurka i zajmuje miejsce dla klientów, po co takiemu facetowi informacje, które kazał mi zebrać. Rozwód? Czy może raczej przygotowanie do egzekucji długów?

Mężczyzna usiadł wygodnie, założył nogę na nogę i utkwiał w Dębickim ironiczne spojrzenie.

- Chyba nie zbił pan na tym interesie kokosów, co? - zaczął się bawić złotym, trochę pretensjonalnym sygnetem z wizerunkiem ptaka, który połyskiwał na małym palcu jego lewej ręki.

- No, wie pan, jest duża konkurencja... - zaczął Dębicki, ale klient od razu mu przerwał.

- Nieważne. Mnie zależy na jednym. Na dyskrecji.

- Oczywiście! - podchwycił Dębicki. - Dyskrecja to moje drugie imię - próbował dać tamtemu do zrozumienia, że jest nie tylko profesjonalistą, ale ma także poczucie humoru. A może raczej chciał to dać do zrozumienia sobie?

Klient uśmiechnął się zimno.

- Świetnie. Słucham. Niech pan referuje. Czego się pan dowiedział?



## ROZDZIAŁ 12

po którym Monika już wie, że musi coś zrobić

Monika, idąc w dół Łazienek od Alej Ujazdowskich i mijając kobiety z wózkami, emerytów karmiących wiewiórki oraz zakochane pary, trzymające się za ręce, cały czas myślała intensywnie, co takiego mogło się stać Becie. Dawno już nie widziała jej w takim stanie. Ostatnio chyba jakieś trzy lata temu, kiedy pierwszy mąż Beci, kawał drania, pokazał, co potrafi. O co chodziło tym razem?!

Szkoda, że nie zauważyła od razu w Coffee Hea - ven, że z Becią jest coś nie tak... Gdyby wiedziała, że przyjaciółka potrzebuje pomocy, ich rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej. Bacia była przecież najważniejszą osobą w życiu Moniki. Dlatego, choć może w niezbyt zręczny sposób, próbowała się z nią podzielić informacją o tym, że w jej życiu pojawił się ktoś nowy. I w najgorszych wyobrażeniach nie spodziewała się, że Beata zareaguje aż tak. Oczywiście, nie liczyła na jej entuzjazm w stosunku do Borysa - przyjaciółka za bardzo była przywiązana do Zbyszka, za bardzo go lubiła - ale tego, że Bacia się na nią zwyczajnie obrazi, nie brała pod uwagę. Monikę to zabolalo. Zabolalo ją również, że Beata nie potrafiła, czy raczej nie chciała jej zrozumieć, choć sama tak niedawno też przeżyła totalne zauroczenie. Totalne i fatalne...

W każdym razie rozstały się w złości, czego Monika nie znosiła. Uwierało ją to tak bardzo, że zdecydowała się zadzwonić i przeprosić Beatę. I bardzo dobrze, że się odezwała. Jeżeli Bacia ma kłopoty, to na kogo może liczyć, jeżeli nie na swoją najlepszą przyjaciółkę?

Monika skręciła w prawo, minęła pawia podrywającego wiewiórkę, wyszła na otwartą przestrzeń ogromnego trawiastego zbocza i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu Beatki. Po chwili zauważyła ją na ławce nad stawem, naprzeciwko Belwederu i ruszyła w jej stronę prawie biegiem.

Beata, skulona w sobie i z zaczerwienionymi oczami, wyglądała o jakieś dziesięć lat starszej niż zwykle.

Aleją walnęło - pomyślała Monika. Znowu.

- Kochanie, co się stało? - przysiadła obok i objęła Beatkę ramieniem. - Strasznie wyglądasz!

Beata przygryzła wargi, żeby się nie popłakać, w związku z czym nie bardzo mogła wydusić z siebie cokolwiek.

- Kłopoty w firmie? - próbowała wydobyć z niej informację Monika. - Coś ze zdrowiem? Jędrus? Kotku, mów!

Na czubek eleganckiego, beżowego pantofelka Beaty kapnęła łza i spłynęła w dół, zabierając ze sobą drobinki kurzu i zostawiając na jasnej powierzchni cieniutką, ciemniejszą smużkę.

- Andrzej ma romans - usłyszała Monika ciche wyznanie przyjaciółki. - Z naszą niańką.

Przez chwilę nic nie mówiły. Ciężar gatunkowy wiadomości przytłoczył je obie. Beata przestała powstrzymywać płacz i do pierwszej łzy dołączyły rzesistą strugą następne. Zaczęła jej się trząść broda, potem ramiona, i w końcu opanował ją tak przemożny szloch, że przechodzący alejką ludzie oglądali się na nią ciekawie. Monika chwyciła Becie za rękaw, podniosła z ławeczki i zaciągnęła za gigantyczny krzak azalii, który oddzielił je od niepowołanych oczu.

- Wytrzymaj się - podała przyjaciółce paczkę chusteczek. - I mów, skąd masz takie informacje.

- Dostałam anonim - chlipnęła Becia między jednym smarknięciem nosa a drugim. - Ktoś napisał, że Andrzej ma z nią romans! Z Marysią! To jakiś koszmar!

- Beatka! - Monika chwyciła ją za ramiona i zajrzała w zapuchniętą twarz przyjaciółki. - I ty się tym przejmujesz? Anonimem? Przecież to jakiś żart, albo coś!

Beata zrobiła krok do tyłu, uwalniając się z uścisku.

- Jaki żart? Kto by chciał robić takie żarty? - usta znowu wykrzywiły jej się do płaczu. - On mnie z nią zdradza, mówię ci! Deja vu, pomyślała w tym momencie Monika. Z taką samą rozpaczą w oczach Beata przed trzema laty utwierdzała się w przekonaniu, że jej narzeczony ma romans z tajemniczą zieloną

nieznajomą, a Monika jej tłumaczyła, że to nieprawda. I niestety, nic dobrego z tego nie wynikło.

- Masz ten anonim?

Beata wyciągnęła z torebki złożoną na pół kartkę.

- A koperta?

- O, nie! - spłoszyła się Beata. - Wyrzuciłam!

- Pamiętasz przynajmniej, jak wyglądała? Beata pokręciła przecząco głową.

- Nie zwróciłam uwagi, taka szara... Tam był tylko adres, na komputerze wypisany, nic więcej.

- Żadnego znaczka? - zdziwiła się Monika.

- Nie. Ktoś musiał wrzucić bezpośrednio do skrzynki.

Monika zmarszczyła brwi.

- Skoro nie wiemy, kto sobie takie żarty robi, to powinniśmy się do tego zabrać od innej strony...

- Od jakiej? - ożywiła się odrobinę Beata.

- Po prostu trzeba sprawdzić czy oni rzeczywiście mają ten romans, czy nie!

Po tych słowach obie musiały trochę ochłonąć.

- Słuchaj... - odezwała się wreszcie Monika. - Czy gdyby nie anonim, przysłoby ci do głowy, że on i ta dziewczyna...

Na twarzy Beaty pojawiło się skupienie.

- Przedtem nie... Ta Marysia ma co prawda, taki... wyzywający styl, ale byłam zupełnie pewna Andrzeja...

Monika nadstawiła uszu. - A teraz?

- Nie wiem. Wczoraj znalazłam coś dziwnego...

- Co? No, mów!

- Złoty wisiołek. Bardzo ładny. W kształcie lwa, wiesz, taki symbol znaku zodiaku...

- Czekał, przecież ty jesteś lew? - zdziwiła się Monika.

- No i co z tego? Ona też jest. I on to na pewno dla niej kupił, na pewno!

- A gdzie był ten łańcuszek?

- W szufladzie biurka Andrzeja...

Monika uśmiechnęła się i pogłaskała przyjaciółkę po policzku.

- Kochana, przecież to na pewno prezent dla ciebie na urodziny!

Tym razem Beatka nie wytrzymała.

- Przestań! Też tak najpierw pomyślałam. Ale przecież jakby to miał być prezent, to byłby jakoś zapakowany...

- No tak, za to kochance nie musi pakować!

- A pamiętasz film „To właśnie miłość”? Jak Emma Thompson znajduje w kieszeni męża pudełeczko, w nim wisiorek, jest wzruszona, bo to przed gwiazdką, więc odkłada dyskretnie z powrotem i czeka podniecona na rozpakowywanie prezentów, po czym dostaje płytę. I już wie, że wisiorek był dla tej drugiej. I cierpi strasznie...

- Jaki z tego, przepraszam, wniosek?

- Że ja się tak nie dam nabrać. To na pewno jest prezent dla niej, na pewno.

Monika, widząc w przyjaciółce coraz większą determinację, postanowiła coś, co od początku wydało jej się oczywiste.

- No to zdaje się, nie mamy innego wyjścia. Będziemy musiały przeprowadzić śledztwo!

Rozstały się przy pomniku Piłsudskiego. Beatka poszła do samochodu zaparkowanego obok szwedzkiej ambasady, a Monika ruszyła Alejami Ujazdowskimi w stronę placu Na Rozdrożu. Z naprzeciwka, prawie całą szerokością chodnika, nadchodziła grupa młodych ludzi - na oko druga lub trzecia gimnazjum - w pogodnych, wakacyjnych nastrojach. Chłopcy przepychali się, popisując przed dziewczynami, które chichotały, komentując ich wygłupy. W pewnym momencie jeden z nich ukraść drugiemu czapkę z daszkiem i zaczął uciekać szalonym sprintem. Dwóch innych rzuciło się za nim w pogoń, a dziewczyny skakały i biły brawo, szturchając się ze śmiechem łokciami.

Energia ich rozpiera, myślała Monika, obserwując młodzież z uśmiechem.

Ale przecież to samo mogłaby powiedzieć o sobie. Ją też rozpierała energia, czerpana z wysokiego, barczystego, dwudziestotrzyletniego akumulatora, i ona też cieszyła się wakacjami, a najbardziej - wyjazdem w góry, który zaplanowali z Borysem na sierpień. Mieli oczywiście jechać na motorze. Monika uwielbiała ten moment, kiedy silnik ryczał,

pęd powietrza zapierał dech, a ona przytulona do szerokich pleców swojego mężczyzny czuła, że do niego należy.

Natomiast to, czy Borys należy do niej, to już była zupełnie inna kwestia, nad którą wołała się za bardzo nie zastanawiać.

Zwłaszcza, że teraz miała co innego na głowie. Andrzeja i niańkę! Właśnie w momencie, kiedy sobie o tym przypomniła, jej komórka brzdęknęła sygnałem sms - a.

Monika niecierpliwie sięgnęła po telefon. Odkąd poznała Borysa, komórka stała się dla niej przedmiotem pierwszej potrzeby. Kiedyś zdarzało jej się zapomnieć aparatu w domu albo zostawiała go w czasie lekcji w kantorku i potem godzinami nie sprawdzała, czy przyszły jakieś wiadomości. Teraz komórka awansowała na drugiego co do ważności członka rodziny i była w ciągłym użyciu. Monika nauczyła się pisać do Borysa dosłownie o wszystkim - jaki kolor mają róże na skwerku, obok którego przechodzi, albo że właśnie złamała paznokieć. Natomiast sms - y od Borysa traktowały najczęściej o jednym, i to w taki sposób, że czytając je, oblewała się rumieńcem od stóp do głów. Były zabawne, podniecające i namiętne, i Monika uzależniła się od nich jak od narkotyku. Zresztą od ich autora także...

Ale ten sms nie był od Borysa. Napis na ekranie informował, że dostała wiadomość od Zbyszka.

W pierwszej chwili nie wiedziała, jak zareagować, stała więc wpatrując się bezmyślnie w telefon i próbując poradzić sobie z uczuciami, które nagle ją ogarnęły. Nie spodziewała się, że Zbyszek odezwie się tak szybko. Nie była gotowa na kontakt z nim. Jeszcze nie teraz.

Nie widzieli się, odkąd wyjechał do Niemiec, a ich ostatnie spotkanie nie należało do przyjemnych.

Monika, która już od jakiegoś czasu dusiła się w tym związku, próbowała go ostatecznie zakończyć, starając się jednak zbyt mocno nie ranić Zbyszka. Niestety, operacji na otwartym sercu nie da się przeprowadzić bezboleśnie. Pojawiło się za dużo niepotrzebnych słów, za dużo emocji... W końcu po długiej i burzliwej dyskusji ustalili, że to nie będzie definitywne rozstanie. Dali sobie „jakiś czas” na przemyślenie wszystkiego i

rozeszli w dwie strony, jednak okazało się, że Monika robi zdecydowanie większe kroki. Biegła przed siebie coraz szybciej, kosztując nowych wrażeń i starając się nie myśleć o tym, co pozostawiła za sobą.

A sms, który właśnie nadszedł sprawił, że znowu poczuła się winna. To nie było przyjemne uczucie i dlatego najchętniej wykasowałyby tę wiadomość z pamięci telefonu. Niestety, wiedziała bardzo dobrze, że z jej własnej pamięci Zbyszka tak łatwo wykasować się nie da. Westchnęła więc ciężko i nacisnęła: Odczytaj teraz.

„Zostały u Ciebie moje rzeczy. Kiedy mogę po nie wpaść?”

Więc tylko o to chodziło. Ale czy na pewno? A jeżeli ten odbiór rzeczy to tylko pretekst z jego strony? Jeżeli znowu zacznie wszystko rozdrapywać, przekonywać, że ją kocha nad życie i namawiać, żeby znowu byli razem?

Oczywiście Monika świetnie zdawała sobie sprawę, że powinni jeszcze raz poważnie ze sobą porozmawiać i wszystko sobie do końca wyjaśnić. Tak byłoby bardziej... humanitarnie. Problem jednak polegał na tym, że na razie na spotkanie ze Zbyszkiem kompletnie nie była gotowa. Bała się swoich wyrzutów sumienia i jego wzroku zbitego psa, bała się reakcji Zbyszka na to, że TO JUŻ KONIEC. Nie mówiąc o tym, że nie chciała, żeby jej były kręcił się po mieszkaniu, które aktualny traktował jak własne.

Odetchnęła głęboko i drżącym palcem nacisnęła: Odpowiedz.

„Nie przychodź. Odwiozę ci. Jaki adres?”

## ROZDZIAŁ 13

w którym Zbyszek niepotrzebnie wygląda przez okno

- Spacerowa 1. Jesteś pewna, że to tutaj? - Borys zatrzymał motor przed bramą budowy i rozejrzał się dookoła ze zdziwieniem. - Przecież tu jeszcze nikt nie mieszka.

- Jestem pewna.

Borys dodał gazu i jego suzuki bandit, wydając charakterystyczny głośny klekot, podtoczyło się do łańcucha zagradzającego wjazd. Z budki strażnika wyszedł młody mężczyzna w mundurze i, utykając, ruszył w ich kierunku.

- Ale cacko! - krzyknął, wskazując na motor. - Sześćsetka?

- Aha - Borys w odpowiedzi przygazował ostro, demonstrując możliwości maszyny.

- Kurde... super. Ile wyciąga?! - zaciekawiony strażnik podszedł do nich i oparł się ręką o motocykl.

- Ponad dwieście na trasie.

- Bez jaj! A do setki w ile?

- Cztery sekundy.

Strażnik pokręcił z podziwu głową i zaczął uważnie przyglądać się zegarom, pokrętlom i przekładniom, zamontowanym na błyśczącej tablicy rozdzielczej.

- Ja do pana Wierzbickiego - wtrąciła się Monika.

- Co? A, jasne. W biurze jest. Zaraz do niego prze - dzwonię...

- Nie trzeba, spodziewa się mnie. Gdzie go znajdę? - zsunęła się z siodełka i poprawiła szelki plecaka, które przez drogę zdążyły obetrzeć jej lekko ramiona.

- Tamte drzwi - strażnik wskazał najbliższe wejście do baraku. - Z sieni na lewo.

Monika uśmiechnęła się do Borysa i ruszyła w kierunku budynku.

W odpowiedzi na jej pukanie ze środka rozległ się jakiś stuk, potem szuranie przesuwanego po podłodze krzesła, a wreszcie odgłos kroków.

- Moment - usłyszała, po chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Zbyszek - nieogolony, z podkrążonymi oczami, włosami w nieładzie i koszulą niedokładnie wetkniętą w spodnie. Wyglądał tak, jakby go właśnie wyrwała z drzemki.

- To ty? - patrzył na nią, zdziwiony. Dopiero po chwili zreflektował się i cofnął w głąb pomieszczenia, zapraszając ją gestem. - Wejdz, proszę...

Monika wsunęła się ostrożnie do środka, cała ta sytuacja była jeszcze trudniejsza i bardziej niezręczna, niż to sobie wyobrażała podczas drogi. Wyciągnęła przed siebie plecak, odgradzając się nim od Zbyszka.

- Przyniosłam twoje rzeczy - powiedziała cicho. - Zostały jeszcze jakieś zimowe ciuchy i trochę drobiazgów, ale to następnym razem. Teraz nie dałam rady.

- Przecież mówiłem, że przyjadę. Nie musiałś się fatygować.

- Ale to żadna fatyga. Miałam transport - mówiąc to, ugryzła się w język. Zaraz Zbyszek zacznie wypytywać, kto ją przywiózł i dlaczego.

A jednak nie zaczął. Przez jakiś czas nie odzywał się, tylko przyglądał jej uważnie, jakby chciał zapamiętać na długo. W końcu poruszył inny, jeszcze bardziej drażliwy temat.

- Pamiętasz... Pamiętasz, kiedy się pierwszy raz zobaczyliśmy? Wtedy, jak na mnie usiadłaś po ciemku? No i popatrz, znowu mieszkam na budowie... - Najwyraźniej starał się przerwać nieprzyjemną ciszę, która zawisła między nimi i gęstniała z każdą minutą.

- Pamiętam - ucięła, wbijając wzrok w pokrytą zieloną wykładziną podłogę, ale Zbyszek nie dawał za wygraną.

- Napijesz się czegoś? Może kawy ci zrobię? Jest twój ulubiony Jacobs Gold...

- Nie, dzięki, muszę lecieć - tak naprawdę bała się, że jeżeli zostanie choć minutę dłużej, to zacznie mu poprawiać kołnierzyk i wypytywać, czy dobrze się czuje. Bo zauważyła, że Zbyszek bardzo źle wygląda. Za dużo pracuje, pomyślała, i zaraz odegna - ła tę myśl daleko od siebie. To co z tego? Skarciła się w duchu. Nie mój problem.



- Cześć, trzymaj się - odłożyła szybko plecak na najbliższe krzesło, odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

Zbyszek miał odruch, żeby ją przytrzymać za ramiona, przytulić i nie pozwolić znowu odejść, ale kiedy zrobił krok w kierunku drzwi, po Monice został tylko intensywny zapach jej ulubionych perfum.

- Ty idioto! - zdenerwował się sam na siebie i szybko podszedł do okna, popatrzeć, jak odjeżdża.

Miał stąd idealny widok na podjazd i bramę. Monika szybkim krokiem wyszła z budynku i ruszyła w kierunku wysokiego, postawnego motocyklisty, opierającego się niedbale o efektowny, czerwony ści - gacz.

Zbyszek zacisnął kurczowo dłonie na parapecie.

Monika podeszła do mężczyzny, coś mu powiedziała, a on objął ją w pasie, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Monika przez chwilę jakby się trochę opierała, ale w końcu zarzuciła mu ręce na szyję i odpowiedziała na pocałunek. Dłoń motocyklisty zsunęła się z jej talii na biodro... W końcu Monika delikatnie wyswobodziła się z objęć mężczyzny, włożyła kask, który jej podał i po chwili odjechali, pozostawiając za sobą szarą smugę kurzu.

Zbyszek patrzył za nimi, dopóki kurz nie opadł, a potem podszedł do szafki stojącej w kącie biura, otworzył ją kluczem i wyjął z niej jeszcze nienapoczętą butelkę whisky.

## ROZDZIAŁ 14

### **o tym, że lornetka bardzo by się przydała**

Czerwony motocykl zatrzymał się przed apteką na rynku w Czerwińsku. Monika zsunęła się z siodełka, zdjęła kask i oddała Borysowi.

- Hej mała, powiesz mi wreszcie, o co chodzi? - objął Monikę w pasie i przyciągnął do siebie. - Bo jak nie, to będę to musiał z ciebie wyciągnąć siłą...

Monika, którą jego oddech połaskotał w szyję, zachichotała. Pewnie nic by się nie stało, gdyby mu zdradziła powód wycieczki, ale gdzieś podświadomie czuła, że pomysł śledzenia Andrzeja niekoniecznie musiałby się Borysowi spodobać. Męska solidarność, te rzeczy...

- Siłą? Hm... ciekawe... nie mogę się doczekać.

- To mi się podoba - przyciągnął ją jeszcze bliżej - musimy to sobie dokładnie omówić... jak wrócisz.

Zaczęli się całować i Monika pożałowała nagle, że zgodziła się tu przyjechać. O wiele przyjemniej byłoby wrócić teraz z Borysem do domu...

Tylko, że przecież obiecała coś Beci.

Wysunęła się więc niechętnie z jego ramion.

- Jedź już.

Borys zmrużył oczy i popatrzył na nią kpiąco.

- No, to co tu będziesz robić?

- Nie powiem - pokręciła ze śmiechem głową.

- Wykorzystujesz mnie jako środek transportu i nawet nie wiem, w jakim celu?

- Ty mnie wykorzystujesz w inny sposób...

- Ja?! Ciebie?! A kto wczoraj wieczorem nie pozwolił mi doczytać Cobena do końca?

Monika roześmiała się.

- No jedź, wariacie!

Borys włożył z powrotem kask i zapalił motor.

- Kiedy będziesz w domu?

Monika poczuła, jak ciepło jej się robi na sercu. Powiedział: „w domu”!

- Jakoś wieczorem. Zadzwoń.

Pomachała mu, a kiedy zniknął, przeszła na drugą stronę ulicy, do kiosku, gdzie zaopatrzyła się w „Gazetę Wyborczą” i paczkę miętowej gumy do żucia, podstawowe, jak jej się wydawało, akcesoria detektywa amatora. A potem poszła szukać miejsca, gdzie mogłaby się przy ich pomocy zakonspirować.

Wczoraj, kiedy wpadła na pomysł prywatnego śledztwa, nie zastanawiała się nad szczegółami. Wy tłumaczyła zaskoczonej Beacie, że „poobserwuje” jej męża i sprawdzi, czy ma się ku opiekunce, czy też nie. Natomiast dzisiaj, kiedy przyszło co do czego i zaczęła słowa wprowadzać w czyn, zapal Moniki trochę jakby ostygł.

To, że Czerwińsk nie przypomina Warszawy, właściwie wiedziała już wcześniej, ale dopiero teraz uświadomiła sobie konsekwencje tej różnicy. Po pierwsze - każda napotkana osoba obrzucała ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów, a niektóre bez skrępowania się za nią oglądały. Czuli się tak, jakby miała jakiś wyraźny defekt, i dopiero po jakimś czasie rozumiała, że owszem - jej defektem było to, że nie jest miejscowa.

Po drugie - ilość ławeczek w rejonie lecznicy Andrzeja, na których można by było usiąść i poobserwować okolicę, zasłaniając się gazetą, wynosiła zero. W dodatku naprzeciwko nie było żadnej kawiarni czy choćby zwykłego sklepu, z wnętrza którego widać byłoby budynek lecznicy. Może gdyby Monika miała samochód... Ale nie miała, więc szansa na to, że będzie podglądać, sama pozostając niewidzialna, stawiała się coraz mniej realna. Przeszła co prawda dwa razy ulicą, próbując zajrzeć przez okna do środka, ale miała wrażenie, że całe miasteczko pokazuje ją sobie palcami.

Skoro obserwacja od frontu była skazana na niepowodzenie, Monika postanowiła sprawdzić zaplecze. Obejście posesji naokoło nie stanowiło specjalnego problemu. Wąska dróżka prowadziła na tyły ogrodu, za którym nie było już zabudowań, tylko trawiasta pagórkowata przestrzeń, porośnięta młodymi

brzózkami, które rozprzestrzeniły się niczym chwasty. Monika podeszła do kępy kilku wyższych, dorosłych drzew, górujących nad pozostałymi jak rodzice nad dziećmi. Chłodny cień przyjął ją do swego schronienia, dając złudzenie, że w jego ciemnej przestrzeni staje się niewidoczna dla obcych oczu.

Jednak miejsce, choć z pewnością mniej eksponowane niż główna ulica, miało za to dużo gorszą widoczność. To znaczy owszem, było widać ogród Beatki, leżaki, huśtawkę, tylko że wszystko to było zdecydowanie za daleko. A o tym, żeby cokolwiek dostrzec przez okna we wnętrzu domu, w ogóle nie mogło być mowy. Może gdyby podeszła bliżej... Ale się bała. Tkwiła więc pod drzewami, a jedyna refleksja, na jaką ją było stać, to to, że w kioskach ruchu powinni również sprzedawać lornetki.

Minęło pół godziny. Monika ostrożnie przejrzała gazetę, tak jakby jej szelest mógł ją zdekonspirować, przeżuła dwa listki gumy, zaczęła dłubać korę na pniu najbliższej brzozy, a kiedy właśnie miała wyjąć komórkę, żeby włączyć sobie jakąś grę, w ogrodzie coś się poruszyło. Znudzona czekaniem i potwornie ciekawa, natychmiast opuściła bezpieczne schronienie i ruszyła szybko w kierunku płotu.

Na tarasie mały Jędrzek bawił się piłką z młodą, bardzo atrakcyjną dziewczyną, ubraną z wyzywającą nonszalancją. Szczerze mówiąc na widok jej dekoltu Monika aż się wzdrygnęła. No, gdyby była na miejscu Beatki, to takiej niańki w towarzystwie Andrzeja wolałaby nie zostawiać. W pewnym momencie chłopczyk ruszył do schodów i kazał się znieść na trawę, gdzie z ogromną energią przystąpił do dalszej zabawy. Biegając za piłką zbliżał się jednak coraz bardziej do płotu i Monika, chcąc nie chcąc, musiała się od niego odkleić. Przechodząc szybko na drugą stronę nieutwardzonej drogi, coraz bardziej zakurzona i rozczarowana uświadomiła sobie nagle, że w takich warunkach nie zdziała nic. Obserwacja z zewnątrz wymagała wprawy, zaplecza i ogromnej dozy szczęścia.

A gdyby tak... poobserwować potencjalnych kochanków od środka?

Idąc na dworzec, zadzwoniła do przyjaciółki, żeby się z nią podzielić swoimi wnioskami.

- Ja nie wiem, czy to jest dobry pomysł... - Beatka miała niezdecydowany głos.

- A co ci się w nim nie podoba?

- Tak trochę niezręcznie... Jeszcze się Andrzej zorientuje...

- Jak się zorientuje? Coś ty! Przyjadę do ciebie dziś wieczorem... albo raczej jutro, niby na babskie ploty, zasiedzę się, przenocuję, a rano coś mnie złapie. Nie wiem... grypa, lumbago, nogę złamię...

- Monika, uspokój się! Ze złamaną nogą odwiezie cię do szpitala!

- Żartowałam przecież! Zresztą nieistotne. Będziemy improwizować.

- Dobrze, i co dalej?

- Ty pojedziesz do pracy, a ja zostanę. I będę miała cały dzień, żeby się im poprzyglądać.

- Moni, kochana jesteś, ale to nie ma sensu.

- Ma, ma. Zobaczysz, że ich przyłapię! Oj, sor - ki, kochana, nie to miałam na myśli! To na pewno jest bzdura ten anonim, a wisiorek dostaniesz w prezencie na urodziny... Ale jeżeli mamy coś wyjaśnić... Mówię ci, zalegnę sobie na kanapie w salonie, będę miała świetny widok na wszystkich.

- A wszyscy będą wiedzieli, że masz na nich ten widok, więc nie licz, że się zdradzą.

- Beata, kurczę, kim ja jestem?

- Jak to, kim? Moją przyjaciółką? Nauczycielką?

- Kobieta! Jestem kobietą! Nigdy nie słyszałaś o czymś takim, jak kobieca intuicja? Mogą się kryć, bunkrować, a ja i tak się zorientuję, czy coś jest na rzeczy. Pamiętasz, jak było z Pawłem?

- No dobrze już, dobrze. Niech ci będzie. To kiedy się umawiamy?

- Dzisiaj. Trzeba kuć żelazo póki gorące. Weźmiesz mnie wracając z pracy.

- Dobrze. Monika? - Tak?

- Proszę cię, nie wspominaj przy mnie więcej o Pawle...

\*\*\*

Andrzej pochylał się nad nią z zatroskaną miną.

- W którym miejscu cię boli?

- Tak ogólnie... To znaczy mdli mnie... I tak się czuję, jakbym miała zaraz zacząć rzygać...

- Może lepiej, żebyś jednak została u nas do jutra... W samochodzie będzie ci jeszcze gorzej.

- Nie chciałabym robić kłopotu...

Rzeczywiście, nie chciała mu robić kłopotu. Chciała go tylko trochę poszpiewować, to wszystko. Poprzedniego popołudnia, tak jak się umówiły, Beata wstąpiła po nią, wracając z pracy i zabrała ze sobą do Czerwińska. Cały wieczór, spędzony na kanapie przed telewizorem Monika stawała na uszach, żeby rozruszać przyjaciółkę, ale mimo to atmosfera daleka była od szampańskiej. Nawet kilka kieliszków białego wina nie było w stanie wypłukać z Beaty pokładów smutku. O dziwo, Andrzej jakby nie zauważał jej nastroju, zresztą bardzo szybko obie je zostawił i pod pretekstem zmęczenia poszedł na górę do sypialni. Dziewczyny też nie wytrzymały za długo i już gdzieś koło jedenastej postanowiły się położyć. Zwłaszcza, że następny dzień zapowiadał się nieporównywalnie bardziej atrakcyjnie...

- Daj spokój. Jaki kłopot? - Andrzej pokręcił głową z dezaprobatą. - Poleżysz sobie, odpoczniesz, a jak się do wieczora lepiej poczujesz, to albo ja, albo Beatka cię odwieziemy.

- Tak, oczywiście - pospieszyła z zapewnieniem Beata. Stała obok kanapy, elegancka, pachnąca, z konspiracyjną miną. - To co, zostajesz? Bo ja już muszę jechać, więc...

- Jedź, jedź, my tu sobie świetnie poradzimy - Andrzej puścił oko do Moniki. - I Jędrək będzie miał się z kim bawić...

Monika aż podskoczyła. - Ze mną, nie z niańką?! Nie będzie jej?!

- Uspokój się! - parsknął śmiechem Andrzej. - Pewnie, że będzie. Żartowałem tylko. Ona się nim cały dzień zajmuje. Bardzo miła dziewczyna. Sama zobaczysz. Beata cmoknęła Monikę w policzek, uściśnęła porozumiewawczo za ramię i wyszła, stukając obcasami. Andrzej poprawił Monice poduszkę.

- To co, może ja ci mięty zrobię?

## ROZDZIAŁ 15

w którym razem z bukietem róż pojawiają się wspomnienia

Pomimo całej akcji z Moniką, Bečia wyruszyła do pracy wcześniej niż zwykle i już o dziewiątej wysiadła z windy na trzecim piętrze nowoczesnego budynku w centrum Warszawy, gdzie mieściły się biura Paw - budu. Skinęła głową rudej recepcjonistce, która na jej widok urwała w pół słowa rozmowę telefoniczną, uprzejmie odpowiedziała na pozdrowienie jakiegoś pracownika z działu promocji i w końcu energicznym krokiem weszła do swojego sekretariatu.

- Dzień dobry, pani prezes... - Maciek, sekretarz, poderwał się zza biurka, nerwowo przyglądając fioletowy, błyszczący krawat. - Jak droga?

- A, dziękuję, dzisiaj bardzo dobrze. Wcześniej wyjechałam. Niezły krawat, nowy? - Maciek zaczerwienił się i skinął potakująco głową, a Beata uśmiechając się, rzuciła jeszcze: - Mogę liczyć na kawę?

- Oczywiście! - otworzył przed nią szeroko drzwi gabinetu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła po wejściu do środka, był ogromny bukiet pięknych, krwistoczerwonych róż o zawrotnie długich łodygach, ustawiony w kryształowym wazonie na środku jej biurka.

Zamknęła oczy i za chwilę znowu je otworzyła, ale bukiet nie zniknął. Tkwił dalej w tym samym miejscu, przyciągając wzrok i sprawiając, że Beatkę opadły wspomnienia, przed którymi nie potrafiła się obronić, i pod których wpływem jej serce zaczęło bić w zawrotnym tempie.

Był kiedyś w życiu Beaty mężczyzna, który obsypywał ją identycznymi różami. Mężczyzna, który deklarował wielką miłość, a w rezultacie tylko ją skrzywdził.

Paweł, jej pierwszy mąż.

Kilka razy odetchnęła głęboko, próbując uspokoić tętno.

- On od trzech lat nie żyje - powiedziała do siebie cicho. -

NIE ŻYJE! - ale niewiele to pomogło. Poczwała jednocześnie strach, wściekłość i tęsknotę. Dziwna mieszanina uczuć. Ale o ile dwa pierwsze były jak najbardziej uzasadnione, to obecność tęsknoty, tłącej się ciągle w jej sercu, zaskakiwała.

Jak można tęsknić za draniem?

Spokojnie, rozkazała sobie w duchu. To tylko zwietrzała resztką sentymentu do człowieka, którego kiedyś kochałam. Jednak gdzieś podświadomie wiedziała, że ta resztką jest całkiem okazała, a Paweł, bezwzględny drań, ciągle głęboko w niej tkwi. Najgorsze było to, że tak naprawdę nie miała szansy o nim zapomnieć - powracał za każdym razem, kiedy patrzyła w ciemne oczy swojego synka, mieniające się bursztynowym blaskiem.

Paweł miał identyczne oczy. Tak samo ciemne i błyszczące.

A kiedy się śmiał, pojawiały się w nich takie same słoneczne błyski.

Nikt inny poza Beatą tego nie zauważył. I nawet jeżeli Andrzej na początku miał wątpliwości, czyim synem jest Jędrék, Beata zrobiła wszystko, by je rozwiąć. Przecież tak naprawdę nie jest ważne, kto jest ojcem biologicznym, powtarzała sobie, zagłuszając wyrzuty sumienia, ale kto wychowuje dziecko. A Andrzej był wspaniałym ojcem, uwielbiał Jędrusia i świata poza nim nie widział. Burzenie tej harmonii byłoby... najgłupszą rzeczą, jaką mogłaby zrobić. Dlatego milczała, modląc się w duchu, by nic nie zaburzyło tej misternej równowagi, do której doszli z Andrzejem po dramatycznych przejściach sprzed trzech lat.

Skąd mogła wiedzieć, że ich wspólne życie może lec w gruzach z zupełnie innego powodu?

Na miękkich nogach podeszła do biurka i wzięła do ręki elegancką kopertę, opartą o wazon. Nie umiałaby powiedzieć, co spodziewała się w niej znaleźć, ale na pewno nie wiadomość po niemiecku napisaną eleganckim, zamasytym pismem.

Zdezorientowana, chwyciła liścik i poszła do sekretariatu przeprowadzić dochodzenie.

- Panie Maćku, co to za kwiaty?

- Te róże? Piękne, prawda? Sekretarka przyniosła zaraz po



ósmej.

- Sekretarka? Czyja?

- Tego nowego dyrektora, przecież pani prezes wie...

- Nic nie wiem! - zdenerwowała się od razu. - Jaki dyrektor?!

O co tu chodzi?!

- Jak to jaki? Dyrektor Becker! Przyszedł dziś rano i zajął ten wolny gabinet piętro wyżej... - Maciek patrzył na Beatę śmiertelnie zdziwionymi oczami.

Beata zaczęła sobie trzeć palcami skroń. W końcu podniosła głowę i podała Maćkowi znaną przy kwiatkach karteczkę.

- Pan zna niemiecki. Co tu jest napisane?

Sekretarz wziął liścik ostrożnie w dwa palce.

- Ekh... prezes Johann Wiesbaum składa wyrazy uszanowania i życzy owocnej współpracy z nowym dyrektorem, który ma go od dzisiaj reprezentować w Pawbudzie.

- Co?!

Johann Wiesbaum, mieszkający w Berlinie Austriak, dotąd w zasadzie nie wtrącał się w działania firmy. Czyżby aż tak zaalarmowała go wizyta Zbyszka i kłopoty z nową inwestycją, że postanowił przysłać swojego człowieka?

- Dobrze, panie Maćku, czy coś pan wie więcej?

- Nie, pani prezes.

- W takim razie proszę się skontaktować z tym nowym dyrektorem i powiedzieć mu, że chcę się z nim zobaczyć. I to jak najszybciej.

- Tak jest, pani prezes.

Beata ruszyła w stronę gabinetu, ale kiedy była już przy drzwiach, zawróciła. Poczowała nagłą i nieprzepatą potrzebę odetchnięcia świeżym powietrzem.

Wystarczyło jej dziesięć minut, żeby dojść do siebie. W sąsiedniej cukierni kupiła sobie dwie gałki waniliowych lodów, i kiedy je skończyła, poczuła się dużo lepiej. Wspomnienia zaszyły się z powrotem w najgłębszych zakamarkach jej pamięci, a wizja nowego dyrektora przysłanego z Berlina przestała przerażać. Poradzę sobie, pomyślała, popychając ciężkie, obrotowe drzwi do budynku. Firma się rozwija, zdobywamy nowe rynki... Może to nawet dobrze, że Berlin się

uaktywnił?

Uśmiechnięta i rozluźniona weszła do foyer i stanęła jak wryta. Przy recepcji, odwrócony do niej tyłem, stał wysoki mężczyzna w eleganckim szarym garniturze. Było w nim coś dziwnie znajomego... ta sylwetka...

Nie, to niemożliwe, pomyślała.. To nie może być on...

W tym momencie mężczyzna charakterystycznym ruchem przeczesał krótko ostrzyżone, ciemne włosy...

Beata zbladła i zacisnęła dłonie tak mocno, że aż paznokcie wbiły jej się w skórę.

Paweł?!

- Pani prezes, wszystko w porządku? - zainteresował się ochroniarz stojący obok, przy windach.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała zmienionym głosem, bo z emocji zaschło jej w gardle. Stała na środku, nie mogąc oderwać wzroku od mężczyzny. Jak to możliwe? - przebiegło jej przez głowę, kiedy ten zaczął się odwracać w jej stronę. Trwało to najwyżej dwie sekundy, ale dla Beatki sekundy zamieniły się w lata. Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, zobaczyła naprzeciwko siebie jego twarz.

Ugięły się pod nią kolana.

O Boże - odetchnęła z ulgą, to nie on!

Jak w ogóle mogła tak pomyśleć? Przecież ten mężczyzna był tylko podobnego wzrostu, podobnie się poruszał, to wszystko.

Jeszcze przez chwilę patrzyła, jak mężczyzna kieruje się w stronę windy, naciska guzik, potem wsiada do środka. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Beata na ciągle miękkich nogach podeszła do recepcji.

- Tutaj stał taki człowiek w szarym garniturze - zaczęła recepcjonistkę. - Czy wie pani może, kto to jest?

- Niestety nie, pani prezes. Nigdy go wcześniej nie widziałam. Mam się dowiedzieć?

- Nie, to nic ważnego, dziękuję - odpowiedziała Beata szybko i czmychnęła do windy.

Kiedy pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi jej gabinetu, Beata stała właśnie przy oknie. Zdążyła poprawić fryzurę i makijaż, i była przekonana, że jest już gotowa na

spotkanie z wysłannikiem wspólnika.

Zanim zdążyła powiedzieć: „Proszę”, drzwi otworzyły się energicznie i na progu pojawił się nowy dyrektor. Na jego widok Beata cofnęła się o krok. Przed nią stał mężczyzna, którego widziała na dole przy recepcji.

Co za zbieg okoliczności, przebiegło jej przez myśl.

- Proszę - zrobiła zachęcający ruch ręką, przywołując jednocześnie na twarzy oficjalny uśmiech.

Gość wszedł do środka, rozejrzał się szybko po pokoju i odezwał poprawną polszczyzną:

- Witam, pani prezes. Nazywam się Becker. Kurt Becker. Będziemy razem pracować.

Pachniał ekskluzywną wodą po goleniu, był starannie ostrzyżony, pięknie opalony i ubrany w rewelacyjnie skrojony garnitur. Naprawdę, niczego nie można mu było zarzucić. Niczego, poza tym, że niepotrzebnie prowokował wspomnienia.

\*\*\*

- Pięknie dziękuję. Naprawdę. Miło było spędzić czas z panią prezes... tak piękną panią prezes... - Bec - ker zawiesił znacząco głos i przytrzymał dłoń Beaty w swojej. Pomimo uwodzicielskiego tonu jego oczy były zimne i obojętne. Beata aż się wzdrygnęła.

- Zawsze służę pomocą - odpowiedziała sztywno, a ponieważ Becker sprawiał wrażenie, jakby nadal na coś czekał, dodała: - Oczywiście w sprawach służbowych.

Kiedy tylko puścił jej rękę, od razu odsunęła się od niego na bezpieczną odległość.

- Poproszę sekretarza, żeby zaprowadził pana teraz do prezesa Wierzbickiego. Jeżeli chce pan obejrzeć budowę, on będzie najlepszym przewodnikiem.

Kiedy drzwi nareszcie zamknęły się za Beckerem, Beata odetchnęła z ulgą. Pod pozorem milej konwersacji nowy dyrektor wypytywał o mnóstwo rzeczy i Beata odniosła dziwne wrażenie, że ją sprawdza. No bo po co innego przyjechał? Przecież informacje na temat systemu zarządzania, struktury, poziomu sprzedaży, które zadawał mimochodem, mógł spokojnie znaleźć w corocznym sprawozdaniu przesyłanym do

Berlina. Sprawdzał ją, wypytywał na polecenie Wiesbauma, zaniepokojonego losami nowej inwestycji. Innego logicznego wyjaśnienia po prostu nie było.

Jak to dobrze, pomyślała, podchodząc do biurka i siadając ciężko na swoim miejscu, że teraz Zbyszek się nim zajmie. Może jemu będzie łatwiej odpowiadać na te wszystkie podchwytliwe pytania... odchyliła się z oparciem do tyłu i zamknęła oczy, próbując uspokoić rozbiegane myśli. Splot wydarzeń z ostatnich dni sprawił, że znowu, jak dwa i pół roku temu, kiedy jej życie za sprawą ówczesnego narzeczonego wywróciło się do góry nogami, poczuła irracjonalny niepokój. I oczywiście nie było to uczucie, za którym tęskniła.

Zupełnie odruchowo zaczęła cienkim, srebrnym długopisem mazać po kopercie, w której znajdował się list od prezesa Wiesbauma.

A kiedy chwilę później spojrzała na swoje dzieło, wśród ozdobnych zawijasów, pokrywających bezładnie kremową powierzchnię, ze zdziwieniem odczytała litery, układające się w jedno słowo: Paweł.

## ROZDZIAŁ 16

### w którym Monika żałuje, że wstała z kanapy

Niańka pojawiła się zaraz po wyjściu Beaty. Monika ze swojej kanapy miała świetny punkt obserwacyjny. Ogromny salon połączony z jednej strony z kuchnią, z drugiej otwierał się na przedpokój oraz klatkę schodową więc nic, co działo się na parterze, nie mogło ująć jej uwadze. Choć na razie nie działo się zbyt wiele. Dziewczyna od razu poszła do kuchni, gdzie czekali Andrzej z Jędrkiem. Nie było żadnego czułego powitania, Andrzej po prostu przekazał jej dziecko i wyszedł, zaglądając tylko po drodze do Moniki.

- Zostawiam cię. Dasz sobie radę?

- Tak... - starała się, żeby jej głos zabrzmiał słabo i płaczkliwie.

- Ale przyjdiesz później?

- Jak znajdę chwilę. Gdybyś czegoś potrzebowała, proś Marysię. Uprzedziłem ją, że jesteś.

- Dzięki...

- Lecę. Zdrowiej.

Monika uniosła się na łokciach, żeby zobaczyć, czy czasem Andrzej nie zajrzy na pożegnanie w dekolt opiekunce, ale nie. Natomiast kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, dziewczyna przemknęła do przedpokoju i wyjęła coś z bocznej kieszeni plecaka, z którym przyszła. Komórkę?

Chwilę potem z kuchni dobiegły Monikę przytłumione słowa rozmowy.

- No cześć... Sorki... W pracy... nie wiem...

Monika nadstawiła ucha. Niestety, połowa słów ginęła wśród odgłosów wydawanych przez zmywarkę, radio i dziecko, które udawało właśnie formułę pierwszą. Po pierwsze z ciekawości, a po drugie z poczucia obowiązku, Monika odrzuciła koc i cichutko, na palcach, zaczęła się skradać w kierunku kuchni. Posuwała się plecami wzdłuż ściany, zastanawiając jednocześnie czy ten sposób działania podejrzała na filmach

kryminalnych, czy kreskówkach. Im bliżej była części kuchennej, tym wyraźniej słyszała słowa opiekunki.

- Nie, jeszcze nie widać. Dopiero ósmy tydzień. Co ty, zgłupiałas? Nic nie wiedzą! Matka by od razu spanikowała! Oni już dawno kazali mi się z nim rozstać! Że niby za stary, no i matka twierdzi, że nigdy nie zostawi żony i dziecka. Ale jak się dowie, że zostanie ojcem...

Ściana musiała się skończyć jakąś chwilę wcześniej, bo zasłuchana Monika nagle się zorientowała, że stoi prawie oko w oko z opiekunką. Dziewczyna, opierając się biodrem o stół, jedną ręką mieszała kaszkę w miseczce Małego, a drugą przyciskała do ucha telefon komórkowy. Monika przez chwilę rozważała możliwość wycofania się cichcem z powrotem, ale akurat w tym momencie opiekunka odwróciła głowę i aż podskoczyła na widok niespodziewanego gościa.

- Jejku, ale mnie pani przestraszyła!

Szybkim ruchem zamknęła telefon i schowała do kieszeni. Monika przybrała cierpiący wyraz twarzy, co zresztą nie było specjalnie trudne po tym, co przed chwilą usłyszała.

- Jakoś tak... nie za bardzo się czuję. Nie zrobiłaby mi pani herbaty?

Tak naprawdę nie znosiła mięty i jak najszybciej chciała splukać jej okropny smak.

- A dobrze... Już wstawiam.

Dziewczyna podeszła bliżej, żeby wziąć spod drzwi kuchennych pięciolitrowy baniak wody. Miała na sobie lekką, bawełnianą sukienkę w intensywnie pomarańczowym kolorze, zdecydowanie zbyt krótką i zdecydowanie zbyt wydekoltowaną... A na smukłej, opalonej szyi przyciągał wzrok łańcuszek ze złotym wisiorkiem w kształcie lwa... Dokładnie taki sam jak ten, który opisywała Beatka!

Marysia musiała zauważyć, na co Monika patrzy, bo odruchowo osłoniła dłonią wisiorek, tak jakby bała się, że ktoś jej go ukradnie.

- Jaki piękny! - zareagowała spontanicznie Monika.

- Prawda? - dziewczyna czule pogładziła ozdobę. - Bardzo dla mnie cenny.

- Złoto?

- Tak, ale nie o to chodzi. Dostałam od najważniejszej osoby w moim życiu...

Monika patrzyła na nią przez chwilę tępym wzrokiem.

- Przepraszam, muszę się położyć - jęknęła w końcu i powlokła na kanapę, przygnieciona ciężarem zdobytych informacji.

A więc to prawda! Andrzej i ta dziewczyna mają romans! On jej kupuje kosztowne prezenty, ona o nim mówi, że jest dla niej najważniejszy na świecie! No i ta cięża!!! Co za koszmar!

Dlaczego Beata jest taka pechowa? Najpierw Pawełek, teraz... Andrzejek. Do głowy cisnęło się Monice dziesiątki pytań, a wśród nich najważniejsze: jak

o tym teraz powiedzieć przyjaciółce? Zwinęła się na kanapie, przykryła kocem i zamknęła oczy. Nawet nie wiedziała, kiedy usnęła.

Ocknęła się jakąś godzinę później. W domu było cicho, tylko z dworu dochodziło przytłumione poszczekiwanie psów. Monika przeciągnęła się, rozejrzała ze zdziwieniem po pokoju i nagle wszystko jej się przypomniało.

Nieźle bagno!

Prawdę mówiąc kiedy wpadła na pomysł tej całej akcji ze śledzeniem, była absolutnie i stuprocentowo przekonana, że nic nie wykryje. Andrzej nie wydawał się typem faceta, który cokolwiek robi na boku. Choćby zakłady w totolotka. A tu proszę! Jednak cholerny Marsjanin! Beatka jak się dowie, to chyba umrze. No właśnie, jak się dowie... Monika poczuła bardzo konkretne i bardzo dotkliwe wyrzuty sumienia. Może niepotrzebnie się w to zaangażowała? Może trzeba było zostawić przyjaciółkę w niepewności? Po co znowu pchała nos w nie swoje sprawy? Zamiast siedzieć cicho i zostawić sprawy swojemu biegowi, znowu będzie się musiała narazić Beatce i jakoś jej o tym wszystkim powiedzieć.

A jeżeli ona tak jak poprzednio nie uwierzy? Właściwie ta myśl przeraziła Monikę najbardziej. Kiedy sobie przypominała akcje z Pawełkiem, to jak Becia broniła się przed prawdą, ile energii wkładała w niewiedzenie i zaprzeczanie, zrobiło jej się słabo. No

nie, tym razem nie może sobie na coś takiego pozwolić. Pójdzie do niej z niezbitymi dowodami albo nie pójdzie wcale! Tylko skąd wzięć te niezbite dowody?

Dokładnie w tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe.

- Jak forma?

Monika czym prędzej zakopała się pod koc i przybrała bolesciwy wyraz twarzy. Andrzej podszedł do niej energicznym krokiem. Jeszcze rano sympatyczny, życzliwy i opiekuńczy, teraz wydawał się Monice dwulicowym, wyrachowanym i podstępным draniem. Kiedy przysiadł przy niej na kanapie, odruchowo się odsunęła.

- Wszystko w porządku? Nie potrzebujesz czegoś?

Proszę, jaki troskliwy - pomyślała Monika zgryźliwie.

- Dziękuję, jakoś się trzymam...

I nagle zdała sobie sprawę, że przecież nie musi już dłużej przebywać w wątpliwym towarzystwie niewiernego męża przyjaciółki i jego kochanki.

- Właściwie... zupełnie OK. Będę się zbierać.

- Co? No chyba żartujesz! Ani mi się waż! Masz leżeć, odpoczywać, jeszcze nie wiadomo, czy ci rzeczywiście przeszło...

- Bardzo dobrze się czuję. I przypomniałam sobie, że mam dziś ważną sprawę do załatwienia. Nie przejmuj się mną. Wrócę pociągiem.

Energicznie podniosła się z kanapy i zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu swoich rzeczy. Andrzej patrzył na nią, coraz bardziej zdziwiony.

- Słuchaj, to może chociaż na dworzec cię podrzucę?

- Nie trzeba. Dziękuję. Lecę. Pa! I już jej nie było.



## ROZDZIAŁ 17

### dziwnie krótki

- Panie Maćku, wychodzę! - Beata drugi raz tego dnia poczuła, że musi się przewietrzyć. Szybkim krokiem minęła biurko sekretarza i zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, była na korytarzu. Wsiadając do windy poczuła się tak, jakby szła na wagary, ale niezależnie od ilości obowiązków, jakie jeszcze czekały na nią w firmie, po prostu musiała się stąd na chwilę wyrwać, i to już.

Na chodniku przed budynkiem natknęła się na Zbyszka. Stał zgarbiony i smutny pod równie mizernie jak on wyglądającym drzewkiem i śledził wzrokiem wyjeżdżające z podziemnego garażu auta. Czekając na Beckera, uświadomiła sobie.

- O, Beata! - chyba się ucieszył na jej widok, choć z tonu jego głosu nie mogła tego stwierdzić jednoznacznie. - Jedziesz z nami?

W życiu! - pomyślała.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedziała, uśmiechając się krzepiąco. - Na pewno świetnie sobie dasz radę.

Na podjeździe pojawiło się luksusowe, szare audi; za jego kierownicą Beata dostrzegła przystojny profil Beckera. Zbyszek oderwał się od drzewka i ruszył w kierunku samochodu, a Beata odniosła dziwne wrażenie, że nie porusza się po prostej. Zaintrygowana, wciągnęła głębiej w nozdrza powietrze i na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie: leciutki, ledwie uchwytny zapach alkoholu, który Zbyszek zostawił za sobą, nie pozostawiał złudzeń. Prezes Wierzbicki był pod wpływem.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak wsiada ciężko do audi, a kiedy zamknął drzwiczki, na zewnątrz pozostał całkiem spory fragment jego marynarki. Becker ruszył z piskiem opon, jasna poła załopotowała wesoło na wietrze, ale Beata nie była w stanie się uśmiechnąć. Szukała uspokojenia, a znalazła tylko kolejny powód do zmartwień.

Stała jeszcze przez chwilę, śledząc wzrokiem znikający pojazd, po czym ruszyła w stronę placu Konstytucji, żeby poprawić sobie humor czekoladowym tortem z Batidy.

## ROZDZIAŁ 18

o tym, jak Monika przekazuje sprawę we właściwe ręce

Nieduży pokój, urządony prostymi, nowoczesnymi meblami, przypominał raczej biuro rachunkowe niż detektywistyczne, choć z drugiej strony Monika nigdy nie była ani w jednym, ani w drugim, a całą swoją wiedzę na temat pracy detektywów czerpała z seriali. Za to sekretarka, która poinformowała ją, że szefowa już jedzie, jak ułał pasowała do swojej roli - oszczędna w słowach, zero wylewności, sprawiała wrażenie bardzo kompetentnej oraz dyskretnej osoby. Takiej, która zdenerwowanego klienta potrafi uspokoić, a niezdecydowanego - zachęcić.

Przy czym Monika nie była ani zdenerwowana, ani niezdecydowana. Przyszła tutaj ze spokojną determinacją osoby, która wszystko na zimno przemyślała. Choć od jej wyjazdu z Czerwińska minęło zaledwie kilka godzin, Monika wykorzystała je bardzo intensywnie. Najpierw, jeszcze z pociągu, zadzwoniła do Beaty i zameldowała, że w domu wszystko w porządku, nie widać żadnych, ale to żadnych oznak jakiegokolwiek romansu, że Andrzej zachowuje się absolutnie normalnie, a Marysia sprawia wrażenie osoby bezgranicznie oddanej swojej pracy. Wszystkie te kłamstwa przeszły jej przez gardło zadziwiająco łatwo. Przynajmniej nie musiała się bać, jak zareaguje przyjaciółka.

Gdyby Monika powiedziała jej prawdę, szloch w słuchawce mogłyby się okazać nie do zniesienia, choć tak naprawdę dużo bardziej obawiała się czegoś innego. Czegoś, z czym w formie skondensowanej miała do czynienia trzy lata wcześniej - zaprzeczenia. Beata, zakochana po uszy w swoim pierwszym mężu, nie dawała złego słowa na niego powiedzieć, co miało swoje dość dramatyczne, niestety, konsekwencje. Teraz co prawda dręczyły ją jednak pewne wątpliwości, ale licho wie, czy stając oko w oko z faktami nie zaprzeczyłaby znowu

wszystkiemu gwałtownie, a przy okazji nie zerwała kontaktów z przyjaciółką.

Tak więc Monika skłamała, można powiedzieć, nauczona doświadczeniem. Tym razem postanowiła się nie podkładać i jeżeli w ogóle miała cokolwiek powiedzieć Beacie na temat Andrzeja, musiało to być poparte niezbitymi dowodami. I właśnie po takie dowody tutaj przyszła.

- Dzień dobry, zapraszam do mnie!

Monika odwróciła się do drzwi i zobaczyła szczupłą kobietę w krótkiej ciemnej spódnicy i eleganckiej białej bluzce, butach na bardzo wysokich obcasach i z ogromną, kolorową torbą na ramieniu. Przeszła przez sekretariat krokiem energicznym i sprężystym, od progu wyciągając na powitanie rękę. Miała mocny, budzący zaufanie uścisk dłoni i sympatyczny uśmiech. Chyba nieźle trafiłam, pomyślała z satysfakcją Monika. Internet czyni cuda. Bo właśnie na grzebanie w sieci poświęciła ostatnie dwie godziny i to tam znalazła adres biura.

- Aldona Zawistowska, przepraszam, że musiała pani czekać. Lunch z kochankiem. - A widząc zdziwienie w oczach Moniki, wyjaśniła. - Nie moim. Żony klienta. Czym mogę służyć?

Weszły do małego, skromnie urządzonego gabinetu. Zawistowska zasiadła za biurkiem, wskazując gościowi wygodny fotel naprzeciw siebie.

Monika wzięła głęboki oddech.

- Przychodzę do pani w takiej nietypowej sprawie...

I opowiedziała wszystko. O Andrzeju, Beatce, Marysi, swoich podejrzeniach, a nawet o tym, co wydarzyło się przed trzema laty. Pani detektyw słuchała uważnie, zapisywała coś w komputerze i zadawała pytania. A na koniec odsunęła klawiaturę i podsumowała:

- Ta sprawa wcale nie jest nietypowa. Zdrada zawsze pozostaje zdradą, niezależnie od tego, kto nas wynajmie. I akurat w tej dziedzinie mamy bardzo duże doświadczenie. Myślę, że będzie pani zadowolona z naszych usług. A teraz poproszę o szczegóły. Monika poczuła, że z jej serca spada wielki kamień i toczy się, dudniąc, pod biurko pani detektyw. Oddała swój problem w dobre ręce. Taka ulga warta była każdych pieniędzy. Choć z

drugiej strony miała nadzieję, że koszty nie okażą się przesadne...

- Podam pani nazwisko i adres tego mężczyzny, natomiast jeśli chodzi o dziewczynę... Niestety, wiem tylko, jak ma na imię...

- Nic nie szkodzi - pospieszyła z zapewnieniem Zawistowska.

- Raczej i tak będziemy się zajmować obserwacją pod adresem pracodawców. Skoro, jak pani mówi, ta kobieta jest opiekunką dziecka...

- Pani rozumie, ja potrzebuję dowodów. Czarno na białym - podkreśliła Monika, wstając. Ucisnęły sobie ponownie dłonie.

- To zbyt ważna sprawa, żebym mogła polegać na niesprawdzonych informacjach. Od tego zależy szczęście mojej przyjaciółki.

Gdyby mogła przewidzieć, jak wiele jeszcze od tego zależy...

## ROZDZIAŁ 19

w którym Beata wchodzi do kuchni w najmniej odpowiednim momencie

Na ostatnim odcinku przed Jankami trzeba było bardzo uważać, żeby nie dać się znieść strumieniowi aut na szosę krakowską. Beacie już kilka razy to się zdarzyło, wtedy powrót przez Magdalenkę zajmował dodatkowy kwadrans. A dzisiaj nie mogła sobie na to pozwolić. Spieszyła się do domu!

W pracy siedziała jak na szpilkach. Obecność Moniki w Czerwińsku wcale jej nie uspokoiła, wręcz przeciwnie. Ciągłe myślała o tym, czy przyjaciółka nie przesadzi z węszeniem. Gdyby Andrzej się zorientował, że jest obserwowany, mogłoby to mieć konsekwencje. Jakże, nad tym Beata wolała się raczej nie zastanawiać.

Dlatego kiedy koło południa Monika złożyła lakoniczny raport, że na jej oko o romansie między Andrzejem a Marysią nie ma mowy, natomiast ona sama musi już wracać do Warszawy, bo coś tam, Beata poczuła nieprawdopodobną ulgę. I to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że Monika wyjechała, zostawiając sprawy swojemu biegowi. To tak, jakby w ostatniej chwili ktoś zdmuchnął lont, prowadzący wprost do beczki z prochem. Drugi powód był oczywisty - przyjaciółka nie trafiła na żadne dowody zdrady! Co prawda gdzieś tam w głowie Beaty pojawiła się dyskretna myśl, że nawet jeśli jej mąż nie całował się z Marysią ostentacyjnie na oczach gościa, to wcale nie musi oznaczać, że rzeczywiście ze sobą nie sypiają, ale szybko i skutecznie zepchnęła ją do podświadomości.

Świat w wyniku szybkiego śledztwa Moniki na nowo nabrał kolorów i Beata nareszcie zaczęła myśleć o anonimie jak o steku bzdur wyssanych z palca. Owszem, ktoś chciał jej zrobić przykrość i trafił w dziesiątkę, ale tym, kto to mógł być i dlaczego to zrobił, na razie postanowiła nie zawracać sobie głowy. W ogóle może dobrze, że coś takiego się stało, pomyślała

w nagłym przypływie rozsądku. Uświadomiło mi, jak bardzo Andrzej jest dla mnie ważny.

Rzuciła okiem na siedzenie pasażera, gdzie leżała liliowa torebka z ozdobnym napisem Lanoro, i uśmiechnęła na wspomnienie wizyty w swoim ulubionym sklepie z damską bielizną. Nie była pewna, czy zdobędzie się na odwagę, by włożyć nową, czarną i bardzo seksowną koszulkę już dzisiaj, ale sam zakup sprawił jej ogromną satysfakcję. Choć sama przed sobą się do tego nie przyznawała, rola matki zdominowała ostatnio jej życie, spychając gdzieś na trzeci plan Beatę - kobietę. I dopiero dzięki tej przykrej sytuacji na nowo przypomniała sobie, jakie to miłe starać się być atrakcyjną dla męża.

Im dłużej myślała o incydencie z anonimem, tym bardziej go doceniała. Na fali entuzjazmu postanowiła nawet, że przy najbliższej okazji kupi Marysi jakiś drobiazg... w ramach rekompensaty za wszystkie złe rzeczy, które myślała na jej temat. Przy okazji po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak powiedzieć o wszystkim Andrzejowi. Teraz, kiedy zrozumiała, że niepotrzebnie dała wiarę tak niepewnym i podejrzanym informacjom, nagle zapragnęła wyjaśnić sprawę do końca i omówić ją z mężem. Tak, opowie mu wszystko dzisiaj wieczorem... Może tylko rolę Moniki dyskretnie przemilczy. A kiedy Andrzej usłyszy, co wyrabiała jej wyobraźnia przez ostatnie dwa dni, przytuli ją i będą się razem śmiać. Najbardziej z tego wisiorka z szuflady. Jak Beata w ogóle mogła pomyśleć, że to nie dla niej?

Podjeżdżając pod dom spojrzała na zegarek i ze zdziwieniem odkryła, że jest dopiero trzecia. O tej porze Jędrzek powinien spać, a Andrzej - być jeszcze w swoim gabinecie. Za to oba psy, Pamela, śliczna goldenka znaleziona przed rokiem w lesie, oraz An - derson, przystojny, ślepy na jedno oko owczarek berneński, pozostawiony przez właścicieli do uspienia, bo nie spełniał wymogów hodowlanych, kotłowały się przy bramie, poszczekując wesoło. Beata po chwili wahania postanowiła nie wprowadzać auta na podwórko, tylko zaparkowała na ulicy i weszła na posesję, zasłaniając się przed psami teczką.

Żadna mała, delikatna torebka nie sprawdziłaby się w konfrontacji z tym energicznym duetem.

Uśmiechnięta i podniecona, oganiając się od zwierząt, otworzyła na oścież drzwi wejściowe. Ze zmęczonych stóp zsunęła pantofle, włożyła miękkie, plastikowe chodaki, teczkę porzuciła pod lustrem w korytarzu i z rozmachem wkroczyła do kuchni.

Najpierw zobaczyła Andrzeja. Mąż klęczał na ziemi, co samo w sobie już było dziwne. W dodatku jego twarz znajdowała się na wysokości... brzucha Marysi, która stała przed nim w rozkroku, oparta o kuchenny blat i wydawała z siebie namiętne jęki. Beata zauważyła jeszcze dłoń męża, przesuwaną się w górę po zgrabnym udzie dziewczyny, zamknięte oczy niańki i uniesienie, malujące się na jej twarzy. A na jej szyi - błyszczący w padających przez okno promieniach słońca, złoty wisiołek w kształcie lwa.

Beacie zakręciło się w głowie tak mocno, że musiała się oprzeć o framugę. Komórka, która wypadła z jej dłoni, roztrzaskała się z hukiem o terakotę...

- O! Wróciła pani! - w głosie Marysi zabrzmiało lekkie zmieszanie.

Andrzej podniósł się z podłogi i odwrócił do Beaty. Na jego twarzy wyraźnie było widać zdziwienie.

- Co za święto, że cię już puścili?

Beata nie była w stanie wykrztusić słowa. Czując, że zbiera jej się na płacz, więc z całej siły przygryzała wargi, żeby się tylko nie poryczeć przy niańce.

- To ja już polecę... Zaraz mam autobus - Marysia szybkim ruchem obciągnęła sukienkę i chwyciła leżący na podłodze plecak.

- Biegnij - odpowiedział Andrzej. - I nie przejmuj się!

- Dzięki! - uśmiechnęła się do niego promiennie. - Za to też!

- wymownym gestem dotknęła złotej łańcuszka.

Beata poczuła, jak jej serce rozpada się na mikroskopijne kawałeczki.

- Do widzenia pani! - ćwierknęła dziewczyna i zniknęła, zostawiając za sobą intensywny zapach tanich perfum, który



wydał się Beatce nie do zniesienia. Wymijając zdziwionego Andrzeja podbiegła do okna i otworzyła je na oścież gwałtownym szarpnięciem.

- Hej, co się dzieje? - mąż podszedł do niej i próbował objąć, ale wyrwała mu się i odskoczyła do tyłu.

- Nie dotykaj mnie... - wycodziła - tymi rękami!

- A rzeczywiście - zreflektował się Andrzej. - Umyć powinienem.

Beata patrzyła z niedowierzaniem, jak spokojnie podchodzi do zlewu, sięga po mydło, a potem dokładnie opłukuje dłonie pod silnym strumieniem wody.

- Teraz już mogę? - zrobił krok w jej kierunku, rozkładając ramiona.

Co za czelność! Jak on śmie! Beata aż się wzdrygnęła.

- Naprawdę myślisz, że wystarczy tylko umyć ręce? - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

Andrzej roześmiał się, kompletnie niezrażony.

- A co, mam zdezynfekować?

No, to już szczyt! Beata nabrała powietrza i zaatakowała męża, przestając owijać cokolwiek w bawełnę:

- Masz z nią romans, prawda?!

- Słucham?!

- Nasz romans z tą dziewczyną! Z niańką! Przyznaj się!

Andrzej opuścił ręce. Stał osłupiały i kręcił z niedowierzaniem głową.

- Romans? Z Marysią? Oszalałaś?!

- Przecież widziałam, co tu wyrabialiście! - głos Beaty załamał się ze zdenerwowania.

- Wyrabialiśmy? My? Beata, o co ci chodzi?

- Tu, w mojej kuchni, na moich oczach! Dobierałeś się do niej! Jak mogłeś! - wyrzucała z siebie dalej bolesne słowa. - Jak mogłeś?!

Nagle poczuła, że dłużej nie uda jej się powstrzymać łez, a za żadne skarby nie chciała, żeby Andrzej widział, jak się rozkleja. Pobiegnęła w kierunku drzwi, ale mąż chwycił ją za ramię, przytrzymując i znowu próbując przytulić. Nie miała dość siły, żeby się wyrwać. A najgorsze było to, że czuła od niego

wyraźnie zapach Marysinych perfum. W dodatku wydawał z siebie jakieś dziwne, niezrozumiałe odgłosy... Nie, no on się zwyczajnie śmiał! Dusił się ze śmiechu! Cyniczny, wyrachowany, bezduszny drań!

- Głuptasie... - wykrztusił, opanowując z trudem kolejny atak wesołości. - JA JEJ TYLKO USUWAŁEM KLESZCZA!!!

- Nie wierzę ci!

- Marysia poszła z Jędrkiem na spacer do lasu, jego spryskała offem, siebie nie. Coś ją zaczęło swędzieć, i okazało się, że faktycznie jeden jej się wkręcił.

Beata czuła w głowie coraz większy zamęt. Kleszcz? Off?

- Przyszła z tym do mnie, bo sama się bała go ruszać.

- I gdzie ten kleszcz?!

- No cóż... - Andrzej zajrzał do zlewu. - Spłynął.

- Nie wierzę ci. W ogóle ci nie wierzę! Przyłapałam was i dlatego wymyśliłeś tę tanią historyjkę o kleszczu! Jak mogłeś!!! Nienawidzę cię!

Andrzej stał przed nią, a rozbawienie powoli zniknęło z jego twarzy, ustępując miejsca niechętnemu niedowierzaniu.

- Twoja sprawa - wzruszył w końcu ramionami. - Nie chcesz, to nie wierz!

To zabolęła ją najbardziej. A więc miała rację! Nawet nie zaprzeczał!

- Jutro ją zwalniam - powiedziała stanowczo i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę schodów, zostawiając na podłodze fragmenty rozbitego telefonu.

Następnego dnia Beata wstała przed ósmą. Andrzeja już nie było, i bardzo dobrze, bo od wczoraj starała się go unikać. Całe popołudnie i wieczór przeleżała w łóżku, a kiedy zaglądał do sypialni, udawała, że śpi. Słyszała, jak krząta się po domu, karmi małego, jak szaleją w ogrodzie, a potem chlapią w łazience. Te odgłosy, które jeszcze niedawno cieszyłyby ją i rozczulały, teraz doprowadzały do łez. Jakie to niesprawiedliwe, myślała, wtulając twarz w poduszkę, że to wszystko może się skończyć przez jedną niewdzięczną, biuściatą małpę.

Wykorzystując fakt, że mały jeszcze śpi, ubrała się szybko w

byle co, ponieważ wyjścia do pracy nie miała dzisiaj w planach, i zeszła na dół przygotować sobie śniadanie.

Krajobraz kuchenny pozostawiał wiele do życzenia: w zlewie zaschnięta patelnia i jakiś garnek, na stole plastikowa miseczka z resztką obiadku Gerbera, żółta cukiernica w kształcie cytryny, a obok niej kupka cukru z wetkniętą w czubek kolorową słomką, dwa samochodziki Duplo, kilka książeczek dla dzieci i pilot od niewielkiego telewizorka, ustawionego na lodówce. Beata odruchowo włączyła odbiornik, wstawiła wodę i zabrała się za likwidowanie pobjowiska. Kiedy dookoła zaczęło wyglądać w miarę znośnie, usiadła na chwilę przy stole z kubkiem kawy i zaczęła zmieniać kanały. Wszędzie reklamy, uświadomiła sobie, i dopiero w porannym paśmie jedynki trafiła na jakiś reportaż.

- Do kolejnego przypadku kidnapingu doszło dwa tygodnie temu w Krakowie - mówił do mikrofonu przystojny, szczupły, dziwnie znajomo wyglądający dziennikarz, stojący na tle wysokiej, żelaznej bramy. Skąd ja go znam? - przemknęło Beatce przez głowę. - Ofiarą porywaczy padł ośmioletni Patryk. Sprawcy zażądali za jego uwolnienie pięciuset tysięcy złotych, jednak do przekazania okupu nie doszło. Po brawurowej akcji policji udało się uwolnić chłopca, niestety, sprawcy zbiegli.

Kamera zrobiła najazd na widoczny za ogrodzeniem potężny dom z czerwonej cegły, po czym ekran wypełniło zbliżenie twarzy prowadzącego.

- Statystyki są nieubłagane. Odpięciu lat odnotowujemy ciągle i wyraźny wzrost liczby porwań dla okupu, z czego osiemdziesiąt procent stanowią porwania dzieci do lat czternastu. Są za to odpowiedzialne z jednej strony takie zjawiska jak ogólne podniesienie się stopy życiowej Polaków oraz powstawanie lokalnych fortun, a z drugiej strony - brak świadomości zagrożenia, brak wyobraźni i najzwyczajszej ostrożności. Tak więc w tej dziedzinie gonimy Europę szybko i skutecznie. Bartosz Kuncewicz, dziękuję Państwu.

Beata przez chwilę wpatrywała się jeszcze w napisy końcowe, a potem poderwała nagle od stołu i pobiegła do holu po torebkę.

Grzebała w niej przez chwilę, ale szybko się poddała i po prostu wyrzuciła całą jej zawartość na stół. Teraz już bez problemu udało jej się odnaleźć wizytówkę, którą kilka dni wcześniej wetknął jej do ręki kierowca samochodu, staranowanego przez nią na parkingu.

Bartosz Kuncewicz. Reporter.

## ROZDZIAŁ 20

w którym Beatka pokazuje, na co ją stać

Ósma jedenaście trzasnęły drzwi wejściowe i do kuchni wpadła, jak zwykle zdyszana, Marysia.

- Dzień dobry! - rzuciła w kierunku Beaty. - Ten autobus dzisiaj to ledwo jechał!

- Mniejsza z tym. Możesz wracać do domu. Już tu nie pracujesz - Beata, mówiąc te słowa, starała się nie patrzeć na opiekunkę. Pochylona nad patelnią, mieszała widelcem jajecznicę i udawała, że czynność ta pochłania ją bez reszty.

- Nie rozumiem. O co pani chodzi?

- Po prostu przebrała się miarka. Tysiąc razy prosiłam, żebyś przychodziła punktualnie. Nie mówiąc już o innych sprawach.

- Przecież to tylko dziesięć minut! - w głosie dziewczyny słychać było nerwowe napięcie.

- Nieważne. Już tu nie pracujesz - Beata wyłączyła gaz pod patelnią i odwróciła się gwałtownie do rozmówczynie. - Nie mamy o czym rozmawiać.

- Wie pani co, to nie fair! - nie poddawała się dziewczyna. - Tyle razy przychodziłam później, nawet pół godziny, i jakoś było dobrze. A teraz nagle o głupie dziesięć minut taka afery?!

- Żadna afery. Po prostu cię zwalniam.

- Ale gdzie ja teraz coś znajdę, w środku wakacji?!

- To już nie mój problem... Tu leży dla ciebie wypłata do końca miesiąca - machnęła dłonią w kierunku stołu. - A klucze zostaw w przedpokoju, pod lustrem...

Marysia odwróciła się na pięcie i wybiegła z kuchni. Beata usłyszała jeszcze grzechot kluczy o marmurowy blat stolika i trzaśnięcie zamkniętych z impetem drzwi. Nabrała głęboko powietrza i powoli, żeby się uspokoić, wypuściła je nosem. No, to pierwszą bitwę ma już za sobą. I wszystko wskazuje na to, że na koncie pierwsze zwycięstwo.

Niestety, o kolejne nie było łatwo.

Synek obudził się chwilę po tym, jak odprawiła Marysię, i niestety wstałową nogą. Najpierw klasycznie oprotestował przygotowane przez Beatę ubranko i wybrał własną wersję, w dodatku wersję świąteczną, ponieważ bobrując w szafie natrafił na strój, w który był ubrany podczas wigilii. Uparł się przy nim tak straszliwie, że Beata bardzo szybko dała za wygraną. Zniosła więc na dół dziecko ubrane w czerwone, trykotowe szorty, białą, ewidentnie za ciasną koszulę i atłasową kamizelkę, która za nic nie chciała się dopiąć na grubutkim brzuszku dwulatka.

W kuchni wrzuciła Jędrka do wysokiego krzeselka, przypięła szelkami i nastawiła wodę na kaszę. Oczywiście podgrzała ją za mocno, więc zaraz porobiły się grudy. A za kaszą z grudami chłopczyk niestety nie przepadał.

- Aaam! - zbliżyła łyżeczkę do zaciśniętych warg małego. - No otwórz buzię, kochanie!

Beata czuła, jak narasta w niej irytacja, a na czole zaczynają pojawiać krople potu. W końcu, przy pomocy próśb, gróźb i szantażu oraz kilku plastikowych samochodzików doprowadziła do tego, że pierwsza porcja kaszki została połknięta. Druga też. Niestety trzecią i czwartą chłopczyk wypchał sobie policzki.

- Wcinaj - Beata uśmiechnęła się zachęcająco. - Pyszne am! Synek pokręcił głową, wyraźnie odmawiając współpracy.

- Jędrusiu! Bardzo proszę!

Chłopczyk odgiął się do tyłu tak mocno, że gdyby go Beata nie przytrzymała, wypadłby z krzeselka.

- Jędreku! - zirytowała się w końcu. - No jedz - żeż!

Mały nadał się jak balonik, po czym gwałtownie wypuścił powietrze. Bananowa breja pokryła lepkim, białym osadem stół, odświeżoną kamizelkę oraz bluzkę Beaty. A kiedy właśnie była w trakcie usuwania przysychającej w zawrotnym tempie warstwy, zadzwoniła jej komórka. Niestety, zanim zlokalizowała, skąd dochodzi sygnał, wyciągnęła synka z krzeselka i pobiegła z nim do holu odebrać, telefon ucichł.

„i połączenie nieodebrane”, przeczytała na ekranie - niku. Sekretariat. Faktycznie, uświadomiła sobie nagle. Przecież ich

nie uprzedziłam, że mnie nie będzie!

- Panie Maćku, to ja - oddzwoniła od razu. - Coś się stało?

- Och, pani prezes! - usłyszała pełen ulgi głos sekretarza. - Sądny dzień! Mam zapisanych pięć spotkań, dyrektor Becker już trzy razy od ósmej tu zaglądał i ciągle pyta, kiedy pani nareszcie będzie, chyba ma jakieś problemy, bo bardzo zły... A o jedenastej ma przyjść ta dziennikarka z „Twojego Stylu” i przeprowadzić z panią wywiad...

- Przepraszam panie Maćku, ale mnie dziś nie będzie... Niech pan to wszystko jakoś poprzekłada. Da pan radę? - a kiedy zdziwiony sekretarz przytaknął, rozłączyła się i spokojnie wróciła do przerwanej czynności. Przez myśl przeleciało jej określenie „Pyr - rusowe zwycięstwo”...

Akurat kiedy kończyła sprzątanie śladów po niefortunnym posiłku, pojawił się Andrzej.

- Ty dzisiaj nie w pracy? - zdziwił się na widok żony. - A gdzie Marysia?

Beata nie odpowiedziała, tylko dalej starannie polerowała blat miękką ściereczką.

- Nie mów, że ją zwolniłaś! - Andrzej oparł się o stół naprzeciwko Beaty. - Myślałem, że ci przeszło od wczoraj...

- Nie, nie przeszło mi! - wybuchła Beatka. - Nie mogłam tego dłużej tolerować!

Andrzej usiadł przy stole, wziął na kolana Jędrka i sięgnął po plastikowy samochodzik, żeby zająć czymś dziecko.

- Ale czego? Nie rozumiem...

- Oczywiście... nie rozumiesz, jak zwykle - rzuciła sarkastycznie, jednocześnie mając niejasne poczucie, że chyba przesadza. Ale z wojennej ścieżki nie było odwrotu. - W takim razie chyba nie mamy o czym rozmawiać.

- Słuchaj, uspokój się... - zaczął Andrzej ugodowym tonem.

- Ja jestem spokojna! - krzyknęła w odpowiedzi Beatka i z płaczem pobiegła na górę.

- Hej, stary - Andrzej zmierzwił synkowi włosy

- nie przejmuj się. Mama ma dziś gorszy dzień. Kobietom to się zdarza... - wziął go na ręce i przytulił.

- Chodź ze mną do lecznicy, zobaczymy, czy są jacyś pacjenci.

## ROZDZIAŁ 21

### czyli nie wszyscy faceci to świnie

Beatka czuła się fatalnie. Zwolnienie Marysi było jak zamiecenie śmieci pod dywan. Prędzej czy później ktoś je stamtąd wygrzebie, to pewne. Co z tego, że pozbyła się konkurentki z domu, skoro jeżeli Andrzej będzie chciał, to i tak znajdzie sposób, żeby się z nią spotykać. Albo... znajdzie po prostu inny obiekt. Straciła do niego zaufanie i to uwierało ją najbardziej. Dlatego nie potrafiła zachowywać się w stosunku do niego normalnie. Nie odzywała się, a kiedy o coś pytał, albo odpowiadała półsłówkami, albo co gorsza wybuchała agresją. Starła się więc nie przebywać z nim za długo w jednym pomieszczeniu - kiedy on wchodził, ona ostentacyjnie wychodziła. Naburmu - szona i niechętna, zachowywała się tak, że na miejscu Andrzeja każdy już dawno porzuciłby próbę nawiązania z nią kontaktu.

Ale Andrzej, o dziwo, zachowywał się bardzo w porządku. Kiedy tylko nie miał pacjentów, wpadał do domu, żeby pobawić się z Jędrkiem, próbował coś Beacie opowiadać, śmiał się z własnych dowcipów i sprawiał wrażenie zatroskanego jej fatalnym humorem. Do sprawy Marysi już nie wracał, za to zupełnie wprost sam zaoferował się na pozycję baby - sittera.

- Jeżeli musisz jechać do pracy, to jedź, ja posiedzę z Małym - zaproponował. - Pacjentów będę wysyłał do Radziejowic. Albo przełożę na popołudnie, jak już wrócisz...

Oferta była bardzo kusząca i Beata nawet się przez chwilę zastanawiała, czy z niej nie skorzystać. Aha, chce się ciebie pozbyć, żeby się spotkać z tą dziurą - dzią, odpowiedziała jej jednak natychmiast intuicja i Beata skomentowała propozycję wzruszeniem ramion. W tym momencie nie zastanawiała się jakoś, że naturalną konsekwencją braku zaufania do Andrzeja powinno być rzucenie pracy, a następnie wszycie mężowi pod skórę GPS - a.



Wieczorem, już po położeniu synka, kiedy właśnie zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób uniknąć spotkania z mężem w pustym teraz i cichym domu, rozległ się dzwonek do drzwi. Beata przez chwilę nasłuchiwała, pewna, że to Andrzej pójdzie otworzyć.

Ale on nie zareagował. Pewnie poszedł znowu do kliniki, pomyślała Beata, ostrożnie schodząc na dół.

Dzwonek rozległ się ponownie, tym razem bardziej natarczywie niż poprzednio.

Obudzi mi dziecko! - zirytowała się Beatka, idąc w kierunku drzwi. O tej porze, kiedy zaczynało się już robić ciemno, bardzo nie lubiła być sama i teraz, kładąc rękę na zasuwie, czuła się naprawdę nieswojo.

- Kto tam? - spytała, zastanawiając się jednocześnie, jak na to pytanie odpowiedziałby złodziej. Pewnie próbowałby podszyć się pod listonosza i tym by się ewidentnie zdekonspirował, bo przecież każde dziecko wie, że poczta polska pracuje najwyżej do osiemnastej.

- Przesyłka dla pani Beaty Stokowskiej! No nie!

- Moment! - odskrzyknęła i cofnęła się w głąb przedpokoju. Co robić?! Normalnie pobiegłaby po Andrzeja, ale w tej sytuacji...

- Przepraszam, a co to za przesyłka? - próbowała przeciągnąć moment decyzji.

- Do rąk własnych! Proszę otworzyć, ja mam jeszcze inne adresy na dzisiaj do rozwiezienia!

Trudno, niech się dzieje co chce, pomyślała. Nawet jeżeli Andrzeja nie ma w domu, to pewnie jest tuż obok, w klinice. Gdyby zaczęła krzyżeć... O ile oczywiście zdąży krzyknąć...

Powoli i ostrożnie odkręciła zasuwę i nacisnęła klamkę. Drzwi zaczęły się otwierać powoli, z lekkim skrzypieniem solidnych zawiasów. A może to i lepiej, zdążyła jeszcze pomyśleć. Da mi w głowę i skończą się problemy...

Najpierw uderzyła ją w oczy czerwień. Intensywna i głęboka. Róż w takim kolorze chyba jeszcze w życiu nie widziała. Zaraz potem poczuła zapach, słodki i odurzający, zupełnie jakby ktoś oblał kwiaty perfumami. Dopiero na końcu zauważyła posłańca. Wysoki, szczupły chłopak, prawie zupełnie zasłonięty

przez gigantyczny kosz wypełniony kwiatami, uśmiechał się do niej szeroko spod zielonego daszku czapki.

- Poczta kwiatowa, proszę pokwitować.
- Do mnie...? - spytała z niedowierzaniem.
- Pani Beata Stokowska?

- Tak - zarumieniła się lekko.

- Czyli do pani. Ten wielbiciel musiał wywalić niezłą kasę... - posłaniec mrugnął porozumiewawczo, postawił przesyłkę rozmiarów niewielkiego klombu na środku holu, podsunął Beacie jakieś papiery do podpisania i zniknął.

Beata stała jak zahipnotyzowana, zastanawiając się gorączkowo, kto mógł jej przysłać tak piękny bukiet, a kiedy pochyliła się nad nim, żeby zanurzyć twarz w płatkach, między lodygami dostrzegła kopertę... Otworzyła ją drżącymi ze zdenerwowania dłońmi. W środku, zamiast liściku, znalazła bilety lotnicze.

Wenecja... Wenecja?!

- Zawsze marzyłaś, żeby popływać gondolą... Nie zauważyła, kiedy się pojawił. Musiał być gdzieś blisko przez cały czas i obserwować, jak Beata zareaguje na niespodziankę. Stał teraz oparty o futrynę kuchennych drzwi, z lekko tajemniczym uśmiechem na ustach. Beata patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Ale Andrzej, jak to... Nie rozumiem... Przecież dopiero co wróciliśmy z wakacji...

Podszedł, przytulił ją mocno i pocałował delikatnie w czubek głowy.

- Nie szkodzi... Już od dawna nie byliśmy nigdzie tylko we dwoje. Więc pomyślałem, że taki romantyczny weekend w Wenecji bardzo nam się przyda.

- A Jędrus? Z kim go zostawimy? Właśnie zwolniłam niańkę! Andrzej roześmiał się i objął ją jeszcze mocniej.

- To też załatwiłem... Beata zeszywniała.

- Nie, nie chodzi o opiekunkę - uspokoił ją. - Rozmawiałem z moimi rodzicami. Bardzo chętnie się nim zajmą. Aha, i przepraszam cię za Marysię. Naprawdę nic między nami nie było ani wtedy, ani nigdy, ale jeżeli tak pomyślałaś, to znaczy,

że się od siebie oddaliliśmy. A to też moja wina... Kocham cię. Pamiętaj o tym, cokolwiek by się działo.

- Pamiętam, ale... - westchnęła. - Kiedy was zobaczyłam wtedy w kuchni... I ten wisiołek...

Andrzej odsunął ją od siebie i zajął jej głęboko w oczy.

- Zaraz, moment, jaki wisiołek?

- No ten w kształcie lwa... Widziałam go u ciebie w biurku, myślałam nawet, że to prezent dla mnie, a ty go dałeś Marysi...

Andrzej zaczął się śmiać. Odchylił głowę do tyłu i śmiał się, nie mogąc przestać.

- Ty naprawdę myślałaś, że ja jej dałem wisiołek? Ona go dostała od narzeczonego i zaraz zgubiła. Myślała już, że przepadł, pół dnia ryczała, a ja go znalazłem w trawie, jak kosilem. Dziewczyno, czy ty mnie nie mogłaś po prostu spytać? Nagle całe napięcie ostatnich dni uszło z Beaty jak powietrze z pękniętego balonika. Wtuliła się w męża, odnajdując w nim nagle poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo jej brakowało. Czuliła, że z oczu płyną jej łzy, ale zupełnie się tym nie przejmowała.

- Ja też cię kocham - chlipnęła. - I też przepraszam...

## ROZDZIAŁ 22

### czyli sztuka obserwacji

Dębicki zatrzymał samochód w cieniu kępy brzoź, rosnących przy skrzyżowaniu dwóch wąskich, wyboistych ulic na krańcu miasteczka, i wyłączył silnik. Ależ gorąco, westchnął, wycierając spocone czoło chusteczką higieniczną nasączoną mentolem. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, dwadzieścia kilo nadwagi i dawno skończył pięćdziesiątkę, dlatego upalne lato to nie było to, za czym by tęsknił. Co roku o tej porze obiecywał sobie, że tym razem już na pewno zmieni swojego starego forda escor - ta na coś nowszego, z klimatyzacją, i co roku kończyło się na obietnicach. Agencja nie przynosiła aż takich zysków, jak się spodziewał. Dochody szły w większości na czynsz i pensję sekretarki, ale Dębicki nie narzekał. Robił to, co lubił i to było najważniejsze. A poza tym ciągle miał nadzieję, że trafi mu się jakaś sprawa, która go finansowo ustawi.

Odkręcił maksymalnie okno i wyjrzał na zalaną słonecznym światłem ulicę. Gdyby nie te kilka brzoź, smażyłby się teraz jak skwarka na patelni. A przecież nie wiadomo, ile czasu przyjdzie mu tu spędzić. Może dwadzieścia minut, a może dwadzieścia godzin. W tym fachu cierpliwość była największą, i u niektórych - jedyną cnotą. On osobiście uważał, że równie ważna jest dyskrecja. A jego obecny klient w pełni podzielał tę opinię.

Kiedy, za pierwszym razem telefonicznie, facet kazał mu zdobyć jak najwięcej informacji na temat pewnej kobiety, Dębicki pomyślał, że to nie będzie łatwa robota. Ktoś taki nie zleca przecież prostych zadań. Jednak pomylił się. Na podstawie nazwiska i adresu firmy, w której ta kobieta pracowała, dotarł do niej jak po sznurku. A gdy już ją znalazł, śledzenie okazało się jeszcze prostsze. Dom, praca, praca, dom... Żadnego kręcenia się po mieście, żadnych

nieprzewidzianych atrakcji, żadnych podejrzanych kontaktów. Banal.

Tak więc do tej pory pstrykał tę kobietę albo jak wsiadała do samochodu, albo jak z niego wysiadała. A jedyne obce osoby, oczywiście oprócz dziecka i męża obiektu, uchwycone przez Wierzbickiego na zdjęciach, to pracownik stacji benzynowej i niańka, która wychodziła z domu natychmiast po tym, jak kobieta do niego wracała.

Potem obiekt gdzieś zniknął. Dębicki zgłosił to klientowi i dostał polecenie przerwania działań. Wszystko wskazywało na to, że naprawdę dobre zlecenie szlag trafił. Na szczęście ostatnia wizyta na nowo natchnęła detektywa optymizmem. Według najnowszych informacji klienta obiekt pojawił się znowu i Dębicki miał na nowo rozpocząć obserwację. I skupić nie na sferze zawodowej kobiety, ale na jej rodzinie.

Nachylił się i z samochodowego schowka wyjął małą, silną lornetkę, bez której nigdzie się nie ruszał. W jego wielkich dłoniach była prawie niewidoczna. Przyłożył ją do oczu i przez kilka minut dokładnie badał teren.

Najpierw skupił się na ogrodzie. Mignęły mu jakieś kwiaty, trzonek łopaty wbitej w ziemię, huśtawka... Przesunął lornetkę odrobinę w prawo. Przez pustą przestrzeń niezagospodarowanego trawnika, od którego odcinały się kolorami porozrzucane wszędzie zabawki, miał teraz świetny widok na ocienioną wielkim, jasnym parasolem piaskownicę i rozległy taras z drewnianymi meblami i grillem.

Niestety, mieszkańców ani śladu.

Dębicki odłożył lornetkę i przetaił palcami oczy. Ostatnio wzrok szybko mu się męczył. Starość, nie radość.

I na dodatek ten upał. Nagle poczuł senność, która ogarnęła go tak intensywną falą, że nie miał siły się bronić. Odchylił głowę do tyłu, oparł o podglówek i pozwolił na chwilę opaść powiekom.

Obudził go dzwonek komórki. Zaspany, przez chwilę nie wiedział, skąd dochodzi. W pośpiechu zaczął obmacywać ubranie, aż natrafił na telefon w lewej kieszeni spodni. Spojrzał na wyświetlacz: numer zastrzeżony. Szybko wcisnął ikonkę

słuchawki, prawie pewny, czyj głos usłyszy.

- Jak sprawy? - spytał bez wstępów jego chwilowo jedyny klient.

- Wszystko pod kontrolą. Niedługo będę miał dla pana materiał. - Starał się, by jego głos brzmiał rześko i energicznie.

- OK. Będę w kontakcie. - Klient rozłączył się. Dębicki ziewnął przeciągle, sięgnął po lornetkę i powrócił do obserwacji ogrodu. Jest!

Obok ustawionego przy piaskownicy leżaka zauważył kobietę. Stała i przyglądała się bawiącemu się w piaskownicy dziecku, którego wprawdzie nie było dokładnie widać, ale fontanny piachu, wysypywane co chwila na trawę, świadczyły niezbicie o jego obecności.

Dębicki sięgnął szybko na tylne siedzenie i z podniszczonego plecaka wyjął profesjonalnego nikon, podstawowy sprzęt w swojej pracy, w który musiał swego czasu zainwestować spore pieniądze. Rozejrzał się, czy nikt nie idzie, sprawnie ustawił obiektyw, po czym zadowolony puścił w ruch migawkę.

Zrobił, jedno po drugim, kilkadziesiąt zdjęć, szeroki plan, potem amerykański, ale przede wszystkim - dużo zbliżeń. Nagle kobieta odwróciła się i pomachała ręką w kierunku domu. W drzwiach tarasowych pojawił się wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, który mówił coś, uśmiechając się szeroko. Mąż. Dębicki zwiększył zoom i zrobił zbliżenie na szeroką bliznę przecinającą policzek tamtego. Pstryknął mu kilka zdjęć i wrócił do kobiety, która ruszyła właśnie przez trawnik w kierunku domu. Nagle Dębicki zauważył biegnące za nią dziecko. Trudno je było uchwycić w ruchu, ale na szczęście po chwili kobieta wzięła je na ręce.

Dostroił ostrość i wtedy zobaczył w obiektywie tak wyraźnie, jak jeszcze nigdy dotąd, twarz dzieciaka. To był chłopiec, najwyżej dwuletni. Miał jasne włosy, wielkie, ciemne oczy i okazałe, pucółowate policzki. Kobieta podeszła z nim do mężczyzny. Chłopczyk, trzymając się kurczowo ramienia matki, objął jednocześnie mężczyznę za szyję i przytulił buzią do jego twarzy. Sielski obrazek szczęśliwej rodziny.

Ciekawe, zastanawiał się Dębicki, pstrykając zdjęcie za

zdjęciem, czego mój klient może od nich chcieć?

\*\*\*

Paradoksalnie to właśnie w soboty, nadrabiając zaległości nagromadzone podczas całego tygodnia, Beata najbardziej odczuwała to, że jest kobietą pracującą. Chociaż miała, przynajmniej do wczoraj, opiekunkę do dziecka oraz panią Hanię, która przychodziła dwa razy w tygodniu do sprzątania, ilość czynności, które i tak musiała wykonać, była zaskakująca. Beata, jak w każdą sobotę, zaczęła się znowu zastanawiać, czy nie powinna zatrudnić pomocy domowej na stałe. Właściwie zrobiłaby to już dawno, gdyby nie opór i upór Andrzeja. Twierdził, że obecność obcej osoby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę byłaby dla niego za bardzo krępująca. Poniekąd oczywiście miał rację, dlatego Beata jak do tej pory nie próbowała postawić na swoim. Ale w takie dni jak dzisiaj, kiedy musiała jednocześnie gotować obiad, wstawiać pranie i porządkować ubrania Jędrka, temat wracał do niej jak bumerang.

Koło południa jedyną rzeczą, o jakiej marzyła, była odrobina świeżego powietrza i duża dawka słońca.

- Idziemy na dwór? - spytała synka, który zadziwiająco grzecznie siedział na dywanie i zajmował się budowaniem z klocków Duplo.

Mały poderwał się ochoczo, i kiedy tylko otworzyła bramkę, którą były zabezpieczone drzwi tarasowe, wypadł na zewnątrz i popędził ile sił w krótkich nóżkach do piaskownicy, a Beata zaczęła rozglądać się za leżakiem. Zaraz Andrzej powinien wrócić z lecznicy, pomyślała. Dokładnie w tym momencie jej mąż pojawił się w drzwiach tarasowych.

- Jędrus, tata przyszedł! - ucieszona, złapała małego na ręce i podeszła szybko do Andrzeja.

- Tata! - Jędrzek objął małym ramieniem szyję mężczyzny, nie puszczając jednocześnie ramienia matki. Przez chwilę pozostawał pomiędzy rodzicami, ocierając policzkiem o szorstki policzek ojca. Beata pocałowała synka w pulchną łapkę i pomyślała, że jest nieprawdopodobnie wręcz szczęśliwa. Cudowne dziecko, oddany mąż, ciekawe życie zawodowe... A

minimalne chmurki, pojawiające się sporadycznie na tym błękitnym niebie znikwały, zanim spadła z nich choćby kropla deszczu. Nawet ta historia z anonimem, która przez moment wydawała się Beacie końcem świata, sprawiła, że jeszcze bardziej się ze sobą z Andrzejem zbliżyli. Zwłaszcza że wyjaśnianie nieporozumienia zajęło im prawie całą, cudowną noc.

Oddała mężowi Jędrka, przesunęła sobie leżak na słońce i rozpięła górne guziki sukienki, żeby powiększyć dekolt. Rozejrzała się odruchowo, czy czasem nikt się jej nie przygląda, i wzrok jej padł na stojący kawałek dalej w cieniu brzoź zielonkawy samochód... Przygryzła wargi i marszcząc brwi zaczęła się nad czymś zastanawiać.

- Andrzej! Możesz tu przyjść na chwilkę?

Mąż, który ciągnął Jędrka po tarasie w plastikowym autku na pedały, zestawił malucha z całym sprzętem na trawę i podszedł powoli do żony.

- Widzisz tamten samochód? - spytała Bečia cicho.

- Tam, po drugiej stronie? - Aha.

- No widzę, ktoś zaparkował w cieniu, żeby mu się nie nagrzał.

- Mnie się wydaje, że ja go już gdzieś kiedyś widziałam...

Andrzej objął żonę ramieniem i mocno uściśnął.

- Coś ty, naprawdę? - w jego głosie zabrzmiała leciutka ironia.

- Oj, nie śmieję się! Mówię ci! Wczoraj albo przedwczoraj na mieście...

- No, to faktycznie strasznie podejrzone - Andrzej roześmiał się i cmoknął żonę w czoło. - Królowo, przecież po Warszawie jeżdżą takich setki!

Beata odsunęła się od Andrzeja i popatrzyła na męża karcąco.

- To może mi w takim razie wytłumaczysz, co on tu robi, skoro po tamtej stronie ulicy nie ma żadnego domu?

Andrzej westchnął, zrezygnowany.

- No dobra, mój ty detektywie kochany. Jak chcesz, to sprawdzę.

I ruszył powoli w kierunku ogrodowej furtki. W tym momencie rozległ się odgłos zapalnego silnika i samochód zniknął w chmurze pyłu, która podniosła się na polnej drodze spod jego



kół.

- A widzisz! - w głosie Beaty słycać było wyraźną satysfakcję.
- Zobaczył cię i uciekł!

Andrzej popatrzył na nią z pobłażaniem.

- Naprawdę nie wiem, skąd ty, aniele, bierzesz takie pomysły... Beatka już chciała mu opowiedzieć o reportażu, który oglądała w telewizji, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Wtedy naprawdę móglby pomyśleć, że coś jest z nią nie tak. Postanawiając, że tym razem nie będzie drążyć tematu, usiadła w końcu na leżaku i wystawiła twarz do słońca. Nagle coś jej się przypomniało.

- Andrzej, czy ty pamiętasz, że jutro jest w Czer - wińsku festyn i obiecaliśmy Małemu, że go zabierzemy?

## ROZDZIAŁ 23

### w którym pętla się zaciska

Zbliżało się południe. Dojechał właśnie do miasteczka i zamiast, jak wcześniej planował, ominąć je bocznymi drogami, skierował się w stronę rynku. Liczył na to, że za przyciemnianymi szybami auta nikt nie powinien go rozpoznać.

Przejeżdżając wolno wąskimi uliczkami, przyglądał się uważnie wystrojonym odświętnie ludziom, podążającym na festyn. Nie dostrzegł nikogo znajomego.

Pod obskurnym pubem zauważył natomiast grupkę gotowych do akcji, wygolonych młodzieńców w tanich džinsach i przepoconych t - shirtach. Uśmiechnął się pod nosem. Kiedyś, dawno temu, był taki sam. Kiedyś, tak jak oni, szukał tylko okazji do łatwego zarobku i zabawy.

Przejechał jeszcze kawałek i zatrzymał się w cieniu gęstej kępy drzew przy jednej z bocznych, gruntowych dróg. Odczytał wskazania GPS - u i przesłał je sms - em. Teraz pozostawało mu już tylko czekać. We wnętrzu samochodu panował przyjemny chłód, a puszczone na pełną moc klimatyzacja szumiała cicho. Sięgnął po dużą, szarą kopertę, leżącą na siedzeniu pasażera i wysypał z niej, po raz kolejny tego dnia, plik kolorowych zdjęć.

Przedstawiały różne ujęcia tych samych osób: wysokiego mężczyzny z blizną na policzku, ładnej, szczupłej blondynki oraz dziecka, mniej więcej dwuletniego, z burzą blond loczków wokół uśmiechniętej, pucolowatej buzi. Przez długą chwilę przyglądał się uważnie, a potem wrzucił zdjęcia z powrotem do koperty. Z paczki papierosów, leżącej pod deską rozdzielczą, wyjął jednego, zapalił i zaciągnął się łapczywie.

Chwilę później zobaczył nadjeżdżający drogą, w obłoku kurzu, motocykl. Opuścił szybę i bez słowa podał motocykliście szarą kopertę. Przyglądał się, jak tamten wsuwa ją pod czarną, skórzaną kurtkę, w którą był ubrany mimo upału, dodaje gazu i

oddala się w stronę miasteczka.

Dopalił spokojnie papierosa, potem wyrzucił niedopałek przez okno, dodał ostro gazu i, uśmiechając się pod nosem, ruszył w drogę powrotną.

Był zadowolony, że sprawy nareszcie posuwają się w odpowiednim kierunku.

## ROZDZIAŁ 24

### w którym się kręci za dużo ludzi

Niewielki rynek miasteczka był szczelnie wypełniony towarami i ludźmi, a głośnie, rytmiczna muzyka disco, płynąca z rozstawionych wszędzie głośników, przyprawiała o ból głowy i refleksję na temat kondycji polskiej rozrywki. Beata szła pierwsza, czy raczej przepychała się z trudem przez tłum, który gęstniał przy co bardziej atrakcyjnych stoiskach. Za nią, o ile to w ogóle możliwe jeszcze wolniej, posuwał się Andrzej, niosący Jędrka na barana. Mały trzymał ojca za uszy i co chwila wydawał z siebie pełne entuzjazmu okrzyki. Nagle Beata zatrzymała się gwałtownie, utkwivszy wzrok w starym, drewnianym wozie, podobnym do tych, jakich kiedyś używały cyrki.

- Och, Andrzej, patrz! - musiała krzyknąć, żeby usłyszał ją w panującym dookoła harmidrze. - Strzelnica!

Rzeczywiście, wóz wypełniony był szczelnie plu - szakami dowolnych gabarytów, pękami sztucznych kwiatów, słodyczami, kolorowymi piłeczkami na gumce oraz piłkami dmuchanymi, a pośrodku tego wszystkiego wisiała sfatygowana tarcza. Beata patrzyła na to wszystko szeroko otwartymi z zachwyty oczyma. Kiedy była mała, uwielbiała wyprawy na strzelnicę. Ojciec, świetny strzelec, wygrywał dla niej, co chciała. Najczęściej prosiła go więc o swoje ulubione sztuczne ptaki, zrobione z barwionych na intensywne kolory piórek.

- Ustrzelisz coś dla mnie? - zapytała, wieszając się na ramieniu męża. - No, prooooooszę, kochanie...

Andrzej uśmiechnął się i ostrożnie zdjął synka z pleców.

- Dla ciebie wszystko, moja piękna... - objął ją lekko ramieniem i pocałował prosto w usta. - Co sobie jaśnie pani winszuje?

Beata roześmiała się i delikatnie odepchnęła męża od siebie.

- Daj spokój, wszyscy patrzą! Rzeczywiście, była to prawda.

Małe społeczności mają to do siebie, że wystarczy kichnąć, a sto głosów odpowiada: „Na zdrowie!”. Każdy dużo bardziej interesuje się życiem sąsiadów niż swoim własnym, dlatego trzeba się liczyć z tym, że po takim pokazie uczuć cała wieś będzie gadać, że u Stokowskich drugie dziecko w drodze.

- Może tego misia pandę? - Beata pokazała Andrzejowi najsympatyczniejszą maskotkę na straganie. - Jędrkowi się spodoba...

- Ma się podobać tobie, a nie Jędrkowi... - Andrzej nie mógł się oprzeć, żeby znowu nie pocałować żony, tym razem w grzywkę. - Małemu ustrzele coś innego...

- Tata! Brum, brum cie! - usłyszał skwapliwą podpowiedź.

- O właśnie. Tamten samochodzik... - Andrzej, uśmiechnięty i pewny siebie, podszedł do stanowiska z wiatrówkami. - Trzy strzały poproszę.

Beata patrzyła na niego z czułością. Jak w ogóle mogła pomyśleć, że Andrzej ją zdradza? Andrzej? Ten sam, który, choć są już prawie trzy lata po ślubie, ciągle potrafi ją adorować, a jednocześnie otacza bezpiecznym kokonem miłości, troskliwości i ciepła. Taki mąż to skarb, uświadomiła sobie po raz kolejny. Coś na kształt amerykańskich rezerw federalnych.

Z zamyślenia wyrwał ją Jędrak, szarpiąc za sukienkę, więc podniosła go, żeby mógł zobaczyć, jak ojciec strzela. Mały, wyraźnie zafascynowany bronią, z całych sił próbował się wyrwać, ale Beata objęła go i mocno przytuliła.

Bang, bang, bang - rozległy się strzały. Właściciel strzelnicy z uśmiechem podał Andrzejowi biało - - czarnego misia, a Andrzej, przykładając dłoń do serca, ukląkł przed Beatą na ziemi.

- Wstawaj, wariacie! - pociągnęła go ze śmiechem za rękaw. - Co ty wyprawiasz!

- Gdyby każda dama zadawała swojemu rycerzowi takie głupie pytania, toby rodzaj ludzki wyginął w średniowieczu, zeżarty przez smoki - upomniał ją. - Czy zechcesz, moja królowo, przyjąć ten oto skromny dowód uwielbienia?!

- Witam, doktorze! - zażywna, tleniona, i w swoim

mniemaniu zapewne elegancka dama przystanęła nagle obok.

- Zgubił pan coś?

- Dzień dobry, pani Tkaczyk! Nic nie zgubiłem, tylko adoruję żonę - widząc na wypudrowanym obliczu damy kompletny brak zrozumienia, wstał z kolan, otrzepał spodnie i gładko zmienił temat. - Jak tam Brutus?

- Brutusik dobrze, dziękuję. Ale jakiś taki markotny ostatnio, nic jeść nie chce... Nawet kurczaczka nie tknie...

- No, to chyba będzie pani z nim musiała wpaść do mnie do kliniki.

- Chętnie, chętnie, panie doktorze - dama na samą myśl o tete a tete z przystojnym panem doktorem aż pokraśniała. - Miłego dnia!

Skinęła łaskawie Beacie ufryzowaną głowę i odpłynęła.

- Tata, brum, bram - przypomniał się Jędrus, więc Andrzej podszedł ponownie do strzelnicy.

- Jeszcze trzy strzały proszę.

Chwilę później Mały ścisnął już w łapkach niewielki, plastikowy samochód straży pożarnej, a Andrzej wypinał dumnie pierś po ordery.

- Niezły ze mnie snajper, co?

Pochylił się nad Jędrkiem i zmierzwił mu dłonią kręcone blond włoski, po czym zwrócił się do Beaty:

- Ciekawe, czy odziedziczył po mnie oko, jak myślisz?

Dobry nastrój Beaty prysnął jak bańka mydlana.

- Chodźmy już stąd - poprosiła i pociągnęła Jędrka w stronę przezroczystego urządzenia, produkującego wściekle różową i wściekle słodką cukrową watę. Na widok tego cuda chłopczyk stanął jak wryty i przez chwilę obserwował w skupieniu tajemniczy i apetycznie pachnący proces. A potem uwiesił się spódnicy Beaty i oznajmił:

- Mami, daj, daj!

Beata wzniosła oczy ku niebu i sięgnęła do torebki po portmonetkę. Po dłuższej chwili poszukiwań zrezygnowana odwróciła się do męża, który właśnie przy sąsiednim stoisku przymierzał skórzane kowbojskie kapelusze.

- Kochanie...? Dasz nam pięć złotych na watę? Nie wzięłam z

domu pieniędzy!

Andrzej ociągając się odłożył kapelusz i zaczął przeszukiwać kieszenie.

- Tu mam ostatnią dychę - podał jej lekko wymięty banknot.

- Jak to? - jęknęła Beata i wzniosła oczy ku niebu. - Przyszedłeś na jarmark bez gotówki?

- Trochę wzięłem... - roześmiał się. - Ale przebulaliśmy na strzelnicy.

- Chyba ty przebulaleś... - Beata żartobliwie trzepnęła męża wygranym misiem pandą po ramieniu.

Andrzej objął ją i pocałował w policzek.

- Skoczę do domu i przyniosę. Na jednej nodze. Gdzie będziecie?

- Koło kucyka. - Beata machnęła ręką w kierunku niewielkiego trawniczka, po którym smętnie dreptał w kółko mały, tłusty konik z kolejnym jeźdźcem na grzbiecie. - Aha, i weź to ze sobą, bo jeszcze zgubię - podała mu misia.

Patrzyła uśmiechnięta, jak Andrzej odchodzi, machając maskotką. Jakie to cudowne, mieć takiego męża, zdążyła pomyśleć, kiedy synek pociągnął ją, tym razem dużo bardziej stanowczo, za ubranie.

- CIEM AM!

Chwilę później z różowego obłoczku pozostał tylko goły patyk, a Jędrzek znalazł sobie szybko nową atrakcję.

- Mami, daj, daj! - zaczął wzdychać do wielkiego, kolorowego i błyszczącego balonu w kształcie papugi, unoszącego się nad ludźmi. - Maaaama!

Beata pochyliła się, żeby wziąć synka na ręce, i jęknęła ze zgrozy. Chłopczyk lepił się tak intensywnie, jakby go ktoś zanurzył w melasie.

- Syneczku! - jęknęła. - Coś ty z siebie zrobił?

W jej głosie musiała dość wyraźnie zabrzmieć pretensja, bo usta Małego wygięły się nagle w podkówkę i dziecko zaniósło się szlochem. Zdenerwowana Beata zdjęła z ramienia torebkę i zaczęła szukać w niej wilgotnych chusteczek, nieodzownych w tej sytuacji. Kiedy tak stała na samym środku przejścia, próbując jedną ręką przytrzymać dziecko, a drugą znaleźć

paczkę, ktoś, przechodząc obok, zahaczył o pasek od torebki sprawiając, że w jednej chwili wywróciła się do góry dnem, rozsiewając wokół całą swoją różnorodną zawartość. Dziesiątki mniejszych i większych przedmiotów, nie zawsze pierwszej potrzeby, posypało się z brzękiem i szelestem wprost pod nogi przechodniów.

- Mama, daj! - chlipało jednocześnie dziecko, wyrывая się w stronę balonika.

- Jędrak, chwila! - warknęła zdenerwowana coraz bardziej Beata. - Stój tu!

Puściła na chwilę łapkę dziecka i ukucnęła, żeby pozbierać porozrzucane drobiazgi. Portfel, dokumenty, komórka, ulubiona szminka, okulary słoneczne w futerale, klucze od domu, kluczyki do samochodu, plastikowe autko, awaryjna pielucha, łopata, tik - taki, składana parasolka...

Wyławianie tego dobytku spomiędzy nóg przechodzących ludzi nie było łatwe, ale po chwili wszystko wylądowało z powrotem w torbie. A kiedy Becia, z westchnieniem ulgi i paczuszką chusteczek w dłoni, podniosła się i odwróciła, żeby wytrzeć wreszcie Jędrkowi buzię, dziecka nie było.



## ROZDZIAŁ 25

### w którym Andrzej zgłasza sprzeciw

Nie, tylko nie to - pomyślała przerażona Beata, rozglądając się w nadziei, że zaraz gdzieś zobaczy znajomą figurkę synka.

- Jędreku! - krzyknęła, czując jak jej gardło zaciska skurcz strachu. - Jęęęędrusiu!

Zero odpowiedzi.

- Jędrusiu, kochanie!!! - wołała dalej, rozglądając się w panice dookoła. Jednak tłum oblewał ją kolorową i obojętną falą, przez którą nie mogła się przebić. Poczula się jak w pułapce.

- Przepraszam, nie widziała pani takiego małego chłopczyka w zielonej koszulce? - chwyciła kurczowo za ramię jakąś kobietę, która przystanąła obok.

- Nie, nie widziałam...

- A pani? - Beata uczepiła się następnej osoby. I następnej, i następnej, ale nikt nie umiał udzielić jej sensownej odpowiedzi. Gorączkowo przepychała się między ludźmi, nie mając żadnej pewności, czy posuwa się w dobrym kierunku. Przecież Jędreku mógł pójść w każdą stronę. I nagle przypomniała sobie telewizyjny reportaż, a przed oczami zatańczyły jej kolorowe gwiazdy. Porwano go, na pewno go porwano! Zaczęła miotać się jeszcze bardziej nerwowo, o ile to w ogóle było możliwe.

- Niech pani idzie do radiowęzła - poradził w końcu jakiś starszy mężczyzna, którego pociągnęła za rękaw i spytała, czy nie widział Jędrka. - Nadadzą komunikat i zaraz ktoś go przyprowdzi.

Beata poczuła minimalną ulgę. Tak, to jedyne rozsądne wyjście. I nagle uświadomiła sobie, że przecież musi jak najszybciej zawiadomić o wszystkim Andrzeja.

Drżącymi ze zdenerwowania dłońmi zaczęła szukać komórki w torebce. Jak to się mogło stać? - myślała jednocześnie. Przecież cały czas stał tuż koło mnie. Dlaczego go nie trzymałam za rękę, dlaczego?

- Mami! - usłyszała za sobą. - Maaaami!

Odwróciła się i o mało co nie zemdląca z ogromnej ulgi. Jędrusi!!! Cały i zdrowy! Jakaś kobieta trzymała go na rękach, a on wyciągał do matki pulchne ramionka.

- Synku! - Beata chwyciła go i przytuliła z całej siły. - Kochanie! Gdzie ty byłeś?! - Wtuliła twarz w ciało dziecka i z radością wdychała jego delikatny zapach. - Nie możesz sam odchodzić od mamusi! Nigdy, przenigdy tego więcej nie rób! Pamiętaj!

Uczucie ulgi i błogości ogarnęło ją z taką siłą, że dopiero po chwili przypomniała sobie o kobiecie, która przyprowadziła malca.

Była młoda, prawdopodobnie tuż po dwudziestce, wysoka, szczupła, i ostrzyżona na niesforne języka. Miała na sobie kowbojki i za luźne dzinsy, i gdyby nie to, że nosiła do nich lekką bawełnianą bluzkę na cienkich ramiączkach, Beata pewnie odezwałaby się do niej „proszę pana”. Nad dziewczyną, na długiej, czerwonej wstążce, kołysał się tęczy balon w kształcie papugi...

- Naprawdę nie wiem, jak pani dziękować! - Beata wyciągnęła rękę i uściśniła dłoń dziewczyny. -

Dosłownie na sekundę spuściłam go z oczu... Tak się przestraszyłam...

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że mogłam pomóc. Urocze dziecko! - dziewczyna uśmiechnęła się i skubnęła Jędrka w kolano. Chłopczyk roześmiał się, zachwycony, i machnął rączkami w kierunku balonika.

- Proszę, trzymaj, to dla ciebie - dziewczyna podała mu wstążeczkę. - Daj łapkę, to ci zawiążę, żeby nie uciekł. - A odwracając się do Beatki wyjaśniła: - On się zgubił, bo szedł za tym balonikiem.

- Nie zdążyłam się nawet przedstawić - zreflektowała się w tym momencie Beata. - Beata Stokowska.

- Justyna Bednarska. Ślicznego ma pani synka.

- Och, tak. I samodzielnego - westchnęła, a dziewczyna się roześmiała.

Jaka ona sympatyczna, pomyślała Beata i pod wpływem

impulsu zaproponowała:

- Może... Może dałaby się pani zaprosić na kawkę i ciastko?

Dziewczyna uśmiechnęła się miło.

- Dlaczego by nie...?

- Nie uważasz, że ta dziewczyna jest wspaniała?

Andrzej spojrzął na Beatę znad ramienia śpiącego Jędrusia, którego niósł na rękach. Chłopczyk, zmęczony atrakcjami i objedzony po wizycie w cukierni, w pewnej chwili poprosił, żeby go wziąć na ręce, po czym wtulił się w ojca i zasnął, z uśmiechem szczęścia na umorusanej buzi. On już zapewne nie pamiętał przygody, która go spotkała, ale Beata nie mogła się uspokoić i ciągle komentowała całą historię.

- Gdyby nie ona, wolę nie myśleć, co by się mogło stać. Naprawdę nie wiem, czy nie powinniśmy się jej jakoś odwdziaczyć... Andrzej? - pociągnęła męża za rękaw. - Słuchasz mnie?

Andrzej, z małym na rękach, przysunął się bliżej, spojrzął jej ciepło w oczy i uśmiechnął się.

- Oczywiście, że słucham, kochanie. Tylko nie wiem, o co ci chodzi. Zaprosiliśmy ją już przecież na kawę i ciastko, to chyba wystarczy.

- Ja myślę, że powinniśmy zrobić coś jeszcze...

- Tak? To znaczy co?

- To taka sympatyczna dziewczyna... Ma świetny kontakt z Jędrusiem. Widziałeś, nie odstępował jej na krok.

- Owszem, chyba ją polubił. Ale co z tego?

- No niby nic, ale słyszałeś, ona studiuje pedagogikę i szuka pracy. I wiesz, tak się zastanawiałam... Byłaby z niej świetna niańka...

Andrzej spojrzął z ukosa, wyraźnie zdziwiony kierunkiem, w którym zmierzała rozmowa.

- Czy sugerujesz, żeby ją zatrudnić? - upewnił się.

- Nie sugeruję. Po prostu pytam cię o zdanie.

- W ogóle tej dziewczyny nie znamy. Mnie się ona niespecjalnie podoba...

- To mi akurat nie przeszkadza - roześmiała się Beata, puszczając do niego oko. - Myślę, że ma inne zalety...

- Co możesz wiedzieć o jej zaletach? Rozmawiałaś z nią wszystkiego pół godziny. A to, że odprowadziła dziecko, jeszcze o niczym nie świadczy. Każdy by tak zrobił na jej miejscu. Nie wiem, co ty w niej widzisz.

- Po prostu: ma świetny kontakt z naszym dzieckiem i mnie to wystarczy!

- Skoro ci tak kochanie zależy... rób jak uważasz... - Andrzej przygarnął ją czule ramieniem, a Becia pomyślała, że naprawdę jej mąż jest najlepszy na świecie.

Jak w ogóle mogła kiedykolwiek w to wątpić?

## ROZDZIAŁ 26

### czyli pułapki pracy po godzinach

- A pan kierownik co, spać nie może? - młody, zadziorny ochroniarz podszedł, lekko utykając, do bramy. Miał dwadzieścia pięć lat i sztywne kolano po tym, jak przewrócił się na motocyklu, za ostro wchodząc w zakręt. A że w tym zdarzeniu wzięła też udział pusta zielona puszka, wyrzucona akurat z jadącego naprzeciwko samochodu, inaczej jak Sprite nikt od tamtej pory na chłopaka nie mówił.

Przyjazd kierownika oderwał go w kulminacyjnym momencie od wieczornego filmu akcji na TVN - ie. Pomrukując z niezadowolaniem pod nosem, przez chwilę mocował się z kłódką, w końcu odciągnął jedno skrzydło, żeby można było wjechać do środka.

- Muszę coś sprawdzić, zanim jutro ekipa wejdzie - wyjaśnił niechętnie kierownik budowy, Edmund Nowicki, po czym nacisnął gaz i jego golf wtoczył się powoli na wysypyany żwirem parking przed barakiem biura. Wścibski smarkacz - pomyślał jednocześnie.

- Nie jego interes, o której przyjeżdżam.

A tak naprawdę chodziło o to, że pytanie trafiło w sedno - rzeczywiście nie mógł spać. Ze zdenerwowania, zastanawiając się, czy dobrze robi...

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta druga piętnaście.

Wysiadł z samochodu i poczuł przenikliwy, wieczorny chłód. Zaciągnął suwak cienkiego, zielonego swetra, zacisnął palce na ręczce nesesera i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Szedł szeroką, piaszczystą i dobrze oświetloną drogą, prowadzącą między budującymi się domami. Mocne, żółte światło sodowych latarni wydobywało z mroku dziwne kształty i cienie. Minął tak zwany pierwszy etap, świeżo otynkowany, potem drugi, do którego miały być wstawiane okna, wreszcie skręcił w prawo, między budynki trzeciego etapu. Tu zwolnił i ostrożnie

obejrzał za siebie. Nikt za nim nie szedł. Odetchnął z ulgą. Spokojnie, pomyślał, podchodząc do ostatniego domu w szeregu. Kto mógłby mnie śledzić? Kierownik dogląda swojej budowy, normalne, nie?

Wszedł po chwiejnych, prowizorycznych schodach, ustawionych z betonowych bloczków, i nerwowo rozejrzał się wokół. W środku panował jeszcze większy chłód niż na zewnątrz, a oprócz schodów i ścian nośnych było zupełnie pusto, jeśli nie liczyć walających się wszędzie papierowych worków po cemente, betonowych bloczków i puszek po piwie. Nowicki odruchowo pomyślał, że koniecznie musi o tym przy najbliższej okazji porozmawiać z majstrem. Żeby taki bałagan po sobie ekipa zostawiała, do czego to podobne?

Rzucił okiem na zegarek. Dwie po wpół.

- Tutaj - usłyszał nagle i aż drgnął, przestraszony. A więc tamten już czekał.

W pustej klatce schodowej głos rozchodził się niewyraźnie, pobrzmiwał echem, choć na pewno dochodził z góry. Z pierwszego, a może nawet drugiego piętra. Nowicki podszedł do niedawno odlanych w betonie schodów, z których nadal nie zdjęto drewnianego szalunku, i zaczął się ostrożnie wspinać.

Odgłos klaksonu wyrwał Sprite'a z głębokiego snu. Przez chwilę nie wiedział, co się dzieje i dlaczego na dworze jest już zupełnie widno. Rzut oka na zegarek otrzeźwił go jednak zupełnie. Siódma trzydzieści. Przespał całą noc! Zirytowany, podniósł się ze starej wersalki i wyszedł przed dyżurkę.

- No co jest?! - krzyknął.

Przed bramą stała ciężarówka. Kierowca wychylił się z kabiny i wyrzucił na ziemię niedopałek.

- A co ma być? Zbrojenia przywiozłem. Sprite wzruszył ramionami.

- Widzę, że zbrojenia. I co z tego? Nikogo jeszcze nie ma. Kto to niby rozładuje?

- Nie moja broszka - odmruknął kierowca. - Kazali przywieźć, to przywiozłem.

- Ale czego tak wcześniej?

- Na sobotę były zamówione, tylko mi się wóz po drodze rozkraczył. No, otwieraj chłopie! Nie będę tu przecież jak głupi sterczał!

Szczęknęła kłódka. Samochód wjechał powoli do środka. Ochroniarz zamknął bramę i już miał odejść, kiedy ciężarówka ze zgrzytem stanęła. Kierowca znowu się wychylił.

- Ej! Nie zmieszczę się! - krzyknął.

Sprite odwrócił się, żeby zobaczyć, o co chodzi. Drogę zagradzał niefortunnie zaparkowany golf No - wickiego. Co kierownik mógł robić na budowie przez całą noc?! Sprite zaklął pod nosem.

- Nie mam kluczyków! - odrzyknął. - Kierownika bryka!

- To go zawołaj!

- Kiedy nie wiem, gdzie polazł! Kierowca splunął na ziemię.

- No to go, kurna, szukaj. Ino migiem.

- Dziad cholerny... - burknął cicho Sprite, nie wiadomo pod czyim adresem, i niechętnie ruszył na poszukiwania.

Niby taki wielki pan kierownik, myślał, idąc w tym samym kierunku, w którym wieczorem poszedł No - wicki, a nawet porządnie auta zaparkować nie umie. Bokiem by stanął, nie byłoby problemu. A jeszcze lepiej - mógł nie mitrzyćć całej nocy na budowie.

Wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę tanich papierosów i, nie spiesząc się, zapalił jednego. Nie ma co, nieźle się dzień zaczyna! Minał pierwszy i drugi etap, zaglądając do budynków, ale Nowi - ckiego nigdzie nie było. Zbliżał się właśnie do ostatniego domu w trzecim etapie, kiedy coś zauważył. Wśrodkubudynkucoś leżało. Jakiś kształt, niewyraźny i nieokreślony, ale odcinający się wyraźnie od jasnej betonowej podłogi.

Sprite ruszył w tamtą stronę, najpierw powoli i ostrożnie, potem coraz szybciej. Z trudem pokonał chwiejne schody z pustaków i wkuśtykał do środka. Na ziemi zobaczył leżącego twarzą w dół mężczyznę w dżinsach i swetrze. Wyglądał przerażająco znajomo. Sprite dopadł do niego i przewrócił na plecy.

- O kurde! - jęknął.

## ROZDZIAŁ 27

a miało być tak pięknie

W poniedziałkowy poranek, nieco po ósmej, Beatę wywabił z łazienki głośny śmiech małego Jędrka. Zaciekawiona, owinęła się ciasniej miękkiem we - lurowym szlafrokiem i zeszła na dół zobaczyć, co się dzieje.

Mały, kompletnie ubrany, siedział na swoim krzeselku przy kuchennym stole i chichocząc radośnie, pałaszował śniadanko. Obok kucąca Justyna, nowa opiekunka. Na dłoniach miała kolorowe pacynki, którym blat stołu służył za scenę. Najwidoczniej była w trakcie przedstawiania jakiejś fascynującej historii, bo Jędrak, zachwycony, nawet nie zauważył pojawienia się matki.

Beatka wcale nie miała zamiaru im przeszkadzać. Przystanąła cicho w progu i pomyślała, uszczęśliwiona: „Jak to dobrze, że ona się zgodziła u nas pracować! I to tak z dnia na dzień. Wiedziałam, że będzie świetna, po prostu wiedziałam...”. Jakby wyczuwając jej myśli, Justyna mrugnęła do niej porozumiewawczo, nie przerywając przedstawienia. Beata odpowiedziała jej uśmiechem, a potem pobiegła z powrotem na górę, szykować się do wyjścia. Kiedy kilka minut później, już gotowa, pojawiła się w holu, Justyna z Małym na rękę podeszła, żeby się pożegnać. Podążyła po koleji torebkę, teczkę, a w końcu Małego do pocałowania.

- Do widzenia - pomachała jej wesoło. - Miłego dnia!

Początkowo wyglądało na to, że życzenie Justyny ma szansę się spełnić. Pogoda była całkiem przyjemna, ruch na szosie katowickiej umiarkowany, a Maciek zadzwonił z biura, że spotkanie, które miała zaplanowane na drugą zostało odwołane, więc istniało duże prawdopodobieństwo, że uda jej się wrócić wcześniej do domu. Pokonując trasę do Warszawy z zawrotną szybkością osiemdziesięciu, a nie dwudziestu kilometrów na godzinę, Beata zastanawiała się, co szczególnego



jest w tym dniu, że droga jakimś cudem na razie się jeszcze nie zakorkowała...

Nagle przez szum klimatyzacji oraz zachrypnięty głos Amy Winehouse przedarł się przejmujący dźwięk syreny pogotowia i zaatakował jej uszy.

Beata poczuła w żołądku irracjonalny skurcz niepokoju. Szybkim ruchem wyłączyła odtwarzacz i spojrzała we wsteczne lustro. Jakies dwieście metrów za sobą zobaczyła migający na niebiesko kogut i jaskrawe światła karetki. Ciekawe, co się stało, pomyślała, zjeżdżając na pobocze. Inne auta zrobiły to samo. Chwilę później erka na sygnale minęła ją i popędziła dalej, w kierunku Janek. Beata wykonała błyskawiczny skręt kierownicą, przeskoczyła na szybszy pas ruchu i dodała gazu.

To była stara metoda, której nauczyła się jeszcze od Pawelka: „Jeżeli ci się spieszy, śmigaj za karetką” - tłumaczył. „Zanim się ludzie zorientują, będziesz daleko”. Oczywiście wtedy nie przywiązywała zbyt dużej wagi do tego, co Paweł mówi o prowadzeniu samochodu, nie miała przecież nawet prawa jazdy. Ale odkąd sama usiadła za kółkiem, podświadomie zaczęła wprowadzać w życie nauki byłego męża. Choć jego samego usiłowała wyrzucić z pamięci na zawsze.

Beata nie posuwała się tak szybko, jak ambulans, ale cały czas widziała przed sobą jego migające światło. Po kilku kilometrach takiej jazdy oba auta znalazły się na wysokości długiego ogrodzenia z siatki, za którym wznosiły się niewykończone, obstawione rusztowaniami budynki mieszkalne. Cały ten teren należał do Pawbudu, powstawało tu duże, komfortowe osiedle z wykończeniem pod klucz i Beata zawsze, pokonując ten odcinek trasy, z ciekawością przyglądała się postępowi prac. Dzisiaj jednak nie miała do tego głowy, zajęta obserwowaniem karetki, która przyhamowała gwałtownie i ostrym łukiem skrzyła w prawo.

- O cholera! - wyrwało się Beacie, ponieważ karetka pokonała kilka metrów drogi dojazdowej i wjechała prosto w... otwartą na oścież bramę budowy Pawbudu.

Beata gwałtownie przyhamowała, wywołując za sobą wściekle trąbienie. Pstryknęła światłami awaryjnymi, żeby przeprosić,

wrzuciła kierunkowskaz i wepchnęła się sprytnie między samochody jadące wolniej prawym pasem. Tu znowu przyhamowała i w ostatniej chwili zdążyła skręcić w tym samym miejscu, co karetka.

- - Co tu się mogło stać? Co tu się mogło stać? - powtarzała pod nosem, coraz bardziej zdenerwowana.

Minęła bramę budowy, potem budynki biurowe, przed którymi nie było nikogo, i ruszyła dalej śladem ambulansu. Po kilkuset metrach, przed jednym z niewykończonych budynków, zobaczyła zbiegowisko. Zatrzymała auto i wysiadła w pośpiechu.

- Pani prezes! - usłyszała za sobą. Łukasz Pacha - ła, młody zastępca kierownika budowy, zbliżał się do niej szybkim krokiem. Był blady i wyraźnie zdenerwowany.

- Co tu się stało, panie Łukaszu?! Jakiś wypadek?

- Tak. Nowicki. Spadł skądś, czy coś takiego.

- Ale co mu się stało? Złamał coś sobie? - dopytywała Beata.

- Wiem tylko tyle, że jest nieprzytomny... Chodźmy dalej - i zaczął się przepychać między ludźmi. Beata ruszyła jego śladem.

Kiedy udało im się wydostać na wolną przestrzeń obok karetki, z budynku właśnie wyszedł lekarz, a za nim sanitariusze, niosący na noszach rannego. Beata zauważyła szarą jak popiół twarz Nowickiego i gruby kołnierz ortopedyczny, obejmujący jego szyję.

- Panie doktorze, co z nim? - zapytała, coraz bardziej przerażona. - Czy... czy to coś poważnego?

- Stan ciężki - usłyszała w odpowiedzi. - Nie wiadomo, czy przeżyje.

W biurze powitał ją zdenerwowany Maciek.

- Pani prezes, już ktoś dzwonił w sprawie tego wypadku. Jakiś gość z gazety. Ale tak jak pani kazała, nikomu nie udzielam żadnych informacji, żadnych.

Otworzył przed Beatą drzwi do jej gabinetu.

- Co mam robić, jak znowu zadzwoni?

- Nie wiem - odpowiedziała z rozbrajającą szczerością. - Niech pan coś wymyśli... i załatwi mi jakieś proszki

przeciwbólowe.

Opadła na fotel. Czowała potworne zmęczenie, choć przecież była dopiero jedenasta, a na samą myśl, z czym dla jej firmy wiąże się wypadek na budowie, rozboleła ją głowa. Siedziała tak z zamkniętymi oczami dłuższą chwilę. To, co sobie przy okazji wyobrażała, nie było przepełnione optymizmem.

- Pani prezes... - Maciek postawił na biurku filiżankę z herbatą i cukiernicę, a obok położył opakowanie panadolu. - Za pół godziny ma pani spotkanie z tymi nowymi projektantami...

- Dlaczego ja...? - spytała zdziwiona, ponieważ nie należało to do jej obowiązków.

- Specjalnie pani o to prosiła trzy miesiące temu.

- Tak...? - Beata przez chwilę szukała tego faktu w pamięci, ale daremnie.

- Mówiła pani, że chce mieć wpływ na estetykę każdego nowego projektu.

- Może faktycznie... No nic. Trzeba to odwołać. To znaczy, przełożyć.

- Ale na kiedy?

- Może na jutro... Albo nie... Lepiej na przyszły tydzień. Coś jeszcze?

- Tylko bieżąca korespondencja, jak zwykle.

- Niech pan poprosi do mnie Zbyszka Wierzbickiego. To pilne. Sekretarz skinął posłusznie głową i wybiegł, wypełnić polecenie. Nie minęło pięć minut, kiedy znowu zajrzał do gabinetu.

- Pani prezes... - zaczął z wahaniem. - Pana Wierzbickiego nie ma...

- Jak to nie ma? Wziął wolne? Sprawdzał pan w kadrach?

- Sprawdzałem... nic na ten temat nie wiedzą.

- Może jest na budowie?

- Dzwoniłem. Tam też go nie ma.

Beata poczuła irytację. Żeby w takiej chwili nawet na Zbyszka nie mogła liczyć!

- W takim razie dziękuję, panie Maćku - zakończyła pozornie obojętnym tonem. - To wszystko.

Gdy tylko za Maćkiem zamknęły się drzwi, Beatka sięgnęła po komórkę i wybrała numer Zbyszka. „Abonent czasowo niedostępny”, usłyszała po kilku sygnałach. Spróbowała jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Za trzecim razem nagrała wiadomość, w której prosiła o pilny kontakt.

Co się z nim dzieje? - zastanawiała się, zdenerwowana. Dlaczego przepadł akurat teraz, kiedy jest mi tak bardzo potrzebny? W tym momencie Beata przypomniała sobie spotkanie sprzed kilku dni, kiedy wyraźnie zauważyła, że Zbyszek jest pod wpływem alkoholu. Może on tak odreagowuje po rozstaniu z Moniką? No cóż, było to bardzo prawdopodobne. A jeżeli tak, to lepiej odnaleźć go jak najszybciej, zanim Becker zorientuje się, co jest grane i zrobi z tej wiedzy użytek.

## ROZDZIAŁ 28

### czyli gdzie jest Zbyszek?

We wtorkowy poranek obudził ją czuły szept:

- Kochanie, obudź się, czas wstawać... Poczula na uchu najpierw muśnięcie oddechu, a potem delikatny dotyk warg. Z trudem otworzyła oczy i zobaczyła pochylonego nad sobą Andrzeja.

- Która już?

- Wpół do ósmej. Zrobić ci kawę?

- Poprooooooszę... - ziewnęła, po raz kolejny uświadamiając sobie, że naprawdę taki mąż to skarb.

Wsunęła się głębiej pod koldrę, ciągle bliższa snu niż jawy. Pod powiekami migwały jej strzępki obrazów i rozmów, powoli układając we wspomnienie wczorajszego dnia. I nagle miły nastrój ustąpił miejsca nieprzyjemnemu uczuciu osaczenia: wypadek na budowie, zniknięcie Zbyszka, kłopoty, kłopoty, kłopoty...

Zwinęła się w kłębek, obejmując ramionami poduszkę. Najchętniej w ogóle nie wstawałaby z łóżka! Nie czuła się na siłach stawiać czoło wyzwaniom tego kalibru. Ledwo doszła do siebie po wydarzeniach ostatniego tygodnia, a już czekały następne atrakcje.

Podobno nieszczęścia chodzą parami. Bzdury. Stadami chodzą, stadami!

Wczorajszy dzień, oprócz nerwów związanych ze stanem zdrowia Nowickiego, przyniósł przede wszystkim pytanie: gdzie jest Zbyszek? Nic nie dało wydzwanianie na jego komórkę, wypytywanie pracowników biura i tych, którzy mogli mieć z nim kontakt na budowie. Przez cały poniedziałek nikt go nie widział i Beata zaczęła się coraz bardziej niepokoić. Do tego stopnia, że odważyła się nawet zadzwonić w tej sprawie do Moniki.

- Słuchaj, czy ty się może orientujesz, gdzie jest Zbyszek? -

zaczęła, w swoim mniemaniu, delikatnie.

- Becia! Co ty znowu kombinujesz?!

- Nic! Nic! Tak pytam... Gdzieś się zapodział, i myślałam, że może coś wiesz...

- Nie, nie wiem. I nie chcę wiedzieć! Już ci mówiłam, że do niego nie wróć! - Monika wyrzucała z siebie słowa jak pociski z uzi, Beata aż odsunęła aparat od ucha. Kiedy po drugiej stronie zapanowała na chwilę cisza, odważyła się powiedzieć:

- Ale przecież ja cię nie namawiam ani nic... Tylko spytałam... W końcu byłaś z nim tak długo... Myślałam, że może wiesz, gdzie go szukać.

- Szukać? Przecież on u ciebie pracuje.

- No właśnie. Ale nie ma go w pracy. Monika westchnęła, zde gustowana.

- Zadzwoń do niego, i po sprawie. Teraz westchnęła Beata.

- Nie odbiera. Naprawdę myślisz, że zawracałabym ci głowę, gdybym nie sprawdziła innych możliwości?

Po chwili ciszy Monika odezwała się dużo mniej walecznym tonem.

- Nie wiem, może pojechał do córki? Tylko ja bym wolała tam nie dzwonić... Wiesz, jak jest...

Beata skinęła głową ze zrozumieniem, choć przecież przyjaciółka nie mogła jej raczej widzieć.

- Jasne, ja zadzwonię. Tylko mi podaj telefon.

- Zaraz ci prześlę esemesem... Becia... - No?

- Jak już go znajdziesz, daj znać.

Niestety, u córki Zbyszka nie było, i też nie wiedziała, gdzie mógł się podziać. Obiecała zrobić dyskretny rekonesans wśród rodziny, ale Beata jakoś nie wierzyła, żeby dał pozytywny efekt. I denerwowała się coraz bardziej.

Dlatego teraz, kiedy sobie to wszystko przypomniała, od razu sięgnęła po leżącą przy łóżku komórke.

Ale w skrzynce odbiorczej nie było żadnej wiadomości.

Gdzie on się podział?

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos kroków na schodach; jednocześnie do jej nosa dotarł intensywny aromat kawy zaparzonej w ekspresie. Po chwili do sypialni wszedł mąż z

dwoma kubkami i przysiadł na łóżku, wręczając jej jeden z nich.

- Jak spałaś? - spytał ciepło i pogłaskał ją po policzku. Przytrzymała jego rękę.

- Jakoś. Kiedy wróciłeś?

- Przed chwilą. Jestem najpopularniejszą końską położną w okolicy - roześmiał się wesoło, ale nagle spoważniał. Przysunął się do niej i przytulił na chwilę.

- Mizernie wyglądasz - szepnął.

- I mizernie się czuję...

- Co się dzieje? - spytał poważnym tonem.

- Kłopoty w firmie. Nie wiem, czy dam radę...

- Dasz, dasz! - zapewnił gorąco. - Dzielna z ciebie dziewczyna. A powiesz mi, o co chodzi?

Beata popatrzyła na zegarek i o mało nie oblała się kawą. Ósma dwie! Odrzuciła energicznie kołdrę i wsunęła stopy w plastikowe klapki.

- Wszystko ci powiem, ale jak wrócę.

## ROZDZIAŁ 29

w którym pani komisarz zaczyna zadawać niewygodne pytania

Beata, wchodząc do sekretariatu, poczuła się od razu jak w oku cyklonu.

Maciek rozmawiał przez telefon, przekrzykując drugi, dzwoniący aparat i panią Zosię, kadrową, która stała przy jego biurku i próbowała wydobyć od niego jakieś informacje. Obok zniecierpliwiony doręczyciel z firmy kurierskiej czekał na pokwitowanie odbioru, wygłaszając pod nosem nieprzychylnie komentarze na temat bałaganu w niektórych firmach, a Włodarczyk, kierownik działu nieruchomości, chodził po pokoju w kółko jak zwierzę w klatce.

- O, jest pani prezes! - zakomunikował z ulgą Maciek wszystkim zainteresowanym, podrywając się z miejsca.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się w stronę Beaty, która z trudem opanowała chęć ucieczki. Jeżeli się nie weźmiesz w garść, zjedzą cię na drugie śniadanie, uświadomiła sobie i szybko przystąpiła do frontalnego ataku.

- Dzień dobry. Co tu się dzieje?!

- No bo właśnie... - zaczął płaczkliwym tonem sekretarz.

- Potem... - machnęła ręką na jego tłumaczenia. - Państwo do mnie? - zwróciła się do kadrowej i kierownika nieruchomości.

- Tak, pani prezes, ja chciałam wyjaśnić...

- Nie teraz. Pan Maciek da znać, kiedy będę wolna. Gdzie mam podpisać? - wyjęła posłańcowi z dłoni długopis i złożyła zamaszty podpis na dowodzie odbioru.

- Przecież ja mogłam... - ocknął się Maciek.

- Coś jeszcze? - rzuciła przez ramię, wchodząc do gabinetu.

Sekretarz nabrał powietrza.

- Policja do nas jedzie.

Beata zatrzymała się z ręką na klamce.



- Jak to: policja?! Odwróciła się gwałtownie. - Jak to: do nas?  
- W sprawie tego wypadku na budowie... powiedzieli, że chcą rozmawiać z kierownictwem, więc...

- O której będą?

- Zaraz.

- To proszę zaparzyć świeżej kawy i zorganizować jakieś pączki, czy coś...

Weszła do gabinetu, rzuciła torebkę na biurko, a sama usiadła z impetem w swoim fotelu. Policja. No pięknie. Ale czego oni mogą chcieć, skoro to był wypadek? Nieszczęśliwy wypadek, to wszystko...

W tym momencie rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Maciek.

- Pani prezes, policja.

Beata wykonała dłonią zachęcający gest i Maciek odsunął się, wpuszczając do środka bardzo wysoką, postawną, ostrzyżoną na krótko brunetkę po trzydziestce. Miała na sobie ciemne spodnie, ciemny t - shirt i kamizelkę. W miękkich mokasynach poruszała się jak kot.

- Komisarz Anna Pędzicka - przedstawiła się niskim głosem i uściśnęła dłoń Beatki tak mocno, że przed oczami pani prezes pokazały się gwiazdki.

- Bardzo mi miło - zapewniła odruchowo, choć niezgodnie z prawdą Beata. - Proszę siadać.

Komisarz zapadła w fotel dla interesantów i wyciągnęła przed siebie długie nogi.

- Może coś do picia? Kawa, herbata?

- Poproszę wodę.

Beata, nalewając Nałęczowiankę do szklanki zauważyła, że ze zdenerwowania drżą jej ręce. Energia i stanowczość, którymi emanowała jeszcze przed chwilą w sekretariacie, gdzie się dyskretnie ulotniły. Obserwowała ukradkiem panią komisarz, która bez skrupowania i uważnie rozglądała się po gabinecie.

- W czym mogę pomóc? - zapytała Beca obojętnym tonem, stawiając szklankę przed policjantką. - Chodzi o ten... wypadek?

- Czy wypadek, to dopiero musimy ustalić. Edmund Nowicki

zmarł dzisiejszej nocy na skutek odniesionych obrażeń. Dlatego chciałabym uzyskać od pani kilka informacji.

Beata poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

- Ja... nie wiedziałam... - jęknęła. - Oczywiście, proszę pytać.

- Jak układały się stosunki między panią a panem Nowickim?

Beata przełknęła głośno ślinę.

- No... no... normalnie. - Tak?

Beata już po raz drugi tego dnia pożałowała, że nie została jednak rano w łóżku.

- Był moim pracownikiem, ale jego bezpośrednim przełożonym był pan Wierzbicki. - Ups! Ugryzła się w język.

- A ja słyszałam, że były między państwem jakieś konflikty?

Na policzki i szyję Beaty podstępnie wypełził rumieniec.

- Tak, ale tylko na gruncie zawodowym. To były takie... spory kompetencyjne... Pan Nowicki z zasady miał inne zdanie niż ja na większość spraw.

- Świadkowie twierdzą, że dochodziło między wami do ostrych spięć.

- Świadkowie?! Jacy świadkowie? - kompletnie zdezorientowana Beata aż się podniosła z miejsca. - To znaczy, to nie były żadne ostre spięcia, już mówiłam!

Komisarz Pędzicka zapisywała coś skrętnie w notatniku.

- Taaak... Gdzie pani była w niedzielę, szóstego, po dwudziestej drugiej?

Tego już było dla Beaty za wiele.

- Pyta mnie pani o alibi?! - wybuchnęła. - Przecież to absurd!

Policjantka patrzyła na nią z niezmaconym wyrazem twarzy.

- Proszę się nie unosić. Czyli gdzie pani była?

- W domu! W łóżku! Spałam!

- Dobrze... Wspomniała pani coś o bezpośrednim przełożonym pana Nowickiego - zajrzała do notatek. - Wierzbicki, tak? Gdzie mogę go znaleźć?

- Nie wiem! - odpowiedziała odruchowo. - To znaczy jest na urlopie - skłamała natychmiast.

- Do kiedy?

- Eeee, nie pamiętam, musiałabym spytać kadrową...

Komisarz Pędzicka z trzaskiem zamknęła notatnik i wstała.

- Nie trzeba. Poradzę sobie. Aha, bardzo proszę o przygotowanie pełnej dokumentacji budowy. Wszystko, co państwo macie. Po południu przyślę funkcjonariusza.

## ROZDZIAŁ 30

### który rozgrywa się w scenerii filmowej

Dębicki przesunął kolejną metalową ramę, wypełnioną okładkami filmów. „Zabójcza broń 2” - znał to na pamięć... „Liberator” - kopanina, „Nie mów nikomu” - do pięt książce nie dorasta... Od dziesięciu minut stał przy kryminałach i udawał, że coś wybiera. Choć właściwie nie musiał udawać. Miał w Klubie kartę i czasami, kiedy naszła go ochota na rozrywkę trochę bardziej ambitną niż „Samo Życie”, wypożyczał film. Najchętniej kryminał. Najchętniej amerykański. Oglądanie perypetii filmowych kolegów po fachu sprawiało mu dużą frajdę. Głównie dlatego, że choć był świadkiem akcji, sam nie musiał się pocić, tylko siedział sobie wygodnie w ulubionym fotelu z puszką zimnego piwa w ręku. Relaks.

Po raz kolejny rozejrzał się dookoła sprawdzając, czy klient już się pojawił. Ale w sporej sali, poprzedzielanej stelażami, na których eksponowano pudełka płyt, oprócz Dębickiego kręcił się tylko jakiś nastolatek w dziale PRZYGODOWE.

Dębicki właśnie dlatego wymyślił to miejsce. Kiedy poprzedniego dnia wieczorem klient zadzwonił i poprosił o kolejne spotkanie, zastrzegając, że tym razem wolałby nie pokazywać się w agencji, detektyw od razu zaproponował mu Klub DVD. Tutaj wchodziło się prosto z ulicy, nieliczni klienci nie zwracali na innych uwagi, zajęci przeglądaniem okładek, a za stelażami można się było świetnie ukryć. Dyskrekcja, na jakiej tak bardzo zależało jego klientowi, była więc tu zapewniona w stu procentach. Żadna kawiarnia czy park nie umywały się do zacisznego wnętrza Klubu DVD.

Na schodach prowadzących z dolnego pomieszczenia wypożyczalni rozległy się ciche kroki. Dębicki wyjrzał ostrożnie zza „Milczenia owiec”. Jest! Klient, jak zwykle nienagannie ubrany, pojawił się na progu i nie rozglądając się ruszył w

kierunku stojącego na środku stelaża z nowościami. Dębicki powrócił spokojnie do lektury okładek.

Dopiero jakieś trzy minuty później mężczyzna znalazł się obok niego.

- Witam - powiedział półgłosem. - Chciałbym, żeby pan kontynuował obserwację.

Mówiąc to, przesuwał palcem po wystawionych okładkach filmów, jakby coś wybierał.

- Oczywiście. Na takich samych zasadach? - upewnił się Dębicki.

- Niezupełnie... - przez twarz klienta przemknął uśmiech. - Teraz chcę, żeby mi pan podał jeszcze więcej informacji o całej rodzinie.. Dokładny rozkład dnia, powtarzalne czynności, miejsca, które odwiedzają. Jak najwięcej szczegółów. Jak najwięcej zdjęć. Wszystkich mieszkańców, wszystkich odwiedzających. Rozumiemy się?

Dębicki odchrząknął. Prawdę mówiąc, niewiele rozumiał. Pracował dla różnych ludzi, wykonywał zlecenia mniej lub bardziej ryzykowne, mniej lub bardziej skomplikowane. Ale ten facet dziwnie się zachowywał. Nie wyglądał na zdradzonego męża, zazdrosnego kochanka, sprytnego spadkobiercę. I choć pierwsze dwa zlecenia nie wzbudziły w Dębickim wątpliwości, teraz już nie mógł tego powiedzieć. Jednak żeby zrezygnować z zarobienia takiej kasy, wątpliwości musiałyby być dużo, dużo większe.

- Tak. Wszystko jasne. Kiedy chce pan zobaczyć pierwszy raport?

- Jak najszybciej. Daję panu dwa dni. A potem zobaczymy. Zapłacę, kiedy dostanę do ręki zdjęcia.

Mężczyzna zrobił krok w kierunku wyjścia, po czym odwrócił się jeszcze na chwilę do Dębickiego i powiedział z ledwo zauważalnym uśmiechem na ustach.

- Świetne miejsce. Następnym razem też się tutaj spotkamy.

## ROZDZIAŁ 31

### czyli poszukiwań Zbyszka ciąg dalszy

Gdyby Beata paliła, to po wyjściu pani komisarz chwyciłaby za papierosa. Była roztrzęsiona, zdezorientowana i wściekła. Cała ta sytuacja z wypadkiem, która na początku wydawała się owszem, problemem, ale jednym z wielu, nagle urosła do rangi katastrofy. Policja, śledztwo, trup, koszmar jakiś! I ten pomysł ze sprawdzaniem, gdzie Beata była w momencie wypadku! Za dużo na pracy policji się nie znała, ale z filmów kryminalnych wiedziała jedno - takie pytania zadaje się tylko podejrzanym o popełnienie przestępstwa. A to już chyba lekka przesada! Na jakiej niby podstawie? Że się pokłóciła z No - wickim raz czy drugi?

Zresztą to nawet nie były prawdziwe kłótnie... raczej biurowe potyczki. Ale oczywiście już ktoś zdążył donieść policji...

Ciekawe, czy donieśli też, że Nowicki właściwie z każdym od razu wchodził w spór. To, jak się czasami potrafił awanturować z inżynierami na budowie, albo nawet ze Zbyszkiem...

- O kurczę! Ze Zbyszkiem!

Chwyciła torebkę i drżącymi ze zdenerwowania rękami wygrzebała z niej komórkę.

- Monika?!

Monika biegła równym tempem, poruszając nogami jak automat. Dwa kółka wokół parku Skaryszew - skiego miała już za sobą, przed sobą - jedno. Jej szara, wysłużona koszulka była idealnym wskaźnikiem zmęczenia. Ciemne plamy na plecach między łopatkami oznaczały, że ma już w nogach przynajmniej pięć kilometrów. Kiedy od potu wilgotniał cały materiał, znaczyło, że Monika ledwo żyje. Ale lubiła ten wysiłek i nie mogła zrozumieć, dlaczego inni wolą leżeć na kanapie z książką i odpoczywać w pozycji horyzontalnej. Ją samą beczyność potrafiła zmęczyć dużo bardziej niż maraton.

Dodatkową frajdą podczas biegu było słuchanie muzyki.

Wkładała do uszu słuchawki mp3 - ki i biegła przed siebie w rytm starych rockowych kawałków U2, Springsteena czy Boba Dylana.

Jednak dzisiaj niczego nie słuchała. Nie miała nastroju. Wczorajszy telefon od Beaty wytrącił ją z delikatnej równowagi, którą udało jej się osiągnąć dużym wysiłkiem woli. W pocie czoła powywaliała z serca i pamięci każdy detal, który był związany ze Zbyszkiem, a kiedy już jej się wydawało, że się od niego psychicznie uwolniła, wszystko wróciło. Nie bała się, że coś mu się stało, raczej nie, ale znowu zaczęła o nim myśleć. W dodatku, co najgorsze, z pewnym rodzajem czułości... Zastanawiała się, dlaczego zniknął, dokąd pojechał, jak się czuje, takie tam. I dokładnie w momencie, kiedy postanowiła zaraz po bieganiu zadzwonić do Beaty i dowiedzieć się, czy Zbyszek dał jakiś znak życia, odezwała się jej komórka.

Wydłubała aparat z kieszeni szortów, o mało go nie upuszczając.

- Tak? - wydyszała do słuchawki.

- Monika? Musimy pogadać. Albo coś zrobić. Nie wiem jeszcze. Zbyszka nie ma. Policja go szuka. Masz dziś czas?

Kiedy Beata mówiła takimi krótkimi, urywanymi zdaniami, przeważnie oznaczało to tylko jedno - była porządnie zdenerwowana.

Monika zatrzymała się i pochyliła, próbując uspokoić oddech.

- Monika?

- Sorki, biegałam... Chcesz się spotkać?

- Bardzo. Ty możesz?

Monika zrobiła skłon, rozciągając mięśnie pleców i nóg.

- Mogę - sapnęła. - O której?

- Po południu, jak się tu uporam. Jeszcze zadzwonię.

- OK. - Monika rozłączyła się i ruszyła przed siebie powolnym truchtem, coraz bardziej zła na siebie za to, jak reaguje na zniknięcie Zbyszka.

Czy gdyby zniknął Borys, czułabym taki sam niepokój? - zadała sobie pytanie z gatunku podchwytliwych.

I oczywiście nie umiała na nie jednoznacznie odpowiedzieć, co zirytowało ją jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ 32

w którym wokół Zbyszka robi się coraz większy bałagan

- No to mów! - rzuciła Monika, moszcząc się na wygodnym siedzeniu volvo Beatki. - Co się dzieje?

Dosiadła się do przyjaciółki w Alejach Jerozolimskich obok dworca, choć nie bardzo widziała sens spotkania akurat w tym miejscu. Myślała, że pójdą do jakiejś knajpy pogadać, a jaka tu niby knajpa w okolicy sensowna? Czy choćby kawiarnia?

Beata w krótkich, nerwowych słowach zreferowała przyjaciółce wizytę pani komisarz, akcentując, że tamta traktowała ją jak podejrzaną.

- Pytała mnie o alibi! Wyobrażasz sobie?! Na szczęście byłam z Andrzejem cały czas. Problem jest inny. Ona mnie sprawdzała tylko dlatego, że się kłóciłam z Nowickim.

- Nie rozumiem...

- No, jak przesłuchiwała ludzi na budowie, to pewnie jej powiedzieli, że Nowicki się ze mną często kłócił. Więc go zabiłam.

- Przecież to głupota!

- Pewnie! Ale jeżeli ona się przyczepiła do takich kłótni jak nasze, naprawdę nic wielkiego, to co będzie, jak się dowie o Zbyszku?

- O Zbyszku?! - Monika popatrzyła na Beatę zaskoczona. - Co on ma z tym wspólnego?

- Niby nic. Ale przed wyjazdem do Berlina tak się pożarł z Nowickim, że o mało co się nie pobili! Jak to dojdzie do tej komisarz... Wolę nie myśleć! A najgorsze, że go ciągle nie ma. I zniknął dokładnie w dniu wypadku. To jednak jest trochę podejrzane...

Monika dopiero teraz się zorientowała, że mijają dworzec Ochota i skręcają w Grójecką.

- Beata, dokąd my właściwie jedziemy? Beata odetchnęła głęboko.



- Jak to gdzie? Szukać Zbyszka!

Przez całą drogę Beacie usta się nie zamykały, a mówiła właściwie o jednym - o Zbyszku. Monika w najgorszych snach nie mogła przewidzieć, że temat, od którego uciekała przez ostatni miesiąc, powróci w tak intensywnej i skondensowanej formie. Przyjaciółka nie tylko analizowała głośno przeróżne warianty aktualnych losów Zbyszka, ale też oddawała się z lubością wspomnieniom. A pamiętasz, jak wtedy dojechaliście do nas do Zakopanego? A chrzciny Jędrka? A Sylwestra u nas rok temu?

Żeby jeszcze te wspomnienia były jakieś niemiłe albo bolesne.

Ale nie. One były całkiem, całkiem przyjemne.

I to denerwowało Monikę najbardziej.

Na miejsce, czyli budowę w Jankach, dojechały stosunkowo szybko. Plan działania miały prosty - zawierał jeden punkt, czyli wejście do pokoju Zbyszka. Żadna z nich nie powiedziała tego głośno, ale obie obawiały się, co tam zastaną. Bo jakoś nie wydawało im się możliwe, żeby Zbyszek po prostu uciekł... raczej mógł zasłabnąć, albo poślizgnąć się w łazience, albo... Ostatnio jego stan psychiczny, zamiast poprawiać, pogarszał się z każdym dniem coraz bardziej. Do tego szukanie zapomnienia w alkoholu... Trzeba się było liczyć ze wszystkim, nawet z najczarniejszym ze scenariuszy.

Przy wjeździe powitał je ten sam strażnik, który poprzednio wpuszczał na teren Monikę z Borysem. Opuścił łańcuch, pełniący w ciągu dnia rolę bramy, i poproszony przez Beatę pokuśtykał do stróżówki, z której przyniósł po chwili komplet kluczy do baraku. Pracownicy zdążyli już opuścić biuro, co dawało im możliwość nieskrępowanego myszkowania po kątach.

- On nocował w piątce? - zapytała Beata, idąc wąskim korytarzem wzdłuż rzędu drzwi.

- Tak. O, tutaj.

Zatrzymały się przed ostatnimi drzwiami. Beata wyszukała w pęku kluczy ten z numerem pięć i włożyła w zamek, ale klucz nie chciał się przekręcić.

- Kurczę, otwarte. Może zapukaj?

Beata zapukała. Czekwały chwilę. Nic. Cisza. Beata ostrożnie nacisnęła klamkę i drzwi powoli się uchyliły. Weszły ostrożnie do środka.

Zwykły, biurowy pokój, do którego dodatkowo wstawiono kozetkę, wyglądał tak, jakby właśnie przeszedł przez niego huragan. Przewrócone krzesło, otwarta i wybebeszona szafka na dokumenty, powy - walane z regału skoroszyty, a pomiędzy tym walające się osobiste rzeczy Zbyszka, jego koszule, kosmetyki, bielizna. Monika wydała z siebie jęk zgrozy i chwyciła Beatę za rękę.

- O Boże! Co tu się stało?!

Oczywiście pytanie pozostało bez odpowiedzi. Dziewczyny jeszcze przez chwilę stały i patrzyły bezmyślnie na pobojuwisko, w końcu Monika pierwsza zrobiła krok do przodu. Potem drugi... A potem schyliła się i podniosła z ziemi granatowy wełniany golf Zbyszka.

- Jego ulubiony - powiedziała cicho.

Beatka jednym susem znalazła się przy niej, wyrwała jej sweter z ręki i rzuciła z powrotem na podłogę.

- Zostaw! Nie ruszaj! Odciski palców!

Monika spojrzała na przyjaciółkę oczami jak spodki.

- Jakie odciski palców? Becia! Opanuj się!

- Policja zawsze zdejmuje odciski palców.

- Ze swetra?!

Beata ani trochę się nie stropiła.

- Ja bym nie była taka pewna. Dzisiejsza technika...

- A w ogóle jaka policja?

- Zobaczysz, że tu trafią. Prędzej czy później. Więc jak zaczną grzebać i znajdą ślady prowadzące do ciebie, możesz mieć kłopoty, mówię ci. Ta komisarz sprawia wrażenie bardzo sumiennej...

Monika miała zamęt w głowie. Zbyszek do pedantów nie należał, ale to, co się działo w pokoju, nie mogło być tylko wynikiem jego bałaganiarstwa. Wyglądało na to, że ktoś tu czegoś bardzo intensywnie szukał. A jeżeli tak, w kolejce czekały następne pytania - kto, czego, i dlaczego? Oraz najważniejsze: czy udało mu się znaleźć? Nieobecność Zbyszka

nabierała nowych, niepokojących barw.

- O matko, o co w tym wszystkim chodzi? - wyszeptała Monika.

Beata nie miała pojęcia. Rozglądała się bezradnie wokół i zastanawiała, co teraz z tym fantem zrobić.

- Słuchaj - odezwała się w końcu niepewnie. - Nas tu chyba nie powinno być.

Monika, która ostrożnie wchodziła coraz dalej, rozsuwając nogą zalegający na podłodze bałagan, puściła uwagę mimo uszu. Może to złodzieje? - zastanawiała się, i prawdę mówiąc ta koncepcja rozwiązywałaby wiele problemów. Poza jednym: samą sprawą zniknięcia Zbyszka. Zaczęła przyglądać się rzeczom pod tym kątem. Czy zniknęło coś cennego? A może odwrotnie - znajdzie się na wierzchu coś, czego żaden szanujący się złodziej nie mógłby tak po prostu zostawić. Wzięła w dwa palce dzinsy Zbyszka, leżące na biurku, i uniosła je ostrożnie. Spomiędzy warstw materiału wysunęła się jakaś kartka i opadła na podłogę. Monika odruchowo schyliła się i ją podniosła.

- Monika! - głos Beaty zabrzmiał bardziej stanowczo. - Chodźmy stąd!

Podeszła do przyjaciółki i pociągnęła ją za ramię.

- No chodź, jeszcze nas tu znajdą! Co to? Monika obracała w palcach fragment kartki

w cienką linię, wyrwaną z kalendarza. Pod datą 6 lipca było napisane długopisem: Becker, pod spodem: Nowicki, a jeszcze niżej: budowa, wieczór. Nic więcej. Odruchowo zajrzała, co jest na odwrocie.

Było tam nabazgrane kilka zdań, bez początku, bo kartka była w tym miejscu urwana. Pochyliły się obie, usiłując odczytać: ...nie mogę... Muszę z tym skończyć... policzę się z nim... i na koniec ostatnie zdanie, drukowanymi literami: ZABIJĘ GNOJA!

Dziewczyny zatkało. Wpatrywały się w świstek bez słowa, w końcu pierwsza odezwała się Beata:

- Czy to... czy to...

- Tak, to pismo Zbyszka. Na pewno jego - odpowiedziała

Monika powoli.

- Myślisz, że on go zabił? Zbyszek? Nowickiego?
- Beata była na granicy hysterii.

Monika ostrożnie odłożyła karteczkę na biurko.

- Zbyszek by muchy nie zabił. Zero agresji. Przecież wiesz...
- Kiedyś tak - przyznała Beata. - Ale teraz? Odkąd go rzuciłaś, bardzo się zmienił.
- Odkąd się rozstaliśmy - sprostowała Monika.
- Myślisz, że ludzie aż tak się mogą zmienić? Nie sądzę. Zresztą przecież to tylko kawałek... fragment notatki. Wyrwany z kalendarza. I z kontekstu. Ciekawe, gdzie jest reszta tej kartki...
- Dla mnie to wygląda strasznie podejrzanie. A jak policja to znajdzie?!

- Nie znajdzie! - stwierdziła Monika stanowczo i szybkim ruchem schowała karteczkę do tylnej kieszeni szortów. - Widzisz gdzieś ten kalendarz?

Beata patrzyła na przyjaciółkę zbulwersowana.

- Nie możesz! Przecież to dowód rzeczowy! Monika wzruszyła ramionami i zaczęła przeszukiwać pokój.
- Lepiej mi pomóż!

Choć przeczesały dokładnie każdy metr kwadratowy pomieszczenia, kalendarza z dalszym ciągiem notatki nie znalazły. Pierwsza zreflektowała się Beata.

- Musimy iść! Ten strażnik będzie się zastanawiał, co tu tak długo robimy.

- A niech się zastanawia - prychnęła Monika. - Co nas to obchodzi?

- Nas nic, ale policję może obchodzić.

Monika odwróciła się do przyjaciółki gwałtownie.

- Co tobie z tą policją? Ciągłe nią straszysz! Oni chyba nie zamykają tak zupełnie bez powodu?

- Wiesz co, gdyby ciebie przesłuchiwali... - zirytowała się Beata. - Wyłaż, zamykam.

Rozglądały się chwilę za dozorcą, ale ponieważ nie widać go było w okolicach bramy, Beata poszła sprawdzić w stróżówce. Rzeczywiście, Sprite siedział tam, rozwalony na starej wersalce, oglądał telewizję i jadł kanapki z paprykarzem szczecińskim,

posypane grubą warstwą cebuli. Na widok pani prezes poderwał się i wyprężył służbiście.

- Boja właśnie kolację sobie zrobiłem... Beata weszła do środka, marszcząc nos.

- Proszę sobie nie przeszkadzać. Oddaję - podała mu pęk kluczy od biura. Jeżeli on tak się cały czas gapi w telewizor, uświadomiła sobie, to pewnie nie zauważył, że tak długo byliśmy.

- I co, znalazła pani prezes? - spytał tonem konwersacji, wieszając klucze w specjalnej szafce przy wejściu.

- A miałam coś znaleźć? - zdziwiła się odruchowo Beata.

- No nie wiem... Tyle się paniom zeszło... - wycofał się szybko.

Beata już miała odpowiedzieć, że koleżanka tylko przywiozła rzeczy panu Wierzbickiemu, ale ugryzła się w język. Po co ma wiedzieć... Po co w ogóle ma wiedzieć, że byliśmy w pokoju Zbyszka?

- Musiałam coś sprawdzić w papierach - i tknięta przeczuciem dodała: - A wie pan może, co się dzieje z panem Wierzbickim?

- Z inżynierem? Nie wiem. Już kilka dni go nie widziałem. Ostatni raz to chyba w niedzielę...

- W niedzielę? - upewniła się Beata.

- No tak. Przecież on się stąd cały weekend nie ruszał, tylko siedział i... no wie pani prezes, ja tam nie chcę donosić... pił po prostu. Dopiero pod wieczór wyszedł.

- Pod wieczór?

- Już prawie noc była... Widziałem, jak na budowę idzie. Tak sobie pomyślałem, po cholere? Ale pijany to logiki żadnej nie ma. O kurczę, a ja tak panią prezes na stojąco trzymam... - zreflektował się nagle. - Krzesełeczko?

- Nie, dziękuję. A potem widział pan, jak wraca?

- No jakoś nie... Ale mógł przejść z tyłu, jak Nowi - ckiego wpuszczałem.

- Wpuszczał pan wtedy Nowickiego?! - podniosła głos, poruszona.

- Przyjechał, mówił, że musi coś sprawdzić, to jak miałem nie

wpuścić? - przestraszył się Sprite.

Beata patrzyła na chłopaka uważnie. Ciekawe czy on wie, jaką wagę mogą mieć jego zeznania, pomyślała nagle.

- Czy policja już z panem rozmawiała? - spytała pozornie lekkim tonem.

- Tak. Jak przyjechali do wypadku. Ale tylko kilka pytań zadali. Może jeszcze mnie wezwą? - ożywił się, bo perspektywa bycia przez chwilę w centrum zainteresowania najwyraźniej mu bardzo odpowiadała.

Czyli jeszcze go komisarz Anna nie brała w obroty, bo by tego tak miło raczej nie wspominał, doszła do wniosku Beata i uśmiechnęła się do pracownika uroczo.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc. A gdyby pan Wierzbicki się pojawił - wyjęła z torebki wizytówkę i położyła na stole. - proszę o telefon.

- Jasne - zapewnił. - Dam znać.

## ROZDZIAŁ 33

### w którym pani detektyw unosi brwi ze zdziwienia

Kiedy Aldona Zawistowska otworzyła drzwi swojego biura, była siedemnasta trzydzieści dwie. W środku powitała ją cisza oraz chłód, błogosławieństwo grubych murów w lipcowe upały. Aldona rzuciła w przedpokoju swoją kolorową, wypełnioną sprzętem torbę i poszła do łazienki się odświeżyć. Śledzenie obiektu w taką pogodę jak dzisiejsza wiązało się z ogromnym ryzykiem. Ale nie dekonspira - cji, tylko udaru słonecznego. Zimna woda, którą ochlapała twarz, dodała jej energii i sprawiła, że nabrała ochoty do dalszej pracy. A miała jej jeszcze sporo.

Z lodówki w mikroskopijnej kuchence wyciągnęła butelkę soku z marchewki i, popijając po łyku, poszła do gabinetu, żeby włączyć komputer. Przerzucenie zdjęć z aparatu zajęło moment, ale wiedziała z doświadczenia, że na przejrzenie i obróbkę będzie potrzebowała kilku godzin. Na szczęście nigdzie się jej dzisiaj nie spieszyło. Nie miała dzieci, nie miała faceta, a jej pies, wielki i owłosiony jak yeti bobtail, w taką pogodę jak dzisiaj odmawiał wyjścia z domu przed wieczorem. Aldona podejrzewała, że rozgrzany asfalt alejek parzy go w łapy.

Otworzyła folder i wybrała pierwsze zdjęcie. Na ekranie pojawił się duży dom, otynkowany na jasny beż, z dobudowanym parterowym budynkiem lecznicy weterynaryjnej. OK. Zbliżenie na szyld, potem na okno, żeby sprawdzić, czy widać przez nie, co się dzieje w środku. Nawet nieźle, stwierdziła. Co prawda ciężko dopatrzeć się szczegółów, ale zarys sylwetek był całkiem wyraźny. Jeżeli pan doktor pocałuje się z opiekunką w swoim gabinecie, od biedy będzie można to stwierdzić.

Przeglądając kolejne ujęcia zastanawiała się, na czym polega nietypowość tego zlecenia. Co prawda w pierwszej chwili była pewna, że jest dokładnie takie samo jak dziesiątki innych, w

których trzeba po prostu udowodnić komuś zdradę, jednak dzisiaj zaczęła mieć wątpliwości. Najczęściej podstawowym problemem było namierzenie ofiary na spotkaniu z kochankiem lub kochanką. Fotografie, kiedy wchodzi do lub wychodzi z jego/jej mieszkania właściwie załatwiały sprawę. Ale w tym konkretnym przypadku nie wystarczały, ponieważ potencjalni kochankowie i tak prawie cały dzień spędzali razem. Udowodnienie zdrady prawdopodobnie będzie więc o wiele trudniejsze...

Następne zdjęcie: wysoki, barczysty, przystojny mężczyzna w zielonym fartuchu w drzwiach lecznicy. Dalej: ten sam mężczyzna enface. Co on ma na twarzy? Powiększyła fragment. To była blizna, gruba szrama przecinająca lewy policzek. Facet z przeszłością, pomyślała Aldona z uśmiechem i wrzuciła następne ujęcie. Miała ich jeszcze przed sobą sto sześćdziesiąt trzy.

Na szesnastym pojawiła się wreszcie ta druga. Aldona przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, starając się zrozumieć, co ma takiego w sobie, że kochający mąż i stateczny ojciec rodziny zdecydował się dla niej położyć na szali całe swoje dotychczasowe życie. Bo dziewczyna nie wyglądała na taką, dla której można by stracić głowę. Wysoka i chuda jak szczapa, o wystających łokciach i kolanach... W ogóle cała sprawiała wrażenie kanciastej i mało kobiecej. Włosy ostrzyżone na zapalę, luźne drelichowe spodnie z wielkimi bocznymi kieszeniami, czarny podkoszulek na ramiączkach, nawet ze sporym dekoltem, ale... No, nie był to dekolt apetyczny. Nie eksponował piersi, bo prawie ich tam nie było, tylko wystające obojczyki i kościsty mostek. Aldona zapatrzyła się na zdjęcie, po raz kolejny zadając sobie pytanie: co ten facet w niej widzi? Opiekunka miała chyba niezły kontakt z dzieckiem, Aldonie udało się na kilku zdjęciach uchwycić ją z dwuletnim mniej więcej chłopczykiem, z którym dziewczyna najpierw grała w piłkę, a potem popychała go po podwórku w dużym, plastikowym samochodziku na akumulator, któremu zdaje się ten akumulator właśnie wysiadł. Natomiast zdjęć, na którym występowali jednocześnie i weterynarz, i ta dziewczyna,



właściwie nie było. Przez kilka godzin, które Aldona spędziła przed obserwowanym domem i za nim, znaleźli się obok siebie tylko raz, a nawet wtedy była to tylko chwila - po prostu mijali się na tarasie. Mężczyzna nie wykonał żadnego gestu, nie dotknął swojej potencjalnej kochanki, nie uśmiechnął się do niej, kompletnie nic. Pilnują się jak cholera, westchnęła Aldona przeglądając dalej zdjęcia. Pół dnia obserwacji i materiał żaden.

Gdzieś od setnego, zdjęcia zrobiły się już zupełnie nieciekawe - ponieważ oba obiekty schowały się w pomieszczeniach; Aldona z nudów pstrykała dalekie plany. Przeglądała je teraz automatycznie, jednocześnie zastanawiając się, jak ich przyłapać... Jak?! Czy spotykają się tylko podczas dyżurów tej opiekunki? Bo przecież, jeżeli między nimi jest taka dzika namiętność, jak sugeruje klientka, to muszą spędzać czas tylko we dwoje... Tylko kiedy? Może korzystają z okazji, kiedy Mały śpi, albo spotykają się gdzie indziej? Na mieście?

Z punktu widzenia czynności śledczych byłoby to całkiem niegłupie rozwiązanie, stwierdziła Aldona postanawiając, że w takim razie najbliższych kilka dni poświęci na obserwację dziewczyny nie tylko w pracy, ale i po.

Automatycznie wrzuciła na ekran kolejne zdjęcie. Było robione za domem, myślała po prostu, że skoro są tacy ostrożni od frontu, pofolgują sobie w ogrodzie, gdzie nie ma tyłu wścibskich oczu. Ale mężczyzna w ogóle się tam nie pojawił, kolejnych dwadzieścia ujęć na darmo. Aldona przelatywała je automatycznie, nie przyglądając się zbytnio. Nagle coś kazało jej się zatrzymać.

Na ekranie ukazało się ujęcie tarasu, trawnika i płotu. I ani żywego ducha, bo opiekunka przed chwilą zabrała Małego do domu. W perspektywie wąskiej, polnej drogi, biegnącej za domem, w cieniu kępy brzoź stał samochód. Niebieski, nie najnowszy model forda. Aldona, tknięta niejasnym przeczuciem, cofnęła się do początku folderu i zaczęła ponownie oglądać zdjęcia. I rzeczywiście, tak jak jej się wydawało - na kilku zrobionych wcześniej, od frontu, widoczny był ten sam samochód. A właściwie - ledwo

widoczny, bo zaparkowany na samym końcu ulicy. Ale na pewno ten sam. Zrobiła zbliżenie... Niestety, numer rejestracyjny widoczny tylko we fragmencie. Ostatnie trzy cyfry: 524. Przeskoczyła do zdjęć robionych z tyłu domu. Zbliżenie rejestracji niezbyt wyraźne, ale ostatnie cyfry to 524. Zaczęła manipulować odległością i ostrością. Na ekranie zobaczyła teraz nie tylko dokładnie całą rejestrację, ale również wnętrze samochodu. Patrzyła na nie, zaskoczona. Za szybą, w środku auta siedział jakiś niemłody, zwalisty mężczyzna i wyglądało, jakby pięściami przecierał oczy. Bez sensu. Zwiększyła zoom. Twarz mężczyzny wypełniła ekran.

- O kurczę! - wyrwało się Aldonie. - Niemożliwe!

Mężczyzna wcale nie przecierał oczu. On trzymał w dłoniach małą, nowoczesną lornetkę i obserwował dom!

## ROZDZIAŁ 34

czyli o tym, że dobrze jest czasami pójść z przyjaciółką na obiad

- Co dla pani?
- Poproszę klopsiki, dziewięć sztuk.
- Ryż, kartofle, frytki?
- Frytki.

Na tacy Beatki wylądował talerz pełen przyrumienionych frytek i ciemnobrązowych mięsnych kulek, polanych aromatycznym sosem, klasycznej szwedzkiej potrawy, z której słynęła kuchnia w Ikei. Nałożyła sobie jeszcze do tego sałatkę z marchewki i zniosła tacę do stolika w kącie wielkiej sali, który już wcześniej zajęła jej przyjaciółka.

Taca Moniki prezentowała się dużo bardziej imponująco: oprócz talerza z wielkim kawałkiem pieczonego kurczaka, tłoczyły się na niej: miseczka z sałatką, szarlotka, kawa i pucharek wypełniony dwoma kolorami galaretki. Beata na ten widok aż westchnęła... Od urodzenia Jędrka bez przerwy walczyła z lekką nadwagą, i takie atrakcje, jakie piętrzyły się przed Moniką, starała się omijać z daleka. Z naciskiem na „starała”. Nie każdy może być szczupłą, zgrabną i bezdzietną nauczycielką wf - u, pomyślała z zazdrością.

- Wiesz co, żeby w całych Jankach nie było jakiegoś zacisznego miejsca, gdzie by można było spokojnie pogadać? - westchnęła, siadając ciężko obok przyjaciółki. - No, mów!

- Ale co? - zdziwiła się Monika.

- Co robimy dalej w sprawie Zbyszka.

- Nie mam pojęcia! Ciągłe liczę, że to jest fałszywy alarm. No wiesz, jutro nagle się znajdzie i okaże się, że po prostu był u jakiegoś kolegi, czy coś w tym rodzaju...

Beata znad talerza patrzyła uważnie na przyjaciółkę.

- A jeśli nie?

Monika odsunęła od siebie talerz z obgryzionym fragmentem

kurzego korpusu.

- Nie wiem. Po prostu, nie wiem - przysunęła bliżej sałatkę i zaczęła bez przekonania grzebać w niej widelcem. - Nic z tego nie rozumiem. To do niego zupełnie niepodobne...

- Już ci mówiłam, ostatnio dziwnie się zachowywał, no i ten alkohol...

- Cholerka!

- Myślę, że powinniśmy zgłosić to policji.

- Co? Jego zaginięcie? To już chyba sami się zorientowali, że go nie ma.

- Nie, nie o to chodzi... tylko się boję, że wyjdzie na jaw, że byliśmy w jego pokoju... a ja już jestem podejrzana... i jeszcze pomyślą, że mamy coś wspólnego z tym bałaganem tam, albo że coś stamtąd wzięliśmy...

- No to nawet słusznie. Bo przecież wzięliśmy - Monika wyjęła z kieszeni spodni kartkę z kalendarza, znaną w pokoju Zbyszka, i zaczęła ją obracać w palcach.

Becia patrzyła na nią z obawą.

- Może powinniśmy oddać to policji?

- Tak, jasne! Dopiero narobimy Zbyszkowi bigosu! Przecież jak ta komisarz dostanie to w ręce, to już mu nie odpuści. Zrobi z niego pierwszego podejrzanego!

- A może on naprawdę... coś zrobił? - spytała Be - cia cicho.

- Zrobił, nie zrobił, ale nie możemy mu dokładać kłopotów. Policja w niczym tu nie pomoże. Same musimy wyjaśnić, co się stało.

- To przynajmniej zgłoszmy ten bałagan w jego pokoju...

- Dobra, ale o kartce ani słowa. Pamiętaj!

- Może dziś znowu u nas przenocujesz? - rzuciła Beata żartobliwym tonem do przyjaciółki.

- A co, nie chce ci się mnie odwozić? - Monika próbowała tak się nachylić, żeby obejrzeć swoje odbicie w bocznym lusterku.

Beata spojrzała na przyjaciółkę z uśmiechem.

- Lepiej zapnij pas - przypomniała i przekreśliła kluczyk. Volvo lekko zadrzało. Powoli wyjechały z podziemnego parkingu przy Ikei i Beata po chwili wahania skręciła w lewo, żeby włączyć się do ruchu w Alei Krakowskiej.

- No niestety, wywiozłaś mnie na peryferie, to się teraz musisz poświęcić - rozłożyła ręce Monika. - Trzeba ponosić konsekwencje życiowych wyborów.

Roześmiały się, choć tak naprawdę nie było im bardzo do śmiechu. Sprawa Zbyszka nie wyglądała zbyt dobrze. Beata, szukając jakiegoś optymistycznego tematu do konwersacji, nagle coś sobie przypomniała.

- Słuchaj, ja ci nawet nie podziękowałam za to, że tak mi pomogłaś z Andrzejem!

Monika rzuciła przyjaciółce szybkie spojrzenie.

- Daj spokój, przecież to normalne - bąknęła. - Zresztą ja nic takiego nie zrobiłam.

Beata pokręciła przecząco głową.

- Ale właśnie, że zrobiłaś! Ja tak na ciebie wsiadłam z tym Borysem, a ty mnie wsparłaś i w ogóle... No i sprawdziłaś, że nie mają romansu.

Monika przełknęła głośno ślinę. To akurat niezupełnie zgadzało się z prawdą. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy to nie jest odpowiedni moment, żeby powiedzieć Beacie o swoich wątpliwościach i wynajęciu detektywa, ale zaraz wybiła sobie ten pomysł z głowy. Powiem jej, jak będę miała w ręku dowody, postanowiła. Nie wcześniej.

- A jak teraz z Andrzejem? - zapytała za to.

- Monia, jest cudownie! Obłędnie! Jak na początku naszego małżeństwa!

Monika spojrzała na Beatkę ze zdziwieniem, bo takiego obrotu sprawy raczej się nie spodziewała. Przyjaciółka miała rozmarzony wyraz twarzy i wyglądała jak zakochana nastolatka.

- No, nie patrz tak! Wydzwaniałam do ciebie przez cały weekend, żeby ci wszystko opowiedzieć, ale nie odbierałaś.

- Byłam poza zasięgiem - wyjaśniła Monika. - Chodziliśmy w Olsztynie po skałkach.

- To w Olsztynie są skałki? - zainteresowała się Beata.

- W Olsztynie pod Częstochową są. To może mi chociaż teraz opowiesz, co się takiego stało?

Beata westchnęła i położyła ostentacyjnie dłoń na sercu.

- Dostałam bukiet kwiatów, bilety do Wenecji i wyznanie miłości. Cudowne, prawda?

- Nooo tak. Znaczy, że jesteś pewna, że on nie... - Monika ugryzła się w język. Cicho, głupia! - zdenerwowała się sama na siebie. Przecież miałaś się nie odzywać, dopóki nie będziesz wiedzieć na pewno!

- Że on nie co?

- Nie, nic... A ta niańka dobrze się czuje i w ogóle?

Beata nacisnęła gwałtownie hamulec, żeby się nie wpakować w kufer opla corsy, który zmienił pas, nie dając kierunkowskazu.

- Nie wiem. Ale mamy teraz nową, rewelacyjną po prostu...

Monikę zatkało. - Jak to: nową?!

- No, nową niańkę... Ja wiem, że Andrzej z tą Marysią nie miał nic wspólnego, ale... zwolniłam ją. Tak wyszło. I bardzo dobrze! Bo ta nowa jest świetna! Zresztą jak ci opowiem, jak do nas trafiła... Cud!

Beata zaczęła paplać jak nakręcona, ale Monika przerwała jej stanowczo.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że zmieniłaś niańkę?

- Jakoś nie było okazji... Zresztą nie wiedziałam, że aż tak się tym przejmujesz - Beata nachyliła się do Moniki i pogłaskała ją po rękę. - Dzięki, kochana jesteś!

- Czekał, to kiedy tamtą zwolniłaś?

- Oj, już kilka dni temu, nie pamiętam dokładnie - Beata machnęła ręką i wróciła do przerwanej opowieści o festynie.

Ale Monika jej nie słuchała. Siedziała, wpatrzona w jeden punkt na tablicy rozdzielczej i próbowała zebrać myśli. W jej głowie zapaliło się ostrzegawcze światełko, a zaraz po nim - syrena alarmowa. Niańka! Jeżeli Beata pogodziła się z Andrzejem i zwolniła Marysię kilka dni temu, to cała akcja z wynajęciem detektywa przestała mieć jakikolwiek sens!

- Wysadź mnie! - rozkazała nagle stanowczym tonem.

- Co? - zdziwiła się Beata. - Jak to wysadź? Tu? Na środku?

- Nie na środku. Na przystanku. Wróć sama.

- Ale przecież przed chwilą...

- To nie ma sensu, żebyś się pchała z powrotem do miasta o tej

porze. Stracisz mnóstwo czasu. Dam sobie radę.

Beata, właściwie zadowolona z takiego obrotu rzeczy, wrzuciła kierunkowskaz i zatrzymała się na chwilę na samym końcu zatoczki dla autobusów.

- Dzięki - cmoknęła Monikę w policzek. - Gdybyś coś wiedziała o Zbyszku...

- Jasne. Pa! - Pa!

Volvo ruszyło z piskiem opon. Monika nie patrzyła, jak przyjaciółka zawraca na światłach, tylko w panice przekopywała swój plecaczek w poszukiwaniu komórki. Jest! Drżącymi ze zdenerwowania palcami naciskała poszczególne klawiszki, żeby wejść w książkę adresową. Pod czym ją mam zapisać... zastanawiała się. „Z” jak Zawistowska? Nie... „D” jak detektyw... nie. Kurczę! Dopiero przelatując poszczególne numery natrafiła na hasło: „prywatny d”. Wybrała je i czekając na połączenie układała sobie, co ma powiedzieć.

Po sześciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

Cholera, nie jest dobrze, podsumowała i poszła sprawdzić, jakimi autobusami dojedzie stąd do centrum.

## ROZDZIAŁ 35

### z nową niańką w roli głównej

Jak to miło z jej strony, pomyślała Beata, wrzucając lewy kierunkowskaz. Rzeczywiście, gdybym ją odwoziła, to lekko licząc półtorej godziny w plecy. Centrum o tej porze nieprzejezdne... A tak - za kwadrans jestem w domu.

Na myśl o powrocie uśmiechnęła się i nacisnęła mocniej pedał gazu. Po ostatnich niezbyt przyjemnych przejściach dom stał się dla niej znowu najcudowniejszym miejscem na świecie. Andrzej i Jędrrek. Jędrrek i Andrzej. Jakie to szczęście, że ich mam, uświadomiła sobie po raz kolejny. Mąż kochał ją i dawał poczucie bezpieczeństwa, a dziecko nadawało jej życiu sens i kierunek. Nieważne, jak daleko od portu by dryfowała, i tak zawsze widziała na horyzoncie światelko, które nie pozwalało jej zabłądzić.

Do Czerwińska dotarła przed szóstą. Dość szybko udało jej się uporać z psami i bramą, a kiedy jak na skrzydłach wbiegła do kuchni, zatrzymała się w progu jak wryta.

Takiego bałaganu dawno tutaj nie było. Cały stół pokrywały torby i torebki powymywane z kuchennych szafek, miseczki z ryżem, cukrem, właściwie ze wszystkim, co można w kuchni znaleźć, do tego stolnica obsypana mąką, na środku ogromna kula czegoś, co wyglądało jak zmutowana, gigantyczna pieczarka, która rozmnożyła się przez pączkowanie, tworząc całą kolonię szaroburego paskudztwa.

W tej właśnie obrzydliwej bryle tkwił po same łokcie Jędrrek. Utyłany jak nieboskie stworzenie, klęczał na krześle i miętosił masę łapkami, nadając jej stopniowo coraz bardziej odpychający wygląd. Nowa opiekunka pomagała mu odrywać od bryły mniejsze frakcje i nadawać im pożądany kształt. Mały ugniatał, rozciągał, dolepiał, zaśmiewając się przy tym do rozpuku, i miał minę najszcześliwszego dziecka na świecie.

Beata poczuła falę cudownego zadowolenia. No proszę -



pomyślała z satysfakcją i ulgą jednocześnie. Jaką znalazłam cudowną opiekunkę!

- A co tu się dzieje? - zapytała wesoło, podchodząc do synka i całując go w jedyne czyste miejsce, czyli w czubek głowy.

- Mieliśmy lekcję pogładową, z czego mama gotuje jedzonko. Przy okazji zrobiłam mu trochę masy solnej, dzieci to lubią.

- Świetny pomysł! - uśmiechnęła się Beata. - I dziękuję, że została pani dłużej.

- Nie ma sprawy. Jestem do dyspozycji. A tym bałaganem proszę się nie przejmować, już sprzątam.

Beata zostawiła ich na chwilę i poszła do sypialni się przebrać. Przechodząc przez dom odniosła wrażenie, że jest jakby czyściej... I porządniej. Po dniu pobytu Marysi wszędzie można było natrafić na ślady działalności Jędrka. Chaos, nad którym poprzednia opiekunka nie była w stanie zapanować, ogarniał dosłownie cały dom, z sypialnią rodziców i gabinetem Andrzeja włącznie. Zmęczona Beata codziennie po powrocie musiała więc zajmować się porządkami. Dzisiaj, idąc na górę, ani razu nie potknęła się o żaden samochodzik, na poręczy nie znalazła żadnego ubranka, a na podłodze - żadnych plam ani porozrzucanych papierków. Niesamowite!

Ale prawdziwy szok przeżyła dopiero kilka minut później, kiedy zeszła z powrotem do kuchni. Pomieszczenie, które jeszcze przed chwilą przypominało stajnię Augiasza, lśniło czystością. Cały bałagan zniknął, ustępując miejsca czystej, uporządkowanej przestrzeni. Justyna właśnie kończyła przecierać zlew, a ciche pomrukiwanie zmywarki oznaczało, że tym razem Beata nie będzie musiała zbierać po całym domu talerzy, talerzyków i kubeczków po synku.

- Gdyby była pani głodna, w lodówce są kotleciki z kurczaka. Te dla państwa w srebrnym garnku, a w tym małym czerwonym dla Jędrka, mniej przyprawione. I jest jeszcze marchewka z groszkiem.

- To pewnie Jędrus nie tknął. On nie znosi marchewki.

- Nie znosi? - zdziwiła się szczerze opiekunka. - A zjadł wielką porcję. Prawda, kolego?

Jędrak, który jeździł samochodzikiem po oparciu krzesła,

podbiegł do matki i wyciągnął ręce, żeby go podnieść.

- Mafefka mniam - oznajmił i zawisł na Beatce jak mały, cieplutki miś koala.

- Jejku, jaki ty ciężki! - roześmiała się, przytulając go mocno do siebie. - Chyba musiałeś zjeść oo - ogromny obiadek!

- Obiadek mniam - ucieszył się Mały.

- Dobrze, to jeżeli nie ma pani już nic do mnie, będę lecieć. - Justyna złapała plecak i skubnęła na pożegnanie Małego w nóżkę. - Jutro na którą?

- Na ósmą, jak zwykle. Dziękuję pani bardzo - Beata uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

- Ależ nie ma za co.

Opiekunka ruszyła do wyjścia, ale w drzwiach odwróciła się jeszcze na chwilę.

- Jeszcze coś. Gdyby pani mogła kupić Mr. Muscle do okien... Dzisiaj, kiedy Mały spał, umyłam część na parterze. Jutro mogłabym resztę, ale płyn się kończy. Do widzenia! - i wyszła. Beata patrzyła za nią, nie mogąc wykrztusić słowa. To niemożliwe, pomyślała. Takie opiekunki nie istnieją!

W poczuciu absolutnego szczęścia odstawiła Małego na podłogę i zabrała się za odgrzewanie przygotowanego przez Justynę obiadu.

Andrzej pojawił się, kiedy kończyła jeść.

- No nareszcie! - ucieszyła się na jego widok. - Jesteś głodny?

- Nie jestem - nachylił się i pocałował ją na powitanie w policzek, a potem przykucnął przy Jędrku, który leżąc na podłodze mazał zapamiętałe niebieską kredką po książeczce do kolorowania.

- Justyna zrobiła wspaniałe kotlety - zachęcała mimo to Beata. - Więc może jednak?

- Nie mam ochoty, dziękuję.

Usiadł przy stole i zaczął się bawić solniczką, patrząc spod oka na żonę.

- Beatka, musimy porozmawiać... - odezwał się w końcu.

W jego głosie pojawiła się nuta, która ją zaniepokoiła.

- Coś się stało?

- Nie, właściwie nic! - odpowiedział Andrzej po minimalnej

chwili wahania.

- Mów, proszę, bo już się zaczynam denerwować! - Beata odsunęła talerz i wpatrywała się teraz w męża uważnie.

- Chodzi o tę opiekunkę... - zaczął cicho, obserwując reakcję żony.

Kiedy to powiedział, na twarzy Beatki pojawiła się ulga.

- Andrzej! Ty też to zauważyłeś, prawda? To najwspanialsza osoba, jaka nam się mogła przytrafić! Świetnie się zajmuje Małym, potrafi go zainteresować, uczy różnych rzeczy... I tak pięknie zjadł dzisiaj obiad! Ona naprawdę świetnie gotuje.... Do tego wcale nie robi bałaganu, a jeszcze po nas sprząta. Czy ty masz pojęcie, że ona dzisiaj myła okna, jak Mały spał?

Andrzej się nie odzywał, przyglądał się tylko żonie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- W porównaniu z Marysią to ona jest... - ekscytowała się dalej Beata. - Nie, przepraszam. Ich się nie da porównać. Widzisz, kochanie, jednak miałam rację, że tak się na nią uparłam!

- A ja myślę, że powinniśmy ją zwolnić - odezwał się powoli Andrzej, patrząc żonie prosto w oczy.

- Słucham?!

- Powinniśmy ją zwolnić. I to jak najszybciej. Beata przez chwilę wpatrywała się w męża zszokowana, w końcu wykrztusiła:

- Nie rozumiem... o co ci chodzi?!

Andrzej westchnął, odsunął się z krzesłem od stołu i zaczął mówić spokojnym, opanowanym głosem:

- Nie denerwuj się, tylko posłuchaj... Ta dziewczyna mi się nie podoba. Nie ufam jej...

Beata krążyła niespokojnie po kuchni.

- Ale dlaczego? Co może być z nią nie tak? Przecież to skarb, chodzący skarb!

- Obserwowałem ją dzisiaj. Specjalnie tutaj zaglądałem, jak miałem wolną chwilę. I mam wrażenie, że ona wściubia nos nie tam, gdzie trzeba. Grzebała w szufladach. Zastałem ją w naszej sypialni obok komody, potem widziałem, jak zamyka sekretarzyk w salonie, a jak szedłem do mojego gabinetu, to

ona akurat stamtąd wychodziła. Dla mnie to wygląda podejrzanie.

Beata roześmiała się z ulgą.

- A już myślałam, że to coś poważnego! Po pierwsze nie wierzę, żeby ona grzebała nam po szufladach. Po co miałyby to robić? Wiadomo, że teraz nikt w domu nie trzyma pieniędzy. A po drugie, niepotrzebnie odnosisz wrażenie, że jest wścibska. Ona po prostu sprzątała. Chowala do szuflad jakieś rzeczy albo odkurzała, i tyle. Dlaczego jej o to po prostu nie spytałeś?

- Spytałem. I wydawała się zmieszana. - Andrzej zaczynał być zirytowany stosunkiem Beaty do problemu. - Naprawdę myślisz, że zawracałbym ci głowę z powodu jakiejś błahostki? Tłumaczę ci przecież, obserwowałem ją i ona jest jakaś dziwna. Nie wiem czy przy okazji jest skarbem, czy nie, ale nie uważasz, że powierzanie dziecka osobie, do której nie masz pełnego zaufania, jest słuszne?

- Ja mam do niej zaufanie, absolutne! A ty przesadzasz. Po prostu, od początku jesteś do niej źle nastawiony. - Beatka podeszła do męża, położyła mu

dłonie na ramionach i uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Naprawdę uważam, że lepszej opiekunki niż Justyna nie znajdziemy. Nigdzie. Więc spróbuj, proszę, jakoś się do niej przekonać, dobrze?

Ale Andrzej miał jeszcze jeden drażliwy temat do poruszenia.

- Marysia dziś była.

Beata odsunęła się od niego gwałtownie.

- Co ?! Jak to była? Przecież ją wyrzuciłam!

- Właśnie dlatego. Prosiła, żeby ją przyjąć z powrotem.

Beatka pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Ależ ta dziewczyna ma tupet! - stwierdziła niechętnie. - Mam nadzieję, że ją odesłałeś?

- Niezupełnie. Ona ma dosyć ważny argument, dlatego obiecałem, że z tobą o tym porozmawiam.

- Jaki ona może mieć argument?!

- Jest w ciąży.

Beata zbladła i przez chwilę milczała, nie wiedząc zupełnie co powiedzieć.

- A co my mamy z tym wspólnego...? - i nagle przyszła jej do głowy przerażająca myśl: - O Jezu... Andrzej, czy ona... czy to dziecko... jest twoje?

Teraz zatkało Andrzeja.

- Beatka, co ty mówisz! - odezwał się w końcu. - Moje? Chyba żartujesz? Przecież ci już mówiłem, że nie miałem z tą dziewczyną nic wspólnego!

Podszedł do żony, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Nie wierzysz mi?

- Wierzę, ale nie chcę więcej widzieć tej dziewczyny w moim domu.

## ROZDZIAŁ 36

### w którym Monika nie wierzy własnym oczom

Monikę obudziło łaskotanie w stopę. Delikatne i pieśczośliwe, ale o siódmej rano - nieznośne. Szarpnęła więc nogą, naciągnęła koc na głowę i próbowała spać dalej. Niestety, chwilę później koc zniknął, ściągnięty jednym szybkim ruchem. Uniosła się na łokciach i spojrzała z pretensją na sprawcę zamieszania. Borys stał przed nią, w dżinsach i t - shircie, i wcale nie wyglądał na zaspanego.

- Słonko, szukuj się! - pochylił się nad nią i pocałował w ramię. - Gazem!

Monika jeszcze niezupełnie doszła do siebie.

- Co się dzieje? Gdzie mam się szykować? Borys był najwyraźniej w wyśmienitym humorze.

- Niespodzianka. Zobaczysz, niezły czad! Tylko szybko, bo czekają na dole.

Monika poderwała się z łóżka i podbiegła do okna. Grupa zebrana przed kamienicą wyglądała bardzo malowniczo - motory, faceci w skórach, jakieś dwie długonogie panny... A najbardziej dziwiło to, że o tej porze wszyscy byli na nogach. Poprzedniego wieczoru Borys wybrał się na jakąś imprezę do pubu w centrum, namawiał też Monikę, żeby z nim poszła, ale wymówiła się klasycznie - bólem głowy. Oczywiście zdawała sobie sprawę z ryzyka, bo Borys działał na dziewczyny jak lep na muchy i puszczenie go samego gdziekolwiek nie należało do bezpiecznych rzeczy, jednak tym razem naprawdę nie miała nastroju. Zniknięcie Zbyszka kompletnie wyprowadziło ją z równowagi i nawet klin w postaci Borysa niewiele mógł pomóc.

- Jeszcze niegotowa? - zdziwił się, kiedy po chwili zajrzała do kuchni. Stał przy lodówce i dopijał właśnie mleko prosto z kartonu.

- Już, już - Monika złapała z szafki wczorajszą jagodziankę i biegiem ruszyła z powrotem w stronę sypialni, ale na progu

zatrzymała się jeszcze. Coś jej nie pasowało.

- A o której wczoraj wróciłeś?

Borys wrzucił puste opakowanie po mleku do śmieci.

- Dzisiaj - poprawił ją. - Jakies pięć minut temu. Pospiesz się.

Kawalkada motocykli mknęła w kierunku Rembertowa z radosnym hałasem silników. Monika, przytulona do pleców Borysa, pilnowała się, żeby znowu nie zacząć myśleć o Zbyszkcu. Postanowiła cieszyć się przygodą, słońcem i obecnością swojego mężczyzny.

Ciekawe, co to może być za niespodzianka, zastanawiała się, kiedy skręcili na Nieporęt... Kawalek dalej, na łące pod lasem, zauważyła grupę ludzi, kilka samochodów, dwie czy trzy otwarte przyczepki. Podjechali bliżej i zatrzymali się.

- A co to?! - krzyknęła zaskoczona.

Na trawie stały obok siebie dwa najdziwniejsze pojazdy, jakie do tej pory widziała. Wyglądały tak, jakby do owalnego pontonu o bokach koloru i faktury dyni wstawiono motor bez kół - czyli samo siedzenie i kierownicę. Natomiast z tyłu pontonu doczepiona była gigantyczna dmuchawa, przypominająca biurowe wentylatory, tylko dziesięć razy większa.

- Poduszkowce! - Borys miał tak dumną minę, jakby sam je skonstruował. - Niezłe, nie?

- Takie małe? - zdziwiła się odruchowo Monika, której poduszkowce kojarzyły się raczej z jednostkami wielkości rzecznych barek.

- Specjalne, wyczynowe! - usłyszała w odpowiedzi. - Poszalejemy!

Mężczyzna w czerwono - czarnym kombinezonie, przypominającym piankę surferów, przygotowywał się właśnie do startu. Siedział w klasycznej pozycji motocyklisty, pochylony nad kierownicą. Szarpnięcie linką uruchomiło silnik. Rozległ się przeciągły ryk. Pomarańczowe pasy u dołu poduszkowca, które wcześniej zwisały z ramy, teraz naprężyły się i wybrzuszyły, jeszcze bardziej przypominając dynię. Pojazd

uniósł się odrobinę w powietrzu, wydmuchując spod siebie suchą trawę i tumany kurzu, po czym z przeciągłym wizgiem wystartował do przodu, poruszając się ponad łąką. Zrobił się straszny tumult i rwetes, zgromadzeni bili brawo, silnik hałasował, a w dodatku ktoś dla zabawy zaczął naciskać klakson.

- To co? Przelecimy się? - krzyknął Monice do ucha Borys.

Monika pokręciła przecząco głową.

- Nie teraz! - odkrzyknęła. - Później! Borys popatrzył na nią zdziwiony.

- No co jest? Nie podoba ci się?

- Jest super! Tylko... chyba mam migrenę. Muszę do cienia... Ale ty leć!

- Dobra. Poczekaj na mnie tam - machnął ręką w kierunku ustawionych pod drzewami motocykli. Pocałował ją w usta i poszedł witać się ze znajomymi.

Monika usiadła pod rosnącym na skraju lasu dębem i oparła plecy o potężny pień. Miała stąd doskonały widok na wszystko, co się działo na łące, i na wąską, piaszczystą drogę, którą przyjechali, a jednocześnie hałas i tumult wokół poduszkowców nie był tu aż tak drastyczny. Zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać, dlaczego znowu uwiera ją sprawa Zbyszka. Rano nie myślała o nim prawie wcale, ale odkąd tu przyjechali, nie mogła się opędzić od jakichś dziwnych skojarzeń.

Czy to możliwe, że ciągle nie był jej obojętny?

Ta myśl przestraszyła ją tak bardzo, że szybko otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu innych, mniej przygnębiających tematów. Może powinnam do kogoś zadzwonić, uświadomiła sobie, a nie siedzieć jak ten kołek? Tylko nie do Beatki, bo znowu zaczniemy na jeden temat... Z kieszeni dżinsowych szortów wyciągnęła komórkę i od razu zauważyła na wyświetlaczu znaczek przekreślonej słuchawki. No tak, brak sieci. Ale oprócz tego okazało się, że ma też dwa nieodebrane połączenia. Oba od Aldony, prywatnej pani detektyw.

Nie jest dobrze - pomyślała i wstała, żeby poszukać miejsca, z którego mogłaby zadzwonić. Trzymając telefon w dłoni



przesuwała się powoli, obserwując ekranik. Niestety, antenka sygnalizująca możliwość połączenia ciągle nie miała obok siebie ani jednej kreski. Monika czuła, że zaczyna się irytować. Poprzedniego dnia, odkąd dowiedziała się od Beaty, że Marysia została zwolniona, kilka razy próbowała skontaktować się z agencją, na próżno. Telefon stacjonarny nie odpowiadał, a kiedy dzwoniła na komórkowy, słyszała automatyczny komunikat treści: „Abonent ma wyłączony aparat albo znajduje się poza zasięgiem sieci”. Nie mogła się nawet nagrać, bez sensu. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że Za - wistowska może akurat pełnić jakieś mrozące krew w żyłach obowiązki służbowe, ale ta świadomość nie rozwiązywała problemu.

A problem polegał na tym, że prawdopodobnie pani detektyw zajmuje się kolejny dzień śledzeniem kogoś, kogo śledzić wcale nie musi. W dodatku robi to na koszt Moniki. Przygnębiające.

Kręcąc się tak po łące, machając komórką i rozglądając przy okazji dookoła miała coraz silniejsze wrażenie, że skądś zna to miejsce. Odwróciła się w kierunku, z którego przyszła i popatrzyła na dąb, las i grupę ludzi czekających na przejazd kę poduszkowcem. Przecież ja już tu kiedyś byłam! - uświadomiła sobie. I wtedy kątem oka dostrzegła jakiegoś człowieka, mijającego ją z prawej strony w sporej odległości. A ponieważ postać wydała jej się znajoma, zmrużyła oczy, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Mężczyzna szedł szybkim krokiem, zgarbiony, z pochyloną głową. Monika drgnęła.

- To niemożliwe - powiedziała cicho do siebie. Mężczyzna do złudzenia przypominał Zbyszka!

- Hej!!! - wrzasnęła na całe gardło i zaczęła machać rękami. - Zbyyyszek!!!

Mężczyzna zatrzymał się i obejrzał. Był tak daleko, że ciągle nie mogła go rozpoznać. Mimo to była prawie pewna...

- Zbyyyszeeeeek! - krzyknęła znowu i ruszyła w jego kierunku. Przez chwilę miała wrażenie, że on wyjdzie jej naprzeciw i poczuła ogromną radość i ulgę. Boże, jak to dobrze, pomyślała, przyspieszając kroku. To on! Żyje!

I w tym momencie mężczyzna odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Monika patrzyła z niedowierzaniem, jak oddala się od

niej coraz bardziej. A kiedy minął pierwszy moment zaskoczenia, niewiele myśląc popędziła za nim. Biegła, ile sił w nogach, ale mężczyzna miał nad nią ogromną przewagę. Coraz bardziej zbliżał się do bocznej drogi, która prowadziła pomiędzy ogródki działkowe. Monika przyspieszyła, ale to nic nie dało - uciekinier wbiegł między ogrodzenia.

Kiedy dopadła do miejsca, w którym zniknął jej z oczu, przystanąła na chwilę, żeby ocenić sytuację. Mężczyzny nigdzie nie było widać. Ale perspektywa tej drogi... Brzozy za płotem... Dziwna zielona brama... Przecież tutaj niedaleko jest działka Kryśki, córki Zbyszka!

Puściła się biegiem przed siebie, już wiedząc, dokąd zmierza. Kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymała się pod znajomą, drewnianą furtką. Byli tu ze Zbyszkciem dwa, może trzy razy na grillu, a dlatego nie poznała tych terenów od razu, że poprzednio podjeżdżali z drugiej strony. Nacisnęła z całej siły dzwonek.

Z miejsca, w którym stała, widziała bardzo dobrze cały ogród - długi podjazd, ładnie utrzymany trawnik, kilka efektownie skomponowanych grup igła - ków, wreszcie stojący w głębi dom z drewnianych, pociemniałych ze starości bali.

Nacisnęła dzwonek drugi raz. Żadnej reakcji.

A jeżeli to nie był on? - pomyślała nagle. Widziała go z tak daleka... Wydawał się znajomy, ale...

No dobrze, tylko jeżeli to nie był on, to dlaczego na mój widok uciekł? - zadała sobie logiczne pytanie.

Przyłożyła palec do dzwonka i trzymała go tak przez minutę. Nie, no to bez sensu, uświadomiła sobie. Przecież gdyby tu był, otworzyłby mi. Zdjęła palec z dzwonka i już miała się odwrócić, kiedy w oknie domu coś się poruszyło.

Nie, to nie było złudzenie.

Za firanką ktoś stał.

## ROZDZIAŁ 37

### czyli o tym, jak Monika zmienia środki lokomocji

O kurczę, jest! - podniecona próbowała dostrzec coś więcej, ale odległość od domu była zbyt duża. Co on kombinuje? Dlaczego nie otwiera?

Szarpnęła furtką w nadziei, że może jednak zamek ustąpi. Nadzieja okazała się płonna, jednak Moniki to nie zniechęciło. Pamiętała, że cała działka była otoczona płotem, zwykłą siatką, którą można pokonać w pięć sekund. Choć może nie na oczach sąsiadów. Postanowiła obejść działkę i dostać się na posesję od tyłu. Nad tym, co zrobi potem, jeszcze się nie zastanowiła.

Okazało się, że tył ogrodu wychodzi na teren, po którym szalały poduszkowce - to dlatego linia lasu, łąka i rozłożysty dąb wydały się Monice znajome. Na szczęście całe towarzystwo znajdowało się w tak dużej odległości, że nikt nie powinien zwrócić uwagi na jej działania. Już miała chwycić palcami za siatkę, kiedy nagle usłyszała przeraźliwy wizgot poduszkowca. Pojazd wystrzelił z uliczki, którą przed chwilą przyszła, podleciał do Moniki i zatrzymał się. Pomarańczowe paski zwiędły i opadły na ziemię, a ze środka pomachał jej szczęśliwy Borys.

- Wskakuj! - krzyknął. - Szybko!

- Ale... - próbowała się wymigać... - Ja się boję...

- Coś ty! Super jest! No chodź!!!

I tak jak przy ich pierwszym spotkaniu, nie protestując dłużej, wskoczyła na tylne siodełko.

Rzeczywiście, jechało się fantastycznie. Borys kierował pojazdem nadzwyczaj sprawnie, balansując ciałem, czasami nawet wstając, a wrażenie swobodnego ślizgania się po podłożu było niesamowite.

- Teraz będzie czad! - krzyknął. Pokonali właśnie łagodne wzniesienie i nagle znaleźli się na plaży nad zalewem. Wokół nich uniosły się fontanny piachu.

- Borys! Uwważaj! - krzyknęła Monika, przestraszona i zachwycona jednocześnie.

- Spoko! - roześmiał się i poprowadził pojazd prosto w stronę gładkiej tafli zalewu. Pędzili, unosząc się nad wodą wśród wilgotnej mgiełki i Monika, wtulona w swojego chłopaka, powoli zapominała o bożym świecie...

Dopiero kiedy mokrzy i szczęśliwi pojawili się znowu na łące pod lasem, Monika wróciła do rzeczywistości i pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było sprawdzenie zasięgu. Oczywiście, sieć dalej nie istniała. Dwudziesty pierwszy wiek, myślałby kto!

Nie bardzo wiedziała, co ma teraz zrobić. Powrót na działkę, gdzie widziała Zbyszka, nie wchodził w grę - Borys na pewno zainteresowałby się, gdzie idzie i po co, a przecież nie mogła mu powiedzieć, że szuka byłego faceta. Zbyt ryzykowna szczerłość. Zresztą jeżeli Zbyszek już raz jej nie wpuścił, szansa, że się namyśli i otworzy nie była zbyt duża. Dlatego byłoby lepiej, z wielu względów, gdyby to Beata próbowała z nim porozmawiać. Tylko jak ma ją tu ściągnąć, nie mogąc zadzwonić?

Wniosek nasuwał się jeden - trzeba wracać do Warszawy. I to jak najszybciej. Jak dobrze pójdzie, złapie jeszcze Beatę w pracy i spróbuje namówić, żeby z nią tu przyjechała. Przy czym namawianie nie powinno być specjalnie trudne - to przecież Beatce najbardziej zależy na powrocie Zbyszka. Przynajmniej teoretycznie...

- Borys, kochanie... - zarzuciła swojemu mężczyźnie ręce na szyję, na co on oczywiście przyciągnął ją do siebie i pocałował.

- Wracajmy już...

Borys popatrzył na nią z tak szczerym zdziwieniem, że poczuła się dziwnie.

- Żartujesz?! Przecież impreza się dopiero rozkręca...

Monika wtuliła się w niego i zamruczała jak kot.

- No tak, ale... wolałabym pobyć tylko we dwoje... no wiesz...

- Nie ma sprawy - uśmiechnął się łobuzersko. - Masz to jak w banku.

- To jedziemy? - ucieszyła się.

- Jasne, jak tylko impreza się skończy. Monika ze złości

zagryzła wargi.

- Misiek, słuchaj... - zaczęła z dobrze udawanym wahaniem. - Wiesz co, bo mi się przypomniało... Ja jestem dziś na drugą umówiona z Beatką...

Borys popatrzył na nią badawczo.

- Coś kręcisz. To kogo w końcu miałaś w planach - mnie czy psiapsiółę?

- Rany, Borys, o co ci chodzi?! Pewnie, że ciebie, tylko na śmierć zapomniałam o Beatce i muszę jechać, bo ona czeka... - Monika mówiąc to czuła, że nie wypada specjalnie przekonująco.

Borys niestety myślał to samo.

- Jak chcesz wracać, proszę bardzo, droga wolna - stwierdził oschle. - Popytaj, może ktoś będzie jechał do Warszawy. Ja zostaję.

- Borys... - Monika próbowała go pocałować. - Kochanie, no, przepraszam, nie kłóćmy się...

On odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę kolegów.

Monika zeskoczyła z tylnego siedelka motoru i klepnęła w ramię swojego kierowcę - potężnego, lysego faceta koło pięćdziesiątki, ubranego w skórzane spodnie, skórzaną kamizelkę na gołe ciało i tatuaże. Był jednym z nielicznych harleyowców na imprezie w Nieporęcie i jedynym z uczestników, który wracał do Warszawy po południu. Okazał się też jedyną drogą wyjścia z honorem z sytuacji, w którą sama siebie wpakowała.

Oczywiście w pierwszym odruchu, kiedy po kłótni Borys odszedł obrażony, chciała za nim biec i przepraszać, na szczęście szybko uświadomiła sobie, jak żalosne byłoby to zachowanie. Nie, to nie! - pomyślała butnie i owszem, pobiegła, ale szukać transportu do Warszawy. Dopiero później, kiedy pędziła na motorze, przytulona do obcego faceta, zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobiła, zostawiając Borysa samego. Jasne, pokazała, że ma swoją godność, nie będzie mu ulegać i potrafi świetnie sobie poradzić bez niego, tylko czy na pewno cała akcja ze Zbyszkiem była tego warta? Przecież od

kilku tygodni powtarzała sobie jak mantrę, że Zbyszek już dla niej nie istnieje, a teraz pod byle jakim pretekstem wpadała w jego sprawy po uszy? Bez sensu.

Choć z drugiej strony pretekst nie był taki do końca „byle jaki”. Może Monika zaangażowała się w całą sprawę odrobinę przesadnie, ale robiła to wyłącznie dlatego, że prosiła ją o to Beatka. Nieobecność Zbyszka była przecież dużym problemem dla przyjaciółki. A właściwie dla jej firmy, pod której elegancką siedzibę Monika właśnie została dowieziona z fasonem..

- Jak się jechało? - krzyknął łysy.

- Dzięki! - odwrzasnęła Monika. - Super! Właściciel harleya zasalutował i odjechał z rykiem silnika.

Monika poprawiła włosy, obciągnęła szorty, choć nie bardzo było co, i energicznie weszła do budynku Pawbudu.

## ROZDZIAŁ 38

w którym na twarzy pani komisarz pojawia się cyniczny grymas

Beata rozmawiała właśnie przez telefon z prawnikiem firmy, kiedy w drzwiach gabinetu pojawił się Maciek, przesadną gestykulacją próbujący powstrzymać napierającą na niego Monikę. Dopiero gdy pani prezes machnięciem ręki dała znać sekretarzowi, że wszystko w porządku, wycofał się, urażony.

- W takim razie bardzo proszę o przesłanie projektu tej umowy. Do widzenia.

Zanim zdążyła odłożyć słuchawkę, Monika już była przy niej. Złapała przyjaciółkę za ramiona i zaczęła energicznie potrząsać.

- Beatka, zbieraj się! Szybko! Jedziemy!

Beata z pewnym trudem uwolniła się z rąk Moniki i odsunęła na bezpieczną odległość.

- Monika! O co ci chodzi? Ja nie mogę nigdzie jechać. Mam tu urwanie głowy! Żebyś wiedziała...

Monika znowu zrobiła krok w jej kierunku. Jej oczy błyszczały podnieceniem.

- Becia, widziałam Zbyszka! Na działkach w Nie - poręcie!

- Widziałaś Zbyszka?! Jak to?!

Monika zaczęła opowiadać, krążąc jednocześnie po gabinecie jak tygrys zamknięty w klatce.

- ...i to był on, mówię ci! Stał za tą cholerną firanką i się gapił!

- Ale dlaczego cię nie wpuścił?!

- Nie wiem... Becia, jak chcesz go złapać, to musisz tam pojechać. Może z tobą będzie chciał rozmawiać. To znaczy na pewno prędzej niż ze mną...

Beata czuła jednocześnie ulgę i irytację. Nieobecność Zbyszka kosztowała ją jak do tej pory wiele nerwów. Nie mogła zrozumieć, jak dorosły, odpowiedzialny człowiek może sobie tak po prostu zniknąć i przez kilka dni nie dawać znaku życia. To było tak niepoważne, tak zupełnie nie w stylu Zbyszka, że

Beata powoli zaczynała oswajać się z myślą, że stało się coś naprawdę poważnego. Atu proszę, nagle się okazuje, że on sobie po prostu siedzi na działce u córki! Tak jakby nie mógł uprzedzić, zadzwonić, głupiego esemesa wysłać! Tak jakby w ogóle go nie obchodziło, co się dzieje z firmą, jakie konsekwencje ma dla Pawbudu jego nieobecność. Leczył złamane serce i się nad sobą roztkliwiał ich kosztem!

A jeżeli, przemknęło Beacie przez głowę, a jeżeli on się ukrywa, bo rzeczywiście jest zamieszany w ten wypadek na budowie?

Ta myśl, przerażająco jasna i logiczna, w jednej chwili wyparła wszystkie inne.

Więc czym prędzej podzieliła się nią z przyjaciółką.

- Wiesz co, boję się, że to może być prawda... - po chwili wymownej ciszy westchnęła Monika. - To wszystko razem wygląda strasznie podejrzanie. Ten pokój, notatka, to, że nie odpowiada na telefony... Z drugiej strony nie chce mi się wierzyć, żeby on zrobił cokolwiek z premedytacją... Bacia, ja go znam! To nie człowiek, to kryształ.

No proszę, uświadomiła sobie Beata, i kto by pomyślał jeszcze tydzień temu, że takie słowa na temat Zbyszka przejdą Monice przez gardło. Chyba jednak nie jest jej aż tak obojętny, jak deklarowała.

W tym momencie dyskretne pukanie zasygnalizowało obecność Maćka, który nie czekając na pozwolenie uchylił drzwi i zajrzał do środka. Miał potwornie nieszczęśliwą minę.

- Pani prezes! Policja!

Dziewczyny spojrzały najpierw na siebie, potem znowu na sekretarza. Panika to delikatne określenie tego, co obie w tym momencie poczuły.

- Za dwie minuty - rzuciła stanowczo Beata i Monika pomyślała, że jednak władza podnosi poziom asertywności. Jednym zbyt wysoko, innym, takim jak Beata, po prostu wyrównuje deficyty.

Maciek wyglądał tak, jakby miał się za chwilę popłakać.

- Ale pani komisarz już tu jest! Czeka!

Beata nabrała powietrza głęboko w płuca, szykując się na konfrontację.



- Dobrze. Poproś.

Maciek nie zdążył się odwrócić, a komisarz Pędzi - cka już stała w drzwiach. Błyskawicznie zeskanowała pomieszczenie chłodnym i nieodgadnionym spojrzeniem, zatrzymując je na niepokojąco długą chwilę na Monice. Beata miała wrażenie, że za chwilę z dzielnej nauczycielki wf - u zostanie tylko kupka popiołu.

- Monika Kwiatkowska, moja przyjaciółka...

Pędzicka wykonała ledwo dostrzegalny ruch głową w jej stronę, który zapewne miał być powitaniem, po czym przeniosła całą swoją uwagę na Beatę.

- Gdzie jest Wierzbicki?

Żadnego „Czy może mi pani pomóc?“, „Czy może się pani orientuje?“... wszelkie ozdobniki niepotrzebnie zładodziłyby ostro, zaczepny ton tej wypowiedzi.

Beata przełknęła ślinę. Może dlatego, że czuła się gospodynią, a może z powodu intuicyjnej niechęci do pani komisarz, poczuła zaskakujący przypływ sił vitalnych. Nie na tyle, żeby dążyć do konfrontacji, ale wystarczająco, by spróbować przejąć kontrolę nad sytuacją.

- Może pani usiądzie? - lekkim gestem wskazała policjantce fotel.

Pędzicka wyglądała tak, jakby nie usłyszała zaproszenia. Stała bez ruchu na środku pokoju i emanowała chłodnym, bezwzględnym profesjonalizmem. Beata uśmiechnęła się z pewnym wysiłkiem i podjęła kolejną próbę.

- Kawy, herbaty... wody?

- Dziękuję - wyrzuciła z siebie góra lodowa przebrana za kobietę. - Gdzie jest Wierzbicki?

Beata chrząknęła.

- Pan Wierzbicki? - powtórzyła powoli. - No cóż, pan Wierzbicki... Nie mam pojęcia. Właściwie to liczyłam, że pani mi powie...

Pędzicka posłała jej serię śmiertelnych spojrzeń.

- ... boja też uważam, że pana Wierzbickiego trzeba znaleźć - kontynuowała niezrażona Beata. - I to jak najszybciej.

- Więc twierdzi pani, że nie wie, gdzie się ten człowiek teraz

znajduje?

- Oczywiście, że nie wiem - co na szczęście było absolutną prawdą. - Chociaż bardzo bym chciała wiedzieć. Nieobecność pana Wierzbickiego w firmie odczuwamy dotkliwie. I właśnie w związku z tym chciałabym zgłosić pewną okoliczność...

Komisarz Pędzicka nie wyglądała na specjalnie zainteresowaną.

- Jak pani zapewne wie - ciągnęła niezrażona Beata - pan Wierzbicki od jakiegoś czasu przebywał w biurze firmy na budowie...

- Przebywał?

- Mieszkał. Zawirowania w życiu osobistym, rozumie pani...

Pędzicka nie wyglądała na taką, która rozumie.

- Miał się tam zatrzymać tylko na kilka dni, dopóki nie znajdzie sobie czegoś lepszego... No, nieważne... W każdym razie we wtorek wieczorem musiałam sprawdzić pewien szczegół w projekcie... Wiedziałam, że ma go u siebie w pokoju... No i we - szliśmy tam, i...

- Weszliśmy? - wyłapała czujnie pani komisarz.- Pani i... kto?

- Ja... - bąknęła nieśmiało od strony okna Monika. - Byliśmy razem...

- No więc weszliśmy - kontynuowała Beata modląc się, żeby Pędzicka nie zaczęła drążyć tematu - i właśnie chciałam to zgłosić na policję, ale skoro pani już tu jest, to pomyślałam sobie, że pani powiem...

- Czy może pani wreszcie przejść do rzeczy?

- Tam był straszny bałagan. W pokoju Zbyszka. Jakby przeszła trąba powietrzna. Albo włamywacz...

W oku komisarz po raz pierwszy dzisiejszego dnia błysnęło zaciekawienie.

- I twierdzi pani, że ten bałagan był już, kiedy panie przyszły? Beata rzuciła szybkie spojrzenie Monice.

- Oczywiście. Powyciągane szuflady, porozrzucane rzeczy...

- Nie musi mi pani opisywać. Już to wiedziałam - w głosie Pędzickiej zabrzmiała delikatna nutka satysfakcji.

Takiego obrotu sprawy dziewczyny się nie spodziewały. Fatalnie! - pomyślała odruchowo Monika. Może i dobrze? -

uświadomiła sobie Beata.

- Proszę mi przypomnieć, w jakim celu się pani tam udała? - policjantka zaczęła dociskać śrubę.

- Na pewno nie po to, żeby grzebać w Zbyszka rzeczach! Chciałam coś sprawdzić w projekcie...

- Co konkretnie?

Pytanie Pędzickiej zbiło Beatę z tropu.

- Taki drobiazg... Właściwie już nie pamiętam... Pani komisarz nie spuszczała z niej wzroku.

- I żeby sprawdzić ten drobiazg, wzięła pani ze sobą koleżankę?

No oczywiście, jęknęła w duchu Beata. Jest tak, jak myślałam. Podejrzewa mnie!

- Jechałyśmy gdzieś razem, poprosiłam Monikę, żeby ze mną wstąpiła do pana Wierzbickiego, po co miała siedzieć sama w aucie...

- A dokąd panie jechały?

Tego już było dla Beatki za wiele. Wstała z fotela i oparła się dłońmi o biurko.

- Przepraszam, o co pani chodzi? Czy jestem o coś podejrzana? Może powinnam zadzwonić po adwokata?

Na twarzy Pędzickiej znowu pojawił się chłodny, cyniczny grymas, który zapewne kiedyś, w swojej bardzo pierwotnej wersji był uśmiechem.

- Na pani budowie popełniono morderstwo. Od wczoraj znamy wyniki sekcji zwłok. Pan Nowicki nie spadł z rusztowania, tylko został z niego zepchnięty. A niedaleko miejsca zbrodni znaleziono telefon komórkowy, należący do pana Wierzbickiego. Pan Wierzbicki przebywał w tym czasie na terenie budowy, czyli miał sposobność. Miał również motyw. Na pewno pani wie, że on i ofiara mieli bardzo poważny konflikt na gruncie zawodowym?

- Obiło mi się o uszy - Beata nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale wołała się do tego przed Pędzicką nie przyznawać.

- Pracownicy twierdzą, że w projekcie prowadzonym przez Wierzbickiego były poważne nieprawidłowości i Nowicki groził mu, że o wszystkim pani doniesie.

- Nie wierzę! - odpowiedziała stanowczo. - Nawet jeżeli w projekcie były niedopatrzona, to Zbyszek na pewno nie chciałby ich ukryć.

- Najchętniej to jego bym o to zapytała. Dlatego powtórzę pytanie: gdzie jest Wierzbicki?

Beata spokojnie spojrzała policjantce w oczy.

- Nie wiem. Ale jeżeli czegoś się dowiem, dam znać.

Pędzicka zmrużyła oczy.

- Będę zobowiązana.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła zdecydowanym krokiem do wyjścia.

- Aha, jeszcze coś - przypomniała sobie. - Zapraszam obie panie do nas na komendę, na Wilczą. Musimy pobrać odciski palców.

## ROZDZIAŁ 39

### czyli dziewczyny w akcji

Volvo posuwało się ze średnią prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę. Wyjazd po południu z Warszawy, niezależnie od kierunku, odbywał się w wielokilometrowych korkach i nikogo to już właściwie nie dziwiło.

Poza Moniką.

- No paranoja! W takim tempie nie dojedziemy do Gwiazdki! Bacia, nie da się tego jakoś ominąć?

Beata spojrzała z politowaniem na niezmotoryzowaną przyjaciółkę.

- Czy myślisz, że gdyby można było ominąć, to by się ludzie tędy pchali?

Właściwie to Beata powinna się denerwować, ponieważ wyjazd do Nieporętu oznaczał, że w domu będzie przynajmniej dwie godziny później niż zwykle. Ale Andrzej obiecał się zająć Małym, a nawet, jeśli będzie trzeba, położyć go spać, więc Beata mogła z czystym sumieniem skupić się na poszukiwaniach Zbyszka.

- Słuchaj, to nie wygląda dobrze... - zaczęła, ale Monika od razu jej przerwała.

- Przecież mówię! Skandal! Wszystko stoi - wybuchła.

- Mnie chodzi o Zbyszka. Oni naprawdę go podejrzewają. Monika, myślisz, że to możliwe, żeby... Już sama nie wiem...

Monika popatrzyła na Beatę ze zdziwieniem.

- Co ty w ogóle mówisz? Zbyszek jest niewinny. Żeby nie wiem jakie mieli na niego dowody, to nie on. Znam go.

Zdecydowana postawa przyjaciółki sprawiła, że Beata przestała się bać.

- Mam nadzieję, że go znajdziemy - powiedziała cicho. - I wszystko się wreszcie wyjaśni.

Kiedy dojechały do Nieporętu, dochodziła szósta.

- Pamiętaj, nie wychodź z auta, dopóki cię nie zawołam -

przypomniała przyjaciółce Beata.

- A ty pamiętaj, nie mów mu na razie, że policja go szuka. Stój! To tutaj!

Beata zatrzymała samochód nie na wysokości bramy, tylko trochę dalej, żeby nie był widoczny z ogrodu.

- Życz mi szczęścia - Beata miała niepewną minę. - Na pewno nie chcesz iść?

- Uciekał dzisiaj przede mną tak, że mało nóg nie pogubił. Chyba lepiej, żebym mu się na razie nie pchała pod nos.

Choć zbliżał się wieczór, na dworze ciągle panował upał. Beata powoli podeszła do drewnianej, pomalowanej na zielono furtki. Na słupku zauważyła dzwonek. Nacisnęła go i zamarła w oczekiwaniu.

Drogą przejechał powoli jakiś samochód, wzbijając tuman kurzu. Po jarzębinie rosnącej przy płocie gonili się, skrzecząc, dwie sroki. Gdzieś dalej, nad działkami, krążyło stado gołębi, podrywane do lotu przenikliwym gwizdaniem właściciela. Ale z domu, przed którym czekała Beata, nie dochodził żaden znak życia.

Dopiero kiedy podniosła rękę, żeby zadzwonić po raz drugi, przy furtce rozległo się ciche brzęczenie.

Zaskoczona, pchnęła klamkę. Zamek ustąpił i Beata weszła do środka.

Pierwsze, co poczuła, to ulgę, że jednak się udało. Że zdążyły, że Zbyszek zdecydował się ją wpuścić, że będzie z nim mogła spokojnie o wszystkim porozmawiać. Ale po chwili pojawiła się również obawa. Przecież nie przynosiła dobrych wieści. Jak Zbyszek zareaguje, kiedy się dowie, że jest głównym podejrzanym?

Ruszyła ostrożnie w kierunku domu. Ścieżka, wyłożona jasnymi, nierównymi płatami piaskowca, zaprowadziła ją prosto pod wejściowe drzwi, ciągle zamknięte. Beata zatrzymała się czekając, aż Zbyszek otworzy. Skrzypnęła klamka, potem zawiasy, i drzwi się uchyliły.

- Tak, słucham?

Beata patrzyła ze zdziwieniem na szczupłą, opaloną, krótko ostrzyżoną blondynkę w górze od kostiumu kąpielowego i

szortach.

- Eeee... - zająknęła się, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć. - Ja... szukam pana Wierzbickiego...

Blondynka patrzyła na nią obojętnym wzrokiem.

- Ojca nie ma. Coś przekazać?

- Tak... To znaczy nie... Ja... przyjechałam się z nim zobaczyć...

- Beata czuła, że głos jej się łamie, tak silne miała uczucie zawodu. - Miał tu być...

- Kochanie, kto to? - dobiegł przytłumiony okrzyk z wnętrza domu.

- Nikt! - odkrzyknęła blondynka, po czym zwróciła się do Beaty: - No tak, był tu kilka dni, ale dzisiaj wyjechał. I nie wiem, kiedy się znowu pokaże. Przykro mi.

Beata westchnęła. A jednak pech.

- Nie wie pani, gdzie go teraz znajdę?

- Może na budowie? Mieszka w pokoju służbowym.

- Tam go nie ma... Więc gdyby się jednak pojawił, proszę mu przekazać, że byłam i czekam na kontakt. Beata Stokowska... do widzenia.

Odwróciła się i ruszyła do furtki.

- Proszę zaczekać! - kobieta zbiegła z ganku po lekko rozchwianych, drewnianych schodkach. - Czy to pani do mnie dzwoniła przedwczoraj?

Beata skinęła głową.

- Czyli pani jest szefową ojca, prawda?

- Tak. Pracujemy razem.

- Dlaczego pani go szuka? Coś się stało?

- Nie, skąd! - Beata zaprotestowała gwałtownie. - Po prostu... mam kilka służbowych spraw. To wszystko.

Młoda kobieta pokręciła niechętnie głową.

- Nie uważa pani, że jak ktoś ma urlop, to chciałby odpocząć od służbowych spraw?

- Ojciec pani powiedział, że ma urlop?

- Tak. A nie ma?

Rozmowa nie zmierzała w dobrym kierunku.

- Ma, oczywiście że ma...

Beata właśnie się zastanawiała, jak się wykręcić od dalszych

odpowiedzi, kiedy z domu wyszedł szczupły, na oko trzydziestoletni szatyn w bermudach w kratkę i żółtym podkoszulku.

- Słuchaj, powiedz swojemu ojcu, że jak następnym razem wyjeżdżając zostawi taki koszmarny bałagan, to go tu więcej nie wpuszczę - oświadczył stanowczym głosem, nie zwracając zupełnie uwagi na obecność Beaty. - Człowiek zmęczony po podróży chciałby w przyzwoitych warunkach odpocząć, a tu chlew!

- Marek! - wtrąciła się blondynka. - Pani właśnie do ojca przyjechała.

Zięć Zbyszka nakręcał się dalej:

- Ja się serio zastanawiam, czy z nim jest wszystko w porządku? Bo dzisiaj z tym czajnikiem na gazie to przegiął. Przecież gdybyśmy akurat nie przyjechali, to by się chałupa sfajczyła! Wolę nawet nie myśleć!

- Marek! - syknęła jego żona. - Zachowuj się! Beata uśmiechnęła się przepraszająco do zdziwionego mężczyzny i postanowiła zakończyć spotkanie.

- Pójdę już. Dziękuję za pomoc. A gdyby ojciec się pokazał albo odezwał, proszę mu przekazać, że czekam na kontakt.

I nie czekając na odpowiedź, wycofała się do furtki.

Monika, tak jak jej Beata kazała, czekała grzecznie w samochodzie. Na widok przyjaciółki wracającej ze spuszczoną smętnie głową, wyskoczyła z auta, chwyciła ją za ramiona i rozkazała stanowczym tonem:

- MÓW.

Pięć minut później dała upust swojej wściekłości. - Cholera, cholera, cholera! A więc jednak tu był! Jaka ja głupia!

- Dlaczego głupia? - zainteresowała się od razu Beata.

- Bo byłam tak blisko, wystarczyło przejść przez ten cholerny płot... - w tym momencie przypomniała sobie jazdę poduszkowcem i zrobiło jej się dziwnie smutno i samotnie. Ciekawe, czy Borys już w domu.

Rozmarzyła się na chwilę, ale zaraz wróciła do rzeczywistości.

- Albo gdyby nam się udało wcześniej przyjechać... Słuchaj, czy ty nie masz wrażenia, że on zwyczajnie przed nami uciekł?



Beata zastanawiała się przez chwilę nad tym, co usłyszała od przyjaciółki.

- Chyba masz rację. Ukrywał się tutaj kilka dni, wszystko było w porządku, ale kiedy ciebie zobaczył, po prostu zwiął.

- Cały Zbyszek... - zachichotała Monika, i nagle spoważniała.  
- Przepraszam.

- Nie ma za co - Beata zapatrzyła się przed siebie. Przez chwilę obie milczały, analizując aktualną sytuację. Beata otrząsnęła się pierwsza.

- Czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. Nie wiemy, gdzie jest Zbyszek, nie mamy jak się z nim skontaktować. Możemy tylko czekać, aż sam się do nas odezwie, albo aż go złapie policja. Oczywiście wolałabym to pierwsze.

- Ale przynajmniej wiemy, że żyje.

- No tak, to już coś. Chodź, musimy jechać. Andrzej na mnie czeka.

Wpakowały się do samochodu, Beata zapaliła silnik.

- Ale tu wąsko! - stwierdziła niechętnie. - Słuchaj, czy jak ruszę do przodu, to gdzieś wyjedziemy sensownie? Nie chce mi się zawracać...

- Wyjedziemy. Dawaj.

Beata uruchomiła auto i volvo powoli ruszyło piaszczystą drogą, kołysząc się na boki.

- Wiesz co, ja już sama nie wiem, czy my słusznie robimy, że się w to mieszamy - westchnęła Monika. - Tu skręć w prawo i mamy asfalt.

Beata prowadziła dość wolno, żeby się zorientować, czy dobrze jedzie. W pewnym momencie zatrzymała auto, bo już nic jej się nie zgadzało.

- Jesteś pewna, że tędy? - spróbowała podpytać Monikę.

Ale przyjaciółka nie słyszała, zapatrzona w jeden punkt przed samochodem. Tym punktem był błyszczący, czerwony motocykl. Kierowca motoru, młody mężczyzna z kaskiem pod pachą, stał oparty bokiem o elegancki, ciemnoszary sportowy samochód i rozmawiał z kimś siedzącym w środku.

- O, podobnym samochodem jeździ ten mój nowy dyrektor, którego przysłali z Berlina. Śliczne autecz - ko, prawda? -

stuknęła przyjaciółkę w ramię. - Hej, mówię do ciebie... - ale Monika nie zareagowała.

W tym momencie motocyklista stuknął otwartą dłonią w dach samochodu i odwrócił się w ich stronę. Beata zauważyła, że mężczyzna, a właściwie jeszcze chłopak, jest niepokojąco przystojny.

- Ale niezły! Podobny do tego aktora... no wiesz, do tego... - ucieszyła się. - Jak on się nazywa... Moni...

Spojrzała w prawo, na przyjaciółkę, ale Moniki nie było. A przynajmniej nie było jej na tym poziomie, na jakim znajdowała się jeszcze przed chwilą.

- Co ty wyprawiasz! - Beata nachyliła się nad przyjaciółką, która zsunęła się z siedzenia pasażera i teraz przycupnęła gdzieś na podłodze w potwornie karkołomnej i niewygodnej pozie.

- Nie może mnie zobaczyć! - syknęła z dołu. - Jedźżesz!

Beata posłusznie wrzuciła jedynekę.

- Ale kto cię nie może zobaczyć?

- No jak to, kto? Borys!

Volvo toczyło się na tyle powoli, że Beata zdążyła sobie dokładnie obejrzeć obiekt żarliwych uczuć przyjaciółki. Trzeba przyznać, robił wrażenie.

- To jest Borys? Twój Borys?

- TAK! No jedź prędzej!

- A możesz mi wytłumaczyć, o co tu chodzi? - zainteresowała się Beata.

- O nic. Trochę się dzisiaj poprzytkaliśmy na tej imprezie... Po prostu nie mam ochoty się z nim teraz widzieć.

- A ja bym tak strasznie chciała, żebyś nas sobie przedstawiła...

- Słuchaj... - Monika spod deski rozdzielczej posłała przyjaciółce mordercze spojrzenie, na co Beata roześmiała się perliście i wcisnęła mocniej pedał gazu.

Miała niejasne przeczucie, że Monika nie powiedziała jej wszystkiego. Przecież gdyby Borys je zobaczył, zainteresowałby się na pewno, co tu robią, a odpowiedź niekoniecznie musiałaby mu się spodobać.

Bo powodem, dla którego tu przyjechały, był Zbyszek.

## ROZDZIAŁ 40

### w którym Monika nie spodziewa się cudów

Ciche brzdęknięcie zasygnalizowało, że tosty gotowe. Monika, która właśnie dolewała mleko do kawy, przerzuciła gorące kawałki pieczywa na talerzyk i po chwili namysłu włożyła do tostownicy dwa następne. Była głodna. Potwornie głodna po nocy spędzonej na godzeniu się z Borysem, który poprzedniego wieczoru wrócił do domu z wielkim bukietem polnych kwiatów, nazrywanych po drodze z imprezy, i butelką szampana na przeprosiny. I który powiedział jej na ucho, że kiedy odjeżdżała z imprezy na srebrnym harleyu, o mało co nie wsiadł na swój motor i nie pojechał za nią...

Posmarowała przyrumienioną, chropawą powierzchnię tosta masłem. Tłuszcz rozpuścił się, tworząc aromatyczną warstwę, na którą Monika położyła kawałek szynki. Dwa z szynką, dwa z dżemem postanowiła, i dosypała cukru do kawy. Zza otwartego okna dochodził rwetes ptaków, urzędujących na topolach, którymi obsadzona była ulica. Monika zamknęła oczy i na chwilę oddała się błogiemu nastrojowi, który ją ogarnął. Jaki cudny dzień, pomyślała leniwie. Nic się nie dzieje... Nic się nie chce... Nic nade mną nie wisi...

W tym momencie w jej głowie zapaliła się czerwona lampka, a po chwili dołączyło do niej przenikliwe wycie alarmowej syreny. Nic nie wisi?! Jak mogła zapomnieć! Zerwała się w popłochu od stołu i pobiegła po komórkę.

Na szczęście zostawiła ją pod lustrem w przedpokoju, więc nie musiała wchodzić do sypialni. Borys miał dosyć czujny sen, a gdyby się obudził... Nie byłoby już czasu na nic. Monika sprawdziła szybko es - emesy i połączenia przychodzące. Ani tu, ani tu nic nie było, wybrała więc numer do agencji detektywistycznej. Po dwóch sygnałach ktoś odebrał. Nareszcie!

- Biuro detektywistyczne Enigma, słucham?

Monika odetchnęła.

- Z panią Aldoną poproszę.

- Niestety, szefowej nie ma. Będzie dopiero po południu.

- A czy może się pani z nią skontaktować i przekazać, że Monika Kwiatkowska rezygnuje ze zlecenia i czeka na rachunek?

- Oczywiście.

Sekretarka rozłączyła się, a Monika wróciła do przerwanej posiłku. Kiedy wbijała zęby w drugiego tosta, odezwała się komórka. Przekonana, że oddzwania detektyw, chwyciła aparat.

- To ja... - dał się słyszeć smętny głos Beaty. - Masz chwilę?

Okazało się że przyjaciółka była w fatalnym humorze. Powód - Zbyszek. Czy raczej jego brak.

- Monika, to jest dla mnie straszna sytuacja. On jest odpowiedzialny za wszystkie inwestycje! Nawet gdybym go chciała sama zastąpić, nie mogę. Po pierwsze nie mam wiedzy, po drugie doświadczenia, a po trzecie dokumentów. Właściwie wszystko powinno być w biurze... Ale nie ma. A przynajmniej nie można znaleźć. Słuchaj, co ja mam robić?

- Kotek, nie wiem! Przecież ja się nie znam na tych twoich biznesach. Musisz kogoś poprosić o pomoc.

- No to proszę ciebie! - Beata po drugiej stronie słuchawki zaczęła wydawać z siebie jakieś dziwne dźwięki.

- Bacia, ty płaczesz? - przeraziła się Monika.

- Nie, tylko...

- Dobrze, jasne, że ci pomogę, tylko wymyśl, jak! Na sprawach budowlanych znam się jeszcze mniej niż ty.

- Na jakich sprawach budowlanych? - zdziwiła się Beata. - Ja chcę cię prosić, żebyś mi znalazła Zbyszka!

Monika odruchowo spojrzała w stronę drzwi do sypialni.

- Bacia, daj spokój! Już ci go raz znalazłam... Jakoś dzisiaj rano, po nocy, podczas której zbyt dużo nie spała, i czując jeszcze na ciele zapach wody kolońskiej Borysa, jej zapał do poszukiwania Zbyszka osłabł.

- No właśnie! Udało ci się raz, uda się i drugi. Byłaś z nim, znasz go... Tobie będzie łatwiej.

- Łatwiej niż komu?

- Łatwiej niż mnie... I policji.

Monika patrzyła na stygnące tosty i myślała, że to niesprawiedliwe, że ciągle się nie może uwolnić od Zbyszka. Co z tego, że Borys wydawał się takim skutecznym lekarstwem, skoro wirusy atakowały ze wszystkich stron, a odporność organizmu Moniki nie była wysoka?

- Spróbuję - westchnęła. - Ale cudów nie obiecuję.

Próbować zaczęła dopiero koło południa, kiedy Borys pojechał przeprowadzać jakiegoś kumpla. Na pierwszy ogień poszedł stary notes z telefonami, gdzie przez ostatnie dwa lata Zbyszek dopisywał swoich znajomych. Dzwoniła na nie po kolei, wykreślając te nieaktualne i przeprowadzając zawile rozmowy z resztą abonentów. Nie tak łatwo jest wytłumaczyć, dlaczego szuka się po obcych ludziach swojego byłego faceta, którego w dodatku rzuciło się z hukiem całkiem niedawno.

Ale nikt nie miał pojęcia, gdzie aktualnie przebywa Zbyszek.

Skoro nie zatrzymał się u nikogo znajomego, następnym etapem poszukiwań powinny być hotele. Czy gdyby chciał się ukryć, zatrzymywałby się w miejscu, gdzie każdy mógłby go namierzyć? - zastanowiła się. Raczej nie...

Na koniec zostawiła więc sobie ostatnią, najbardziej karkołomną możliwość.

Ale żeby ją sprawdzić, musiała wyjść z domu.

Monika stała przed połówką okazałego bliźniaka na Sadybie. No, całkiem nieźle sobie mieszka ta jego była... - pomyślała, przyglądając się z ciekawością pięknie wykończonemu frontonowi. Zbyszek nie mówił za dużo o swoim małżeństwie, ale gdzieś między wierszami pojawiła się informacja, że rodzina żony była bardzo zamożna. Kiedyś, podwożąc Monikę do centrum, przejeżdżali tędy i Zbyszek pokazał jej dom.

- Pogoni mnie. Pogoni jak nic - westchnęła i nacisnęła dzwonek. W domofonie prawie natychmiast rozległ się wysoki kobiecy głos:

- Słucham?

Monika rzuciła prawie radośnie:

- Do pani Wierzbickiej.

Ten sam głos tym samym tonem zapytał ponownie:

- Słucham?

- Monika Kwiatkowska. Chciałabym porozmawiać. Osobiście.

Chwila ciszy.

- A w jakiej sprawie? Monika wzięła głęboki oddech.

- W sprawie Zbyszka...

W domofonie zapanowała cisza i Monika już myślała, że odejdzie z kwitkiem, kiedy usłyszała brzę - czyk. Pchnęła furtkę i ociągając się weszła do środka. Robię to dla Beatki, pomyślała. Tylko dla niej.

W tym czasie drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich szczupła, przystojna kobieta koło czterdziestki. Miała na sobie beżową jedwabną bluzkę, ciemnobrazową wąską spódnicę i pantofle na wysokim obcasie. Zaprosiła Monikę do środka wystudiowanym gestem. Przedpokój był wyłożony tapetą w złociste wzory na kremowym tle, w kryształowym lustrze odbijał się bukiet róż ustawiony na niewielkim stoliku naprzeciwko wejścia. W tym eleganckim wnętrzu Monika poczuła się jeszcze bardziej nie na miejscu.

- Przepraszam - bąknęła. - Pani wychodzi. Może przyjdę później...

Wierzbicka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Ależ nigdzie nie wychodzę. Co nie znaczy, że mam dużo czasu. Słucham panią.

Monika odchrząknęła.

- Szukam Zbyszka.

Przez twarz Wierzbickiej przemknął ledwo dostrzegalny ironiczny grymas.

- No wie pani, tutaj go nie ma.

- A czy nie kontaktował się z panią? Nie dzwonił? - Monika fizycznie czuła, jak jej słowa obijają się o ścianę. Coraz cichszym głosem pytała dalej: - Albo może wie pani, gdzie bym go mogła znaleźć?

- Gdzieś w górach. Spędza tam urlop. Ale nie znam szczegółów. Monika, która nie bardzo wierzyła, że od byłej żony Zbyszka uzyska jakiegokolwiek informacje, patrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Kiedy się do pani odzywał?

- Nie odzywał się. - Wierzbicka zaczęła się bawić długim złotym wisiołem, który miała na szyi. - Córka mi mówiła. Była tu dziś rano. Przyniosła jakieś rzeczy, które Zbyszek zostawił u nich na działce... powiedziała, że pewnie będzie tego potrzebował, a oni wyjeżdżają na dwa tygodnie nad morze.

- I co? - Monika była coraz bardziej zaskoczona.

- Tam stoją... - Wierzbicka wskazała ruchem głowy niewielką plastikową skrzynkę pełną ubrań i drobiazgów. - Jeszcze nie zdążyłam wynieść do garderoby.

Podniecona Monika, nie pytając nawet o zgodę, przykucnęła przy skrzynce.

Nagle z wnętrza domu doleciał melodyjny dźwięk dzwonka telefonu.

- Przepraszam... - Wierzbicka, idealnie wyprostowana, odeszła, stukając obcasami.

Monika gorączkowo przeglądała zawartość skrzynki. Nagle natrafiła na gruby kalendarz w płóciennej oprawie. O kurczę! - jęknęła. To ten! Drżącymi rękami otworzyła go i zaczęła przerzucać kartki. Fragment tej z datą 6 lipca był oderwany!

Gdzieś daleko zastukały obcasy Wierzbickiej. Dźwięk narastał, oznaczając zbliżanie się gospodyni. Monika, nie zastanawiając się, co robi, błyskawicznym ruchem schowała kalendarz pod bluzkę, wsuwając za pasek od dżinsów, i podniosła się z podłogi

- Już jestem... Na czym skończyliśmy?

- Że Zbyszek wyjechał na tydzień - przypomniała Monika. - I nic więcej pani nie wie?

- Nie.

Monika stanęła bokiem do Wierzbickiej, tak żeby jak najmniej eksponować brzuch, powiększony o kalendarz.

- W takim razie dziękuję i przepraszam za kłopot. Będę lecieć - bąknęła.

- Pani Moniko! - usłyszała za sobą, kiedy już była prawie przy furcie. No proszę, pamięta moje imię, pomyślała z satysfakcją i odwróciła do Wierzbickiej.

- Gratuluję... - powiedziała tamta, a w jej głosie zabrzmiała lekko ironiczna nuta. - Który to miesiąc?

## ROZDZIAŁ 41

### w większości spędzony przez Monikę nad tortem

Monika siedziała w Cawie, czekając na kelnerkę. Miała jeden sprawdzony sposób na radzenie sobie ze stresem - słodycze. Dawkowała sobie ten specyfik w zależności od stopnia skomplikowania problemu. Pączek to były drobiazgi, wuzetka - kłopoty w pracy, a poważniejsze zawirowania natury sercowej - dwie wuzetki. Jednak to, czemu musiała stawić ostatnio czoło, wymagało kuracji wstrząsowej.

- Poproszę cappuccino, tortbezowo - bananowy... - Tak...

- I jeszcze porcję daktylowego. Dziękuję.

Usiadła wygodnie na miękkiej kanapce. W kawiarni panował gwar - prawie wszystkie stoliki były zajęte, ciągle ktoś się kręcił, zmieniał miejsce, podchodził do bufetu, a z głośników, jak prawie wszędzie w takich lokalach, leciała muzyka. Ale Monika nie zwracała uwagi na to, co się działo dookoła. Jej wzrok przyciągał gruby, zielony kalendarz w płócienniej oprawie, który przed chwilą położyła przed sobą na obrusie. Wyciągnęła rękę i pogładziła lekko chropowatą okładkę. Pamiętała ten dzień, kiedy kupiła go dla Zbyszka w Empiku. To był początek grudnia i już zaczęła kompletować prezenty. Miała go położyć pod choinkę, ale kiedy wróciła do domu, zrobiło się jakoś tak miło i przytulnie, że zamiast czekać jeszcze dwadzieścia dni, wyjęła kalendarz z plecaka i położyła Zbyszkowi na kolanach...

- Przepraszam najmocniej, ale daktylowy już wyszedł.

Monika wzdrygnęła się i spojrzała na kelnerkę, która stawiała właśnie przed nią kawę i talerz z beżowo - białym kawałkiem bezy.

- Mój pech - westchnęła i sięgnęła po cukierniczkę.

Zanim weźmie się za grzebanie w prywatności Zbyszka, lepiej wypić kawę i dostarczyć organizmowi odpowiednią porcję węglowodanów. Kiedy pochłonęła ostatni kęs tortu, odsunęła



od siebie talerzyk i otworzyła kalendarz. Bojąc się wspomnień, postanowiła nie zaglądać pod wcześniejsze daty. Tak naprawdę chciała sprawdzić tylko lipiec...

Jest. 6 lipca. Reszta przerwanej na pół kartki tkwiła na swoim miejscu, strasząc wystrzępionymi brzegami. Ktoś musiał mocno szarpnąć, pomyślała i zaczęła uważnie oglądać to, co zostało.

Odkąd weszły z Beatką w posiadanie fragmentu kartki z tajemniczą notatką, wydawało im się, że stanowi on coś w rodzaju klucza do całej tej okropnej sytuacji z wypadkiem na budowie. Że znajdą w nim rozwiązanie albo przynajmniej czytelną wskazówkę, co tam się wtedy wydarzyło. A przede wszystkim miały irracjonalną nadzieję, że kiedy poznają całość notatki, okaże się, że Zbyszek na pewno nie popełnił tej zbrodni.

Jednak druga część kartki, która pozostała w kalendarzu, sugerowała dokładnie odwrotny przebieg wydarzeń. Po połączeniu jej z kawałkiem, który Monika wyjęła z tylnej kieszeni dzinsów, można było odczytać następujący tekst:

Nie mogę, dłużej już nie mogę... tak żyć bez sensu, nie wytrzymam tego... Muszę z tym skończyć... policzę się z nim z tym gnojem, co mi ją zabrał... zabiję go, ZABIJĘ GNOJA! '

Tak mocne słowa pisze się tylko o kimś, kogo się szczerze i głęboko nienawidzi. I choć Zbyszek był najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem, to jednak najwidoczniej znalazł się ktoś, kto załaził mu głęboko za skórę...

A jeżeli ten ktoś to Nowicki?

I jego śmierć była konsekwencją ogromnych emocji, które targwały Zbyszkim, i których tylko niewielki ułamek przelał na papier? Monika zaczęła przewracać kartki kalendarza, szukając czegoś, co pomogłoby rozwiązać tę zagadkę.

Pod datą czwartego lipca natknęła się na coś w rodzaju listy zaplanowanych działań: Sprawdzić zamówienia za czerwiec  
Zapytać Nowickiego o dostawę betonu

I wreszcie, na samym dole drukowanymi literami:  
POWIEDZIEĆ BEACIE, ZE BY UWAŻAŁA NA BECKERA.

Kurczę, a kto to jest Becker?

## ROZDZIAŁ 42

### w którym Beata ma dosyć bycia prezesem

- ...to nie tylko moje zdanie, dyrektor Becker też zwrócił na to uwagę... Ja rozumiem, że pan prezes Wierzbicki nie jest zwykłym pracownikiem... ale ja muszę pilnować porządku. Nie może tak być, że kogoś tyle dni nie ma, i ani nie jest na zwolnieniu, ani na urlopie. To niezgodne z przepisami...

Kadrowa wykladała swoje racje od dobrych piętnastu minut i Beata poczuła, że jeszcze chwila, a ciśnie czymś w tę kobietę. Albo robi cokolwiek, żeby tylko przestała mówić. Może i była świetną szefową działu personalnego, ale potrafiła człowieka zamęczyć. Już miała sięgnąć po okazały dziurkacz, stojący przed nią na biurku, kiedy kadrowa nagle umilkła. Siedząc sztywno, z pulchnymi rękami złożonymi na podołku, wpatrywała się w szefową wyczekująco swoimi bladoniebieskimi, rybimi oczami.

Beata zrozumiała, że musi koniecznie podjąć jakąś decyzję. I to taką, która zamknie usta kadrowej, a nie zaszkodzi Zbyszkowi.

- Wystawi pani delegację na prezesa Wierzbickie - go. Od poniedziałku.

- Słucham?! - zgorszyła się kadrowa. - Przecież to nieprawda!

- Proszę tak zrobić! A teraz przepraszam, czekają na mnie inne sprawy.

Kadrowa z urażoną miną podniosła się z fotela i bez słowa ruszyła w stronę drzwi.

Może teraz będą miała nareszcie chwilę spokoju, pomyślała z nadzieją Beata. Ten dzień nie należał do ulgowych. Kłopoty zaczęły się już rano, kiedy się okazało, że volvo nie chce zapalić. Po kilku nieudanych próbach uruchomienia auta Andrzej zarządził zamianę, pożyczając Beacie swoją wielką, terenową hondę, którą jeździć po prostu nie znosiła. Kiedy wreszcie

dotarła do biura, zła i zestresowana po drodze w korkach, dowiedziała się, że czekają ją dzisiaj dwie narady, wywiad dla jakiejś branżowej gazety oraz cała góra dokumentów do przejrzenia. I jeszcze ta wizyta kadrowej... Beata poczuła się potwornie zmęczona. A przecież jeszcze tyle spraw czekało w kolejce do załatwienia. Co gorsza, pojawiły się pierwsze symptomy zbliżającej się migreny. Przed oczami zaczęły jej przemykać rozbłyśki, białe lodowe igiełki, sygnalizując, że jeśli nie chce spędzić reszty dnia na bezproduktywnej drzemce w zaciemnionym pokoju, to powinna się chociaż przez chwilę zrelaksować. Ledwo jednak zamknęła oczy i oparła się wygodnie w fotelu, rozdzwonił się telefon wewnętrzny. Przez moment miała pokusę, żeby nie odbierać, ale świdrujący dźwięk był po prostu nie do zniesienia...

- Tak...?

- Kierownik Pachała do pani - w głosie Maćka Beata wyczuła zdenerwowanie.

- Potem.

- Pani prezes! Coś się stało na budowie!

- Niech pan łączy... - jęknęła Beatka, myśląc jednocześnie, że tego to już naprawdę za wiele. - Co się tam u was dzieje, panie Łukaszu?!

- Pół godziny temu obsunął się narożnik budynku, który teraz stawiamy. - Młody zastępca kierownika budowy miał drżący głos, z trudem nad sobą panował.

- O Boże! Są ofiary?! Coś się komuś stało?!

- Jednemu robotnikowi przygniotło nogę. Pogotowie go zabrało.

- Cholera! - zdenerwowała się jeszcze bardziej Beata. - Zaraz do was jadę!

- Nie trzeba, już był dyrektor Becker i wszystkiego przypilnował. Ja tylko chciałem panią prezes osobiście poinformować.

- Dziękuję, panie Łukaszu, dobrze pan zrobił. I proszę przerwać wszelkie prace na tym odcinku, zrozumiał pan?

Z godziny na godzinę Beata czuła się coraz gorzej. Praca jej nie szła zupełnie. W związku z wypadkiem na budowie telefon

dzwonił nieustannie, wszyscy domagali się od Beaty merytorycznych decyzji, podczas gdy ona na sprawach budowlanych w zasadzie się nie znała. Cholernie brakowało jej Zbyszka, a Becker jak na złość nie odbierał komórki! Była już na granicy płaczu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zanim zdążyła powiedzieć proszę, do gabinetu wszedł dyrektor Becker.

Jak zwykle był nieskazitelnie elegancki, choć efekt psuła nieco niewielka plama błota na lewym pantoflu.

- Wracam z budowy - oznajmił, siadając bez zaproszenia w fotelu dla interesantów.

- Już wiem o wypadku - Beata starała się, aby jej głos brzmiał pewnie.

- A czy wie pani, dlaczego do niego doszło?! - Becker patrzył na nią tak, jakby szykował się do walki. - Otóż to jest kolejna sprawa, którą zawalił Wierz - bicki!

- Słucham?

- W projekcie zatwierdzonym przez Wierzbickie - go były poważne błędy. Nowicki o tym wiedział i dlatego Wierzbicki go usunął.

- To jakaś bzdura!

- Nie sądzę. Na policji słuchali mnie z dużym zainteresowaniem... Powiedziałem im też, że Nowicki bał się, że może dojść do wypadku. I proszę, miał rację -

- Jak pan śmiał mówić im takie rzeczy?!

- To przecież mój obowiązek.

- Pana obowiązkiem powinna być lojalność wobec firmy!

- Jestem lojalny. Wobec mojego szefa - Becker podniósł się z fotela i wypuścił ostatnią strzałę. Tym razem zatrutą: - Pan Wiesbaum jest bardzo niezadowolony z tego, co się tutaj dzieje. Bardzo.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Co za drań - pomyślała Beata, zaciskając pięści wbezsilnej złości. Chama kawał! Powinien się zabrać tam, skąd przyszedł! Telefon komórkowy zadzwonił donośnie tuż obok jej łokcia, aż podskoczyła. Nie miała teraz ochoty na rozmowę z kimkolwiek, ale ponieważ na wyświetlaczu pojawił się napis: MONIKA,

odebrała.

- Becia? - usłyszała zdenerwowany głos przyjaciółki. - Kto to jest Becker?

Beata, zamarła z telefonem przy uchu.

- Becker? Dlaczego pytasz?

Słuchała przez chwilę, nie wierząc własnym uszom.

- Co było napisane? „Powiedzieć Beacie, żeby uważała na Beckera”?! Drukowanymi? O co w tym wszystkim chodzi?

Niestety, Monika nie miała pojęcia, zwłaszcza że o istnieniu Beckera dowiedziała się jakieś trzy minuty wcześniej.

- On mi się od początku nie podobał... - jęczała Beata, przerażona kolejną kłodą, którą złośliwy los rzucił jej pod nogi.

- Dziwny jest... czepia się wszystkiego... O czym Zbyszek chciał mnie uprzedzić?

- Becia, jeżeli on u ciebie pracuje, to pewnie chodzi o jakieś sprawy firmowe. Może kradnie czy coś takiego...

Beata zatrzymała się przy oknie, ale zamiast wyglądać na ulicę, zaczęła zdrapywać z parapetu jakąś minimalną plamkę farby, ślad po wiosennym odnawianiu.

- Daj spokój! On dopiero co przyjechał do Polski! I nie wygląda mi na faceta, który by się fatygował dla paru złotych. Zresztą jest zaufanym człowiekiem tego całego Wiesbauma... Słuchaj, a może on się zajmuje... sabotażem?! Rozumiesz, gdyby Berlin chciał nas podkupić, to mógłby najpierw próbować obniżyć wartość rynkową przedsiębiorstwa. Podobno tak się robi...

Odpowiedzialność, jaką Beata w tym momencie poczuła na barkach, przygniotła ją do samej ziemi niczym gład narzutowy.

- Monika! - jęknęła. - Jak ja mam się w tym wszystkim połapać bez Zbyszka?

## ROZDZIAŁ 43

### czyli nieoczekiwane skutki zakupów w Smyku

Jeżeli zaraz stąd nie wyjdę, zwariuję - pomyślała Beatka, rozglądając się dookoła. Ogarnęło ją klau - strofobiczne uczucie, że ściany gabinetu zaciskają się wokół, a sufit obniża powoli, jak pneumatyczna prasa w składnicy złomu. I choć do końca dnia pracy pozostały jeszcze co najmniej dwie godziny, chwyciła teczkę, torebkę i wybiegła.

Na widok szefowej Maciek poderwał się od biurka.

- Pani prezes...

- Wychodzę - rzuciła przez ramię i już jej nie było.

Winda zawiozła ją prosto do podziemnego parkingu, gdzie przeżyła kolejną traumę, nie mogąc znaleźć samochodu. Dopiero po dobrych kilku minutach poszukiwań coś ją tknęło i sięgnęła po kluczyki. No tak, to nie były te kluczyki co zwykle. Nacisnęła breloczek centralnego zamka i tuż obok niej zamrugala światłami honda Zbyszka, którą wcześniej minęła co najmniej dwa razy, szukając z przyzwyczajenia swojego volvo.

Wszystko naraz, pomyślała. Co za dzień...

Więc żeby choć trochę polepszyć sobie humor, postanowiła kupić Jędrkowi taczkę do wożenia piasku, o którą prosił od kilku dni.

Przebiła się przez niewielki korek na placu Konstytucji, zawróciła w kierunku Kruczej i już po chwili była pod Smykiem, gdzie o dziwo udało jej się bez problemu zaparkować. Zaoszczędzony w ten sposób czas wykorzystwała sumiennie w sklepie, przez dobry kwadrans nie mogąc się zdecydować, jaki kolor taczki najbardziej odpowiadałby synkowi, oraz oglądając z ciekawością dziesiątki innych artykułów, które mogły się okazać przydatne dla Jędrka. W końcu zdecydowała się jeszcze na gazylion, czyli zielonego krokodyla puszczonego uzębionym pyskiem mydlane bańki. Pani w kasie zapakowała wszystko do ogromnej, czerwonej

torby z napisem Smyk i Beata, pierwszy raz tego dnia zadowolona i uśmiechnięta, opuściła budynek i poszła na parking. Tym razem, nauczona doświadczeniem, znalazła auto dużo szybciej niż poprzednio, a kiedy mościła się w środku, po raz kolejny ustawiając lusterko i fotel, bo ciągle coś jej nie pasowało, do auta stojącego kilka metrów dalej ktoś podszedł. Sylwetka mężczyzny wydała się Beacie niepokojąco znajoma, po chwili uświadomiła sobie również, że i auto wygląda znajomo. Takim samym przecież jeździł Becker.

I tak, to był on! Beata zastosowała manewr Moniki, czyli zsunęła się maksymalnie w dół na siedzeniu i zaczęła ukradkiem obserwować. Becker otworzył bagażnik swojego auta i zaczął wkładać do środka identyczne torby jak ta, którą przed chwilą Beata zapakowała do swojego.

- Co on mógł kupić w Smyku? - zastanowiła się Beata.

Wszystkie niechętnie Beckerowi myśli powróciły wysoką falą. To on jest temu wszystkiemu winien, pomyślała mściwie. Odkąd się pojawił, same katastrofy! A jeszcze ta notatka Zbyszka... Dziwne. Bardzo dziwne. I podejrzane.

Becker zapakował bagażnik, wsiadł do auta i po chwili zaczął się wycofywać z parkingu. Beata, niewiele myśląc, ruszyła za nim.

No, ciekawe, co obowiązkowy pan dyrektor robi w godzinach pracy na mieście... poza zakupami, mruknęła pod nosem, w karkołomny sposób włączając się do ruchu na Brackiej.

Becker jechał ostro, tak że Beata miała duże trudności, żeby za nim nadążyć. Na szczęście nie musiała się przynajmniej martwić, że ją rozpozna, siedziała przecież w samochodzie Andrzeja. Jechali w kierunku Świętokrzyskiej, wąską uliczką, poprzecinaną co chwila pasami dla pieszych. W pewnym momencie Beata, wpatrzona w szare auto Beckera, o mały włos nie rozjechała jakiegoś nastolatka.

Po co ja się w ogóle w to bawię? - myślała, starając się utrzymać odległość dwóch, trzech aut od audi.

Na pełnym gazie przecięli Świętokrzyską i posuwali się dalej Mazowiecką, aż do placu Piłsudskie - go, okrążyli Teatr Wielki i w końcu skręcili w małą uliczkę w prawo. „Niecała”, przeczytała

Becia na niebieskiej tabliczce. Dopiero tutaj Becker zwolnił, a następnie ustawił się przed elegancką bramą podziemnego garażu okazałego apartamentowca. Beata zatrzymała się przy krawężniku kilka metrów wcześniej.

Wiesbaum musi mu nieźle płacić, skoro stać go na wynajęcie tu mieszkania - przebiegło jej przez głowę. Oczekała jeszcze chwilę, a kiedy samochód Beckera zniknął w garażu, zawróciła w kierunku placu Piłsudskiego.

A teraz do domu - westchnęła i spojrzała na zegarek. Jeszcze najwyżej godzina i będzie się mogła pobawić z Jędrkiem.



## ROZDZIAŁ 44

w którym niańka jest znowu powodem małżeńskiej kłótni

- Hej, hej! Wróciłam! - Beata odłożyła teczkę na krzesło w holu i zaczęła kręcić się po domu w poszukiwaniu rodziny. Najpierw zajrzała do kuchni, potem do jadalni, a kiedy szła sprawdzić, czy czasem Jędrzek nie schował się w salonie, usłyszała coś z góry. Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę schodów, jednak kiedy zaczęła na nie wchodzić, uśmiech zniknął z jej twarzy.

Odgłosy dochodzące z góry nie były odgłosami zabawy. To Andrzej mówił coś podniesionym głosem. Prawie krzyczał! Beata przyspieszyła kroku.

W sypialni, obok orzechowego sekretarzyka, w którym Beatka trzymała wszystkie ważne dokumenty, stała Justyna. Miała zacięty wyraz twarzy, dłonie zaciśnięte w pięści i wyglądała, jakby się chciała zacząć bić.

- To skandal! - Andrzej chodził po pokoju, wymachując rękami. - Nie puszcze ci tego płazem! Dzwonię na policję! Zobaczysz, nie pobbierasz się!

- Co się stało? - przerwała mu zdenerwowana Beata.

- Jesteś nareszcie! - mąż zatrzymał się przed nią i oskarżycielskim gestem wskazał Justynę. - - Mówiłem ci, że to złodziejka!

Pod Beatą ugięły się nogi.

- O Boże! Co ty mówisz?

Andrzej wyciągnął rękę w kierunku żony.

- Przyłapałem ją, jak chciała wynieść to! - machnął Beacie przed nosem jakimś kartonikiem. - Wyjęła z szuflady i chowała za pasek od spodni! Wiedziałem, że jej nie można ufać!

- Justyna, czy to prawda? - Beata starała się mówić spokojnie, ale nie przychodziło jej to łatwo.

Dziewczyna wyglądała na głęboko dotkniętą podejrzeniami.

- Ja nie chciałam nic kraść! - odpowiedziała hardym głosem.  
- Chciałam tylko coś sprawdzić, a pani mąż akurat wszedł i od razu zaczął na mnie krzyczeć.

Beata spiorunowała Andrzeja wzrokiem.

- Możesz mi pokazać, co to jest? - poprosiła. Andrzej podał jej książeczkę zdrowia dziecka.

- I to Justyna chciała ukraść?

- Tak, właśnie - odpowiedział podniesionym głosem. - Mówiłem ci już, miała ją w rękę i próbowała ukryć.

- Wzięłam tę książeczkę, to prawda. Ale nie chciałam jej kraść, tylko coś sprawdzić - wtrąciła Justyna.

Andrzej patrzył na opiekunkę ze złością.

- Beata! Przecież to nie jest normalne, żeby niańka grzebała po szufladach i wyciągała dokumenty! Coś z tym trzeba zrobić!

Beata spróbowała opanować sytuację.

- Czy mógłbyś przestać krzyczeć? - zwróciła się stanowczo do męża. - A ty, Justyna, możesz nam powiedzieć, co właściwie chciałaś sprawdzić?

Justyna spojrzała Beacie prosto w oczy.

- Mały ukłuł się kolcem róży. Chciałam tylko zobaczyć, czy był szczepiony na tężec... To wszystko.

Zapadła cisza. W końcu odezwała się Beata:

- Justynko, czy możesz zostawić nas samych? Kiedy dziewczyna wyszła, Beata odwróciła się do Andrzeja.

- Uważam, że powinieneś ją przeprosić.

- Słucham?!

- Powinieneś ją przeprosić! A może nawet podziękować! Nie dość, że nic nie chciała ukraść, to jeszcze troszczy się o nasze dziecko! Zachowała się bardzo przytomnie. Sam wiesz, jaki niebezpieczny jest tężec. Nie sądzę, żeby jakkolwiek inna opiekunka o tym pomyślała! I nie życzę sobie, żebyś ją w ten sposób traktował! Jakoś to spróbuję teraz załagodzić, ale proszę cię, dla dobra Jędrusia - na przyszłość, zanim jej cokolwiek zarzucisz, dobrze to sprawdź.

Andrzej patrzył na żonę z irytacją i niedowierzaniem.

- Widziałem, jak grzebała w szufladzie! Przeglądała

dokumenty! Tę książeczkę chciała zabrać ze sobą. A gdybym akurat nie wszedł, może wzięłaby jeszcze coś. Czy gdyby to było złoto, to byś mi uwierzyła?

Beata podeszła do sekretarzyka i zaczęła przeglądać papiery. Na oko nic nie zginęło, wszystko leżało tak jak zawsze równo poukładane i posegregowane: rachunki, gwarancje, paszporty Andrzeja, Jędrka i jej samej...

Może rzeczywiście Justyna powinna zapytać, a nie sama grzebać w naszych rzeczach... - przemknęło jej przez myśl.

- Naprawdę, nie podoba mi się to - kontynuował Andrzej. - Uważam, że powinniśmy ją zwolnić.

Beata drgnęła.

- Zwolnić ją? - spytała, mając nieprzyjemne uczucie, że wie, co Andrzej powie za chwilę.

Andrzej wzruszył ramionami.

- Pewnie. I wtedy moglibyśmy z powrotem przyjąć do pracy Marysię. Do niej miałem zaufanie.

Oczy Beaty zwięzły się w małe szparki.

- Ale ja NIE!!! - wycedziła i wybiegła z sypialni, trzaskając drzwiami.

## ROZDZIAŁ 45

o tym, że pośpiech jest złym doradcą, Borys też

Słoneczny piątkowy poranek. Spakowane juki motocyklowe leżały rzucone na samym środku przedpokoju, tak że można sobie było o nie wybić zęby. Monika w kuchni kończyła właśnie robienie kanapek na drogę, choć Borys upierał się, że woli stawać w przydrożnych barach, bo to przecież dodatkowa atrakcja. Kiedy usłyszała sygnał sms - a, wytarła ręce w ście - reczkę i sięgnęła na parapet kuchenny po komórkę. Uśmiechnęła się. Borys. „Spakowana moja ślicznotka?”

- Wariat!

Wychyliła się przez otwarte okno i pomachała w kierunku swojego mężczyzny, który stał na zewnątrz, oparty o przepięknie wypucowany czerwony motocykl.

- Tak! Chodź na górę! - krzyknęła.

Szybko owinęła bułki w przeźroczystą folię, włożyła do plastikowego pudełka i zamknęła wieczko. Drugi pojemnik wypełniła ćwiartkami ogórków i rzodkiewkami, a kiedy sięgnęła po serwetki, żeby je też przygotować do wzięcia, przyszedł kolejny sms. Monika otworzyła go, nawet nie patrząc na nadawcę. Przez chwilę nie bardzo mogła się połapać, o co chodzi i dlaczego Borys pisze do niej takie dziwne rzeczy, aż zrozumiała, że tym razem to wcale nie on.

*„Obserwacja zakończona. Do zapłaty: 550 złotych. Materiał przesłałam na maila. Jest bardzo interesujący. Pozdrawiam. Aldona”.*

Monika przeczytała wiadomość dwa razy. Za pierwszym najbardziej rzuciło jej się w oczy: 550 złotych i wprawilo w niemiłe osłupienie. Aż takiej kwoty się nie spodziewała. A najbardziej denerwujące było to, że płaciła za nic, bo efekty pracy pani detektyw mogła sobie od razu wyrzucić do kosza. Ale kiedy przeczytała wiadomość drugi raz, zastanowił ją zwrot „interesujący”. Co może być interesującego w zdjęciach nowej

niańki, która przecież z Andrzejem romansu raczej mieć nie mogła? Przynajmniej - jeszcze nie. Monika spojrzała na kuchenny zegar. Borys mówił, że chce wyjechać koło dziesiątej, a było dopiero wpół do. Zaciekawiona, szybko spakowała prowiant do torby, postawiła ją w przedpokoju i pobiegła włączyć komputer.

W momencie, kiedy nacisnęła guzik, do mieszkania wszedł Borys.

- Hej, jak tam? Jedziemy?

- Momencik! - odpowiedziała. - Jedna chwila! Borys wszedł do pokoju.

- A co ty tu jeszcze robisz?

Monika odwróciła się od ekranu z przepaszającym uśmiechem.

- Muszę sprawdzić pocztę. To moment.

- Poczte? - zdziwił się Borys. - Przecież do ciebie nikt nie pisze. Sam spam.

Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie pogładził palcami szyję.

- Wiesz co, to taka śmieszna sprawa... - Monika zachichotała. Zaczęło się ładowanie Windows.

- Wynajęłam prywatnego detektywa... - Co?!

Monika pogładziła Borysa po ręku.

- Wiem, że to głupie... Beata, ta moja przyjaciółka, podejrzewała swojego męża, że ma romans z opiekunką... Zresztą nieważne... Więc wynajęłam detektywa, żeby obserwował ich dom.

- Ty?

- No tak... Chciałam pomóc... Na ekranie pojawiły się ikonki.

- I co z tym detektywem? - zainteresował się Borys.

- Mam raport na mejlu. Podobno interesujący... Strasznie jestem ciekawa, co tam może być na tych zdjęciach...

Monika sięgnęła po myszkę i kliknęła ikonkę Internet Explorer. Borys pochylił się i pocałował ją w ramię.

- Kicia, ty chyba żartujesz. Wyjeżdżamy! Monika spojrzała na niego błagalnie.

- Przecież to moment, Borys...

Objął ją w pasie i podniósł z krzesła jak piórko.

- Maszyna czeka. A te fotki sobie obejrzysz, jak wrócimy -  
stwierdził kategorycznie.

- Ale Misiu...

Borys pocałował Monikę, a potem lekko popchnął w kierunku przedpokoju.

- Żadne „Misiu”. Ruchy, ruchy! Jedziemy! I kliknął „Wyłącz komputer”.

## ROZDZIAŁ 46

### w którym wszyscy znikają

Zbliżała się dziesiąta i jak co piątek o tej porze Beatę czekała narada kierowników działów. Objuczona naręczem dokumentów podeszła do szklanych drzwi sali konferencyjnej i właśnie się zastanawiała, jaką częścią ciała je otworzyć, kiedy tuż obok wyrósł Włó - darczyk z działu nieruchomości.

- Pani prezes pozwoli... - uklonił się elegancko i położył dłoń na kłamec.

Beata obdarzyła go szerokim uśmiechem. Była dziś w wyjątkowo dobrym nastroju. Poprzedni wieczór spędziła bardzo miło, godząc się z Andrzejem po niefortunnej sprzeczce o niańkę, i rano obudziła się z dziwnym przeczuciem, że od dzisiaj wszystko wreszcie zacznie się układać.

Kiedy weszła do sali, wokół dużego owalnego stołu w kolorze karmelu siedziało już kilkanaście osób. Tylko dwa miejsca były wolne i Beata podeszła do jednego z nich. Z ulgą odłożyła na blat stos teczek i skoroszytów, spojrzała na wolne krzesło po swojej lewej ręce i spytała:

- A gdzie dyrektor Becker?

Odpowiedziała jej cisza. Nawet pani Zosia, kadrowa, nie miała na ten temat nic do powiedzenia. Beata szybko podjęła decyzję.

- Trudno. Zaczynamy bez niego - i kłamstwem byłoby stwierdzenie, że ją to zmartwiło.

Cztery godziny później Beacie udało się wreszcie uporać z większością spraw. A co najważniejsze - zrobiła to zupełnie sama, bez niczyjej pomocy. Zbyszka ciągle nie było, Becker od rana też się nie pokazał. I bardzo dobrze, bo jego nieobecność miała na Beatkę znakomity wpływ. Przede wszystkim uporządkowała sprawy związane z wypadkiem na budowie z poprzedniego dnia, a było tego sporo, od przygotowania dokumentacji poczynając, na wysłaniu kwiatów rannemu pracownikowi kończąc. Pewnie bardziej ucieszyłyby się z premii,

ale na to będzie jeszcze pora.

Efektom kilku godzin ciężkiej pracy było zmęczenie. Dlatego kiedy złożyła ostatni podpis na przygotowanych przez Maćka umowach, odchyliła się do tyłu, rozparła wygodnie w fotelu i z ulgą rozprostowała wreszcie nogi. Właśnie miała jeszcze rzucić pantofle, kiedy irytująco głośno odezwał się wewnętrzny telefon.

- Słucham?

- Komisarz Pędzicka do pani.

- Proszę łączyć - w głosie Beatki nie było cienia entuzjazmu. - Dzień dobry, w czym mogę pomóc?

- Tylko jedno pytanie. Gdzie jest pan Becker?

- Becker? Nie ma go dzisiaj.

- To wiem. Od rana próbuję go złapać. Ale gdzie go znajdę?

- Eeee.... hmy... Wziął chyba urlop.

- O Wierzbickim też pani mówiła, że wziął urlop - przypomniała z przekąsem Pędzicka. - A może pani przynajmniej wie, czym się ostatnio zajmował?

Becia westchnęła w słuchawkę.

- Pan Becker sam organizował sobie pracę. Ale proszę mi zostawić swój numer. Sprawdzę i za chwilę oddzwonię.

Odłożyła słuchawkę i pobieгла piętro niżej, do Bec - kera.

W jego sekretariacie zastała idealny, nienaturalny wręcz porządek. Rozejrzała się w poszukiwaniu sekretarki, ale nigdzie jej nie zauważyła. Dziwne, pomyślała, i weszła dalej, do gabinetu. Tu stanęła jak wryta.

Gabinet był wyczyszczony. Żadnych rzeczy Becke - ra, żadnych papierów, drobiazgów, nic. Tylko meble.

Beata odwróciła się na pięcie i pobieгла z powrotem do siebie. Złapała za słuchawkę telefonu i z trudem trafiając palcem w klawisze wybrała zapisany przed pięcioma minutami numer.

- Pani komisarz?! - prawie krzyknęła. - On zniknął! Nie ma jego rzeczy!

- Zaraz u was będę - odpowiedziała Pędzicka stanowczo.

Czekając na Pędzicką, Beata nie mogła przestać myśleć o Beckerze.

Gdzie on się mógł podziać, zastanawiała się, dlaczego nie



uprzedził, że go nie będzie? Dlaczego wszystkie jego rzeczy zniknęły? Być może nie zaniepokoiłaby się tak bardzo, gdyby nie notatka w kalendarzu Zbyszka: POWIEDZIEĆ BEACIE, ŻEBY UWAŻAŁA NA BECKERA.

W gabinecie rozległ się stłumiony sygnał komórki. Beata przez chwilę próbowała się zorientować, skąd dochodzi, po czym wstała od biurka i podeszła do szafy, skąd wyjęła torebkę, a z niej - telefon. Spojrzała na wyświetlacz.

- Andrzej?

- Beata, czy ty nie wiesz, gdzie może być Jędrzek? Beata z aparatem przy uchu wróciła na fotel.

- No jak to gdzie? Z opiekunką.

- Jasne. Ale nie ma ich ani w domu, ani w ogrodzie. Ona się do ciebie nie odzywała?

Beata wyczuła w głosie męża napięcie.

- Nie. Pewnie poszli na spacer i zaraz wrócą.

- Powinna mi powiedzieć. Cały czas byłem w klinice.

- OK. Zadzwoń do niej i dam ci znać. Rozłączyła się i wybrała numer Justyny. Po sześciu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

- Justynko, oddzwoń, proszę - nagrała się. Pół minuty później komórka znowu zadzwoniła.

- Justyna? - ucieszyła się Beata.

- Nie, ja - Andrzej był coraz bardziej zły. - Słuchaj, muszę teraz jechać na wizyty, a nie wiem, czy ona wzięła klucze. Złapałaś ją?

- Nie odebrała, nagrałam się. Pewnie zaraz od - dzwoni. Jak tylko się odezwie, dam ci znać.

- Czekam - warknął, i nie mógł sobie darować, żeby nie dodać złośliwym tonem: - Świetna opiekunka, z którą się nie można skontaktować.

Ależ on na tę Justynę cięty - pomyślała ze smutkiem Beata i wybrała ponownie numer niańki. I znowu po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa.

- Justyna, czekam na telefon - nagrała się jeszcze raz Beata. - Oddzwoń jak najszybciej.

Minęło pięć minut. Beata, coraz bardziej zaniepokojona,

zadzwoiła znowu. Poczta głosowa włączyła się po raz trzeci. Zaciśnęła palce na telefonie, a potem wybrała numer męża.

- Zdaje się, że ma wyłączony telefon. Poczekaj na nich jeszcze chwilę, albo... może przełoż tę wizytę na popołudnie?

Andrzej burknął coś niezrozumiałego. Beata czuła, że jest wściekły. I była pewna, że po tej historii temat zwolnienia niańki powróci jak bumerang.

Dlatego po raz kolejny spróbowała połączyć się z Justyną i po raz kolejny próba spełzała na niczym. Bardzo to było denerwujące i przy całej swojej sympatii dla opiekunki Beata zaczęła być na nią zła. Dlaczego wychodząc nie zameldowała się Andrzejowi? Przecież wie, że znalazła się na cenzurowanym. Mogłaby zachować minimum ostrożności.

Wzięła komórkę do ręki, żeby znowu próbować się dodzwonić do Justyny, ale nie zdążyła wycisnąć numeru, bo aparat zaświecił i zagrał. Andrzej.

- Zniknęły Jędrka rzeczy! - usłyszała. - Beata, NIE MA JEGO RZECZY!!!

Beata opadła na fotel. Słowa Andrzeja docierały do niej bardzo powoli.

- Jak to: nie ma jego rzeczy? Jakich rzeczy? Nie rozumiem...

- Nie ma jego szczoteczki do zębów, części zabawek, ubrań... Tak jakby go ktoś spakował na wyjazd... Beata, o co tu chodzi?

- O Boże! - zamknęła oczy i skuliła się w sobie. Na policzkach poczuła łzy. - Jadę do domu! Gdyby... gdyby wrócili, dzwoń!

Wybiegła z gabinetu, nie kryjąc nawet zapłakanej twarzy przed Maćkiem, ale sekretarz tym razem powstrzymał się od pytań.

Akurat kiedy Beata dopadła windy, srebrne drzwi rozsunęły się, ukazując komisarz Pędzicką.

- O, pani wychodzi? - zdziwiła się na widok Beaty. W jej głosie była pretensja.

- Ja... Moje dziecko zniknęło. Muszę jechać do domu.

Pędzicka przyjrzała się uważnie jej czerwonym oczom i zrujnowanemu makijażowi.

- Jadę z panią - oświadczyła zdecydowanie.

## ROZDZIAŁ 47

### w którym Beatce zawala się świat

Beata gwałtownie zahamowała przed domem i wyskoczyła z samochodu. Tuż za nią zatrzymał się granatowy opel komisarz Pędzickiej. Andrzej czekał w otwartych drzwiach wejściowych.

- Są?! Są?! - krzyczała Beata, biegnąc w stronę męża. - Wrócili?

Andrzej pokręcił przecząco głową. - Nie.

Otworzył ramiona i chciał objąć żonę, ale Beata ominęła go i wbiegła do środka.

- Jędrus! - zaczęła krzyczeć od progu. - Justyna!

- Beatka, ich tu nie ma! - krzyknął za nią Andrzej, ale nie słuchała. Sprawdzala pomieszczenie za pomieszczeniem, nawołując to dziecko, to opiekunkę. Kiedy przekonała się, że synka nie ma na dole, pobiegła na piętro. Pędzicka podeszła do Andrzeja, który stał zatroskany na środku holu.

- Jestem z policji. Komisarz Pędzicka - wyciągnęła rękę na powitanie. - Postaram się pomóc.

Andrzej uściśnął mocno jej dłoń.

- Witam. Ja... przepraszam, pójdę do żony - ruszył szybkim krokiem w kierunku schodów.

Ale zanim zdążył na nie wejść, Beata zbiegła z góry. W oczach miała panikę.

- W piwnicy sprawdzałeś?!

Andrzej i Pędzicka wymienili między sobą zatroskane spojrzenia.

- Kochanie - przytrzymał żonę za ramię. - Uspokój się, to nic nie da!

Ale Beata stanowczym ruchem uwolniła się od jego dłoni, dopadła do drzwi do piwnicy i otworzyła je z rozmachem.

- Jędrus! Jędrus! Gdzie jesteś?! Nie chowaj się przed mamusią!

Mąż podszedł do niej od tyłu i objął mocno ramionami.

- Beatka, sprawdziłem cały dom. Ich tu nie ma. Beata próbowała go odepchnąć.

- Zostaw mnie! - odwróciła się do męża przodem i zaczęła z całej siły uderzać pięściami w jego klatkę piersiową. - Zostaw! Byłeś tutaj i pozwoliłeś mu zginąć! To twoja wina!

Andrzej odsunął ją od siebie i patrząc prosto w oczy powiedział dobitnie.

- Uspokój się! Byłem w pracy. Oboje byliśmy w pracy. To niczyja wina!

Beata stała przez chwilę z opuszczonymi ramionami, po czym rzuciła mu się na szyję, wtuliła w niego mocno i zaczęła niepohamowanie szlochać.

- Andrzej... co się stało? Gdzie oni są...? No, gdzie?

- Już, już - gładził ją po głowie i całował we włosy. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Chodź ze mną.

Wziął ją pod rękę, zaprowadził do salonu i ostrożnie posadził na kanapie. Potem przyniósł z kuchni szklanekę wody i tabletkę relanium.

- Połknij.

Dłonie drżały Beacie tak bardzo, że o mało co nie wylała wody na siebie.

- Proszę, niech pani usiądzie - Andrzej przypomniał sobie o pani komisarz.

Pędzicka uspokajająco uniosła rękę i zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko Beaty, która po chwili przestała szlochać, objęła ramionami dużą, ozdobną poduszkę i oparła na niej brodę. Miała zamknięte oczy.

Pędzicka odchrząknęła.

- Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? - zwróciła się półgłosem do Andrzeja.

- Tak, jasne - podniósł się z kanapy. - Chodźmy do kuchni.

- Nie musicie nic przede mną ukrywać - cichym, ale już dużo spokojniejszym głosem odezwała się Beata. - Chcę wszystko wiedzieć.

- Może niech pani odpocznie, a ja zadam kilka pytań mężowi...

- Nie! - zaprotestowała stanowczo Beata. - Chcę być przy tym!

- Dobrze... - komisarz usiadła z powrotem, wyjęła ze swojej przepastnej torby gruby, sfatygowany notes i długopis.

- O której ostatni raz widział pan syna? Andrzej przez moment się zawahał.

- Około dziesiątej trzydzieści. Miałem przerwę w przyjęciach i przyszedłem na chwilę z kliniki do domu. Jędrak bawił się z opiekunką w ogrodzie.

- Rozmawiał pan z nią, może wspomniała o jakimś spacerze, wyprawie na zakupy...

- Skąd! Nie podchodziłem do nich. Widziałem, że Mały świetnie się bawi, więc tylko mu pomachałem. A z opiekunką starałem się nie rozmawiać...

- Dlaczego? - Pędzicka podniosła wzrok znad notesu, wyraźnie zainteresowana.

Andrzej rzucił szybkie spojrzenie na Beatę, ale w jej oczach znalazł jedynie cierpienie i strach.

- Ja... ona mi się nie podobała. Od początku. Zachowywała się... podejrzenie.

I opowiedział historię z książeczką zdrowia. Komisarz słuchała uważnie. Kiedy skończył, wyglądała na naprawdę zaniepokojoną.

- Poproszę o dane tej osoby - powiedziała stanowczo.

Zapadła cisza.

- Tak? - policjantka trzymała dłoń z długopisem nad notesem.

- Ona się nazywa Bednarska. Justyna Bednarska... - odezwała się wreszcie cichym głosem Beata.

- Bednarska... - zanotowała komisarz. - Adres?

- Nie znam...

Pędzicka, zaskoczona, podniosła wzrok znad notatek.

- Jak to pani nie zna? Nie spytała jej pani o adres?

- Spytałam. Powiedziała, że mieszka w Nadarzynie... Ale dokładnego adresu nie podała.

- Dobrze... A numer dowodu osobistego?

- Też nie mam - głos Beaty załamał się, a po twarzy znowu zaczęły płynąć łzy.

Andrzej przysunął się do żony, przytulił mocno i zaczął ją gładzić po ramieniu.

Ale Beata nie mogła się uspokoić.

- Jak mogłam być taka głupia! - szlochała. - Jak mogłam być taka głupia!

- Czy podała państwu jakiś telefon? Komórkowy, stacjonarny?

- Andrzej, możesz mi podać torebkę? - poprosiła cicho Beata.

- I chusteczki?

Kiedy po chwili podyktowała Pędzickiej numer Justyny, pani komisarz od razu go wybrała. Kilka sekund później gdzieś z dworu dobiegł daleki, ale wyraźny dzwonek komórki. Wszyscy troje spojrzeli po sobie zdziwieni, a potem jednocześnie poderwali z miejsc.

- Są! Nareszcie! - krzyknęła z ulgą Beata. Rzuciła się w kierunku wyjścia na taras, Pędzicka i Andrzej również. Ale kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz, stało się jasne, że ich radość była przedwczesna. Jędrak i opiekunka nie wrócili. Sygnał dobiegał z dużej kępy iglaków rosnących pod płotem. Komisarz spojrziała na Andrzeja i Beatę.

- Proszę tu zostać - poleciła stanowczo. Wróciła na chwilę do pokoju, wyjęła coś ze swojej torby i zbiegła po schodkach do ogrodu. Kiedy wróciła, w rękę miała foliową torebkę, a w niej - telefon komórkowy.

- Zgubiła go? - spytał Andrzej z napięciem w głosie.

Pędzicka pokręciła przecząco głową.

- Nie sądzę. Prawdopodobnie stanęła tu, przy balustradzie, zamachnęła się i rzuciła.

Beacie zrobiło się słabo. Oparła się plecami o framugę drzwi tarasowych.

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

Komisarz podeszła do Beaty i patrząc jej w oczy odpowiedziała, powoli ważąc słowa.

- Telefon już jej nie był potrzebny. Nie mogła go dłużej używać, bo bała się, że ją namierzemy.

Beata skuliła się w sobie, jakby ktoś ją z całej siły kopnął w brzuch.

- Czy to znaczy, że...? - te słowa nie mogły jej przejść przez gardło.

- Tak. Prawdopodobnie państwa syn został porwany.

Zbliżał się wieczór. Pomimo grubego koca, którym była przykryta, Beata czuła przenikliwy chłód. Leżała na kanapie i spod półprzymkniętych powiek śledziła, co dzieje się w domu. W kuchni przy stole jakiś funkcjonariusz po cywilnemu rozmawiał z komendantem miejscowej policji, Pędzicka kręciła się po holu z komórką przy uchu, a technik policyjny kończył podłączać do ich telefonu stacjonarnego jakąś specjalistyczną aparaturę. Andrzej z laptopem na kolanach ulokował się blisko żony, w fotelu naprzeciwko telewizora i stukał w klawisze, prawdopodobnie rozsyłając mejle.

Choć środki uspokajające podane przez Andrzeja sprawiły, że Beata przestała płakać i jej ciało wpadło w rodzaj letargu, to jednak myśli kłębiły się pod czaszką jak węże na głowie Gorgony. Gdzie jest teraz Jędrus, kto się nim zajmuje, kto go położy spać, czy nic mu nie brakuje... Czy nie dzieje mu się jakaś krzywda? Pewnie płacze... pewnie nie ma go kto przytulić, jej biednego, maleńkiego syneczka...

O Boże, kiedy ci porywacze się wreszcie odezwą?! Od momentu, w którym Mały zniknął, minęło już przecież kilka godzin... Najgorsza była ta cisza... ta niepewność... Gdyby zadzwonili, wiedziałyby przynajmniej, że Małemu nic nie jest... Z drugiej strony już na zapas martwiła się, jakie będą ich żądania. A jeżeli Beacie nie uda się zebrać takich pieniędzy? Dlaczego? Dlaczego właśnie im się to przytrafiło? Przecież nikomu nie zrobili nic złego ani nie afiszowali się ze swoim majątkiem.

Ale podobno doganiamy Europę, jeśli chodzi o ilość porwań dla okupu, przypomniawszy sobie nagle zasłyszana gdzieś informację... Gdzie to było?

Uniosła się na łokciu i sięgnęła po torbę, którą Andrzej przyniósł tu poprzednio, kiedy potrzebowała numeru do Justyny. Choć po proszkach działała na zwolnionych obrotach, udało jej się całkiem sprawnie znaleźć we wnętrzu pełnym drobiazgów niewielki, skórzany pojemnik na wizytówki. Miękkimi palcami zaczęła przerzucać kolorowe kartoniki i wreszcie chwyciła jeden: Bartosz Kuncewicz, reporter.

W tym momencie w ciszę letniego wieczoru wtargnął ostry,

wysoki dzwonek telefonu stacjonarnego. Pędzicka i funkcjonariusz po cywilnemu przybiegli natychmiast do salonu i wszyscy zebrali się wokół aparatu.

Technik dał znak głową.

- Andrzej, odbierz - szepnęła Beata.

Mąż wziął głęboki oddech i sięgnął po słuchawkę.

- Tak, słucham?

Beata zacisnęła palce na kocu.

- Nie, dzisiaj już nie przyjmuję. Do widzenia - rozłączył się. -

Klient - wyjaśnił. - Tylko klient...

Beata opadła na poduszki z bolesnym westchnieniem. To czekanie było nie do zniesienia. Nagle przypomniała sobie o wizytówce, którą jeszcze przed chwilą miała w ręku. Odnalazła ją w zagłębieniu koca i podała komisarz.

- On się zajmuje porwaniami dla okupu. Może mógłby nam pomóc? Co pani o tym myśli? - spytała.

Andrzej usiadł obok Beaty i wziął ją delikatnie za rękę. Oboje patrzyli z uwagą na Pędzicką, która obracała w palcach wizytówkę Kuncewicza.

- Sama nie wiem... Porywacze ciągle milczą... Może rzeczywiście to my powinniśmy wykonać pierwszy ruch? Ze stołecznej już jedzie specjalista od rysopisów, sporządzimy komputerowo portret pamięciowy opiekunki. Może będzie go można wykorzystać w programie... Dobrze - dodała po chwili zastanowienia. - Niech państwo do niego zadzwonią.



## ROZDZIAŁ 48

o tym, jak Monika unosi się honorem

...Lato, lato wszędzie, zwariowało, oszalało, moje serceee...!!!

No chyba faktycznie musiałam oszaleć, myślała Monika. Becia miała rację, kiedy mnie ostrzegała. Co za idiotka ze mnie, totalna, globalna idiotka!

Było trochę po północy. Szła szybko wzdłuż plaży, ścigana przez irytujące słowa piosenki i przez Borysa.

- Monika! Poczekaj! Nie wygłupiaj się! Udawała, że nie słyszy, ale dogonił ją i zatrzymał.

- Kicia, no co jest? - objął ją w pasie i próbował przyciągnąć do siebie, ale odepchnęła go bez wahania.

- Zostaw mnie - powiedziała powoli i wyraźnie. - Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

- Odbiło ci? O co ci chodzi?

- O nic! - Monika machnęła lekceważąco ręką. - A właściwie o wszystko. Na przykład to, że się przed chwilą całowałeś z tą szczeniara... Jak ona ma na imię? Kingunia?

Borys zeszywniał.

- Widziałaś? - wycedził i zrobił krok w jej kierunku.

- Niespecjalnie się kryłeś - zauważyła Monika z przekąsem. - Ale nie przeszkadzaj sobie. Wracaj

do niej, pewnie już tęskni... Ja też wracam. Tyle, że do domu.

Twarz Borysa zmieniła się, jak za dotknięciem różdżki.

- Zostań chociaż do jutra. Nie możesz teraz wyjechać! - powiedział, wyraźnie zdenerwowany.

Monika wzruszyła ramionami.

- A założymy się?

## ROZDZIAŁ 49

### niestety mało optymistyczny

Rano Beata była nieprzytomna. Noc przespała tylko dzięki relanium, którym naszpikował ją Andrzej, a kiedy się obudziła, miała dziwne wrażenie, że na jej głowie zaciskają się stalowe obręcze, stopniowo miażdżąc jej czaszkę. Mimo to zwlokła się z łóżka, owinęła byle jak szlafrokiem i starając się opanować zawroty głowy, zeszła na dół.

Zajrzała do kuchni i w pierwszym odruchu pomyślała, że źle trafiła. Zastała tam bowiem trzech zupełnie obcych mężczyzn. Dwóch siedziało przy stole i piło kawę z jej ulubionych filiżanek, trzeci natomiast zalewał właśnie wrzątkiem gorący kubek. Nawet jej nie zauważyli, wpatrzeni w mały telewizorek na lodówce, ustawiony na poranne pasmo informacyjne.

- Dzień dobry - przywitała się zachrypniętym głosem. - Nie widzieli panowie mojego męża?

Mężczyźni, zapewne funkcjonariusze po cywilnemu, pokręcili przecząco głowami. Beata, która marzyła o kawie, po chwili wahania poszła jednak dalej szukać Andrzeja. Z kuchni wołała skorzystać, jak tamci skończą.

Męża znalazła na tarasie. Siedział w wiklinowym fotelu i patrzył nieobecny wzrokiem przed siebie. Tak jak Beata, był potwornie zmęczony - tej nocy w ogóle nie zmrużył oka.

Beata podeszła do niego i położyła mu dłonie na ramionach. Odwrócił do niej głowę i powiedział ze smutkiem.

- Ciągle nic.

Beata przygryzła wargi.

- Pędzicka dzwoniła, że właśnie do nas jedzie - ciągnął dalej.

- Może od niej się czegoś dowiemy...

- Halo! - usłyszeli wołanie od strony kuchni. - Proszę państwa! Szybko!

Andrzej poderwał się z fotela, o mało go nie przewracając, i oboje pobiegli zobaczyć, co się stało.

Niewielki ekran kuchennego telewizora wypełniała twarz Jędrka ze zdjęcia, które poprzedniego wieczoru Andrzej przesłał mejlem do Kuncewicza. Beata poczuła, że łzy znowu zaczynają płynąć jej po twarzy.

- Wszelkie informacje na temat zaginionego dziecka prosimy kierować pod telefonem widocznym na dole ekranu. To samo dotyczy poszukiwanej kobiety, używającej nazwiska Justyna Bednarska...

Zdjęcie Jędrka ustąpiło miejsca portretowi pamięciowemu opiekunki, który wczoraj w nocy sporządził przy pomocy Andrzeja i Beaty policyjny rysownik. Beata po raz pierwszy pomyślała, że jej nienawidzi.

Godzinę później pojawiła się Pędzicka. Zmęczona i też niewyspana, od progu poprosiła o kawę.

- Nie mam dobrych wiadomości - zaczęła, już z filiżanką w rękę. - Policjanci z Czerwińska przeczesali okolicę, bez efektu. Tuż po emisji programu rozdzwoniły się telefony, ale po sprawdzeniu tylko jeden ślad okazał się dobry - jakiś mężczyzna powiedział, że widział tę dziewczynę w okolicach Nadarzyna, w hotelu George. Od razu pojechały na miejsce dwie jednostki, ale niestety... - zawiesiła na chwilę głos.

- Co się stało?! - głos Beaty załamał się, przechodząc w histeryczny pisk. - Co z Jędrkiem?!!!

- Nic, proszę się uspokoić - Pędzicka starała się, żeby jej głos brzmiał jak najłagodniej. - O dziecku nadal nic nie wiemy. Ale Bednarska rzeczywiście mieszkała w George'u. Zameldowała się pod nazwiskiem Milewska, tyle że kradzież dowodu na to nazwisko zgłoszono miesiąc temu w Toruniu...

- I co? Zatrzymaliście ją? - Andrzej pochylił się do przodu, wpatrzony w policjantkę.

Pędzicka pokręciła przecząco głową.

- Bardzo mi przykro. Wyprowadziła się wczoraj wieczorem.

- Wczoraj wieczorem? Więc była z Jędrkiem?

- No właśnie nie. Osoba z recepcji twierdzi, że nie było z nią żadnego dziecka.

Beata spojrzała z przerażeniem na Andrzeja.

- O Boże! Co to znaczy?! Czy ona go... Czy ona go...

Andrzej uściskał mocno jej dłoń.

- Nawet tak nie myśl! Przecież nie mogła się z nim pokazywać.  
Pewnie go zostawiła w samochodzie albo...

- Ona nie ma samochodu - przerwała mu w tym momencie  
Pędzicka. - Jeździ motorem.

## ROZDZIAŁ 50

### który się dzieje nad rzeką

Rzeka płynęła leniwie, mijając pola, wijąc się wśród łąk i wygrzewając w słońcu. Dopiero ostatni odcinek do morza pokonywała w cieniu starych drzew, pochylnych nad wodą, a wypływając z lasu, rozlewała się płytko i szeroko, tworząc idealne miejsce do zabaw dla dzieci. Mały, może dwuletni chłopczyk brodził właśnie w nadbrzeżnej płyćźnie, obserwując w skupieniu przemykające między nogami maleńkie rybki.

Parę kroków dalej, na piasku, stał wysoki, szeroko uśmiechnięty mężczyzna i pstrykał małemu zdjęcie za zdjęciem. W pewnym momencie chłopczyk potknął się o wystający z piasku kamień i z głośnym pluśnięciem przewrócił do wody.

- Mami... mami... - rozplakał się, przestraszony. Mężczyzna roześmiał się i podszedł szybko do niego.

- Hej, my chłopaki trzymamy się razem - przykucnął przy małym i poczochnął mu serdecznie jasne włosy. - Baby nam niepotrzebne. No, nie płacz, przecież jesteś dzielny.

Złapał chłopczyka pod pachy, podniósł go i zaczął podrzucać do góry. Raz, drugi, trzeci... Mały, z początku wystraszony, po chwili wybuchnął śmiechem.

- Jesce, jesce! - krzyczał radośnie.

## ROZDZIAŁ 51

### w którym Beatka zaczyna kojarzyć fakty

Kiedy komendant policji w Górkach, Jacek Sitek, podjechał pod dom Stokowskich, na podwórku stało już pięć aut, musiał więc zaparkować na ulicy. A właściwie nie on, tylko młody funkcjonariusz, który często wyreżał szefa jako kierowca.

- Czekasz - polecił komendant podwładnemu. - Wracam za kwadrans.

Kiedy tylko zniknął we wnętrzu domu, kierowca wysiadł z radiowozu i zaczął się wygrzewać w ostrych promieniach południowego słońca.

- Hej, panie władza - usłyszał nagle tuż obok. - Kopsnij pan szluga.

Funkcjonariusz aż podskoczył. Tuż za nim, oparty o przerdzewiały rower i rozsiewający wokół intensywną woń alkoholu stał Maciejka - znany w okolicy amator taniego wina i cudzej własności, częsty gość na komendzie w Górkach. W wieku bliżej nieokreślonym, wysoki i chudy, o bujnym, kruczoczarnym zarostie, ubierał się niechlujnie, lecz z wdziękiem. I nigdy, ale to nigdy się nie spieszył.

- A co ty tu robisz? - zainteresował się policjant, podając mu papierosy. Maciejka uśmiechnął się niewinnie i schował całą paczkę do kieszeni.

- Tak sobie szedłem na górkę, na słońcu posiedzieć - ruchem głowy wskazał niewielkie wzniesienie porośnięte brzozaami, tuż za domem weterynarza.

Potem nachylił się konfidencjonalnie i zapytał chrapliwym szeptem:

- Obrobili doktorka?

- Nie, dlaczego? - zdziwił się funkcjonariusz, obserwując kątem oka drzwi wyjściowe domu Stokowskich, przez które właśnie wychodził komendant Sitek.

- To po co wy tutaj?

- Nie słyszałeś? Cała wieś trąbi. Dzieciak im zginął. Maciejka z wrażenia aż się zachwiał i gdyby nie rower, pewnie wylądowałby na asfalcie.

- Kto by pomyślał! Nieszczęście takie... O, pan komendant! Sitek podszedł do samochodu.

- Jakie nieszczęście, Maciejka? - spytał z zawodowym zainteresowaniem.

- No u Stokowskich! Był dzieciak, nie ma dzieciaka! A ja żem go jeszcze wczoraj widział!

Sitek, który wsiadał właśnie do radiowozu, cofnął nogę i odwrócił się do pijaczka.

- Wczoraj? Na pewno?

Maciejka walnął się z całej siły pięścią w wąty tors.

- Bóg mi świadkiem!

- To chodźcie ze mną - Sitek chwycił Maciejkę mocno pod ramię i pociągnął w kierunku domu Stokowskich.

Niech pan się skupi: która to mogła być godzina?

Maciejka, siedzący przy stole w kuchni i przepytywany przez komisarz Pędzicką, otarł wierzchem dłoni spocone czoło.

- Dwunasta? Pierwsza?

- Ale to ja się pytam... Maciejka westchnął ciężko.

- A cholera wie! Zalegliśmy z chłopakami w cieniu, bo upał sakramencki, i piwko żeśmy obciągali... Może to była dwunasta, może pierwsza, kto by tam pilnował. Ale jeszcze rano. A że widok stamtąd dobry... to ją od razu zobaczyłem. Szła drogą taka chuda z wózkiem, a w wózku dzieciak doktorka.

- Jest pan pewien, że to było jego dziecko? Maciejka wzruszył ramionami.

- Jak wyszli z jego ogrodu, to czyje mogło być? Beata i Andrzej, którzy z boku przysłuchiwali się tej rozmowie, spojrzeli po sobie z rozpaczą. Mieli nadzieję, że słowa tego człowieka przybliżą ich do Jędrka. Niestety, jak do tej pory wyłącznie powodowały ból.

- I co dalej?

- Nie mieliśmy co robić, to patrzyliśmy za nią. Podeszła kawałek, do takiego samochodu ekstra, wpakowała dzieciaka do środka, wózek też, sama wsiadła i ziuuuu, pojechali.

Pędzicka oparła się o stół i nachyliła do Maciejki.

- Wsiadła z dzieckiem do samochodu?!

- Przecież mówię.

- Proszę mi go dokładnie opisać.

- Wypasiona bryka, kolor taki myszaty, błyszczący... Elegancja, Francja! Kupę szmalu trzeba mieć, żeby takim jeździć.

Beata drgnęła.

- Jeszcze raz może pan powiedzieć, jakie to było auto? - spytała, podchodząc do stołu.

- Audi, nówka. U nas na takie to się mówi „Władca pierścieni”... Takie światła mają bajerne, jak na choince...

Pędzicka popatrzyła uważnie na Beatę.

- Z czymś się to pani kojarzy?

- Nie wiem, czy to ważne, ale takim autem jeździ Becker...

Komisarz wyprostowała się gwałtownie.

- Mówiła pani wczoraj, że nie przyszedł do pracy i że zniknęły jego rzeczy?

Przerażona Beata skinęła głową.

- Myśli pani, że on może mieć coś wspólnego z porwaniem Jędrusia?

- Nie wykluczam. Czy ma pani jego telefon?

- Tak. Zadzwoń?

- Proszę mi podać.

Pędzicka wybierała numer trzy razy. Za każdym włączała się poczta głosowa.

- Czy w biurze mają jego adres? Beata przez chwilę się zastanawiała...

- Nie. Moglibyśmy spróbować przez firmę z Berlina, ale...

Nagle coś ją tknęło.

- Pani komisarz, ja chyba wiem, gdzie on mieszka.



## ROZDZIAŁ 52

czyli co można znaleźć za pralką

- Na pewno tutaj? - Tak.

Komisarz zdecydowanym ruchem otworzyła drzwiczki samochodu. Beata i Andrzej, którzy jechali razem z nią, również wysiedli. Tuż za nimi zatrzymał się radiowóz i po chwili dołączyło do nich dwóch mundurowych i jeden policjant w cywilu.

- Idziemy - zarządziła Pędzicka.

Kiedy powiedziała przez domofon, że są z policji, portier bez dalszych pytań wpuścił ich do środka. W przestronnym, wyłożonym jasnym piaskowcem holu ich kroki niosły się donośnym echem. Podeszli prosto do kontuaru recepcji.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć? - zza ogromnego bukietu kremowych róż, ustawionego na ladzie, wychylił się portier, młody, przystojny mężczyzna w granatowym uniformie.

- Policja - powtórzyła Pędzicka i machnęła mu przed nosem legitymacją. - Czy mieszka u państwa niejaki Kurt Becker?

- Becker?

- Przystojny, wysoki szatyn, jeździ sportowym szarym audi.

- A ten... To będzie lokal 36a, szóste piętro. Ale wydaje mi się, że go nie ma. Nie widziałem go od wczoraj. Ani jego, ani tego drugiego pana...

Pędzicka nachyliła się do mężczyzny.

- Ktoś u niego mieszkał?

- Raczej to pan Becker mieszkał u kogoś - sprawdził w komputerze. - Otto Miller. To on wynajął mieszkanie.

- Coś więcej pan zauważył? Jacyś goście? Kobiety? Dziwne zachowanie?

- Nie, żadnych kobiet...

- Nie było z nimi problemów? - podpytywała komisarz.

- To spokojni biznesmeni. Kulturalni. Tylko jedna rzecz... mnie trochę zdziwiła. Chociaż to może nie jest ważne...

- Proszę mówić.

- Wydawało mi się, że... mieszka z nimi dziecko.

- O Boże! - krzyk Beaty rozbrzmiał dramatycznym echem w pustej przestrzeni holu.

Pędzicka szybkim ruchem sięgnęła do bocznej kieszeni spodni.

- To dziecko? - położyła na ladzie zdjęcie Jędrka.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Nie mogę rozpoznać, bo go nie widziałem. Tylko jak pani wspomniała o tym dziwnym zachowaniu... Widziałem, jak pan Becker nosił na górę pieluchy... A po co by mu były pieluchy, jakby nie miał dziecka, prawda? Pomyślałem wtedy, że powinien to jednak zgłosić w administracji...

Andrzej objął Beatę i mocno przytulił. Pędzicka odwróciła się do nich.

- Idziemy na górę. Proszę, żeby państwo tu poczekali.

Beata natychmiast przestała płakać.

- Muszę iść z panią - powiedziała cicho, ale stanowczo.

Pędzicka pokręciła przecząco głową.

- Nie ma takiej opcji. Ale obiecuję, że jak tylko wejdziemy do środka i będziemy coś więcej wiedzieć, zwołamy państwa.

Pobiegła w kierunku wind. Beata, pomimo wyraźnego zakazu, chciała ruszyć za nią. Zrobiła krok, kiedy Andrzej chwycił ją mocno za ramię i przytrzymał.

- Musimy czekać.

Klatka schodowa na szóstym piętrze była przestronna i jasna.

Pędzicka i funkcjonariusz w cywilu podeszli do drzwi z mosiężnymi cyframi 36 i przez chwilę czekali, aż z drugiej windy wysiądzie reszta funkcjonariuszy. Kiedy już wszyscy zgromadzili się pod drzwiami, komisarz nacisnęła dzwonek. Najpierw lekko, potem mocniej... Nikt nie otwierał.

Nie było sensu czekać. Komisarz skinęła głową na jednego z mundurowych i sięgnęła do kabury po pistolet...

Drzwi ustąpiły dopiero po trzecim uderzeniu. Policjant wpadł do środka, za nim Pędzicka i pozostali funkcjonariusze. Trzymając pistolety w pogotowiu posuwali się do przodu, pomieszczenie za pomieszczeniem. Apartament był pusty.

- Andrzej, jak długo jeszcze? - szepnęła Beata, wtulona w

opiekuńcze ramiona męża. Od dziesięciu minut siedzieli na skórzanej kanapie, ustawionej w zacisznej części holu, i czekali. To było najdłuższe dziesięć minut w ich życiu. - Co oni tam robią...

W tym momencie odezwała się jej komórka. Beata chwyciła aparat.

- Tak? Już! - chwyciła męża za rękę. - Idziemy, wołają nas.

Chwilę później byli na górze, w apartamencie. Pę - dziką znaleźli w salonie, gdzie chodząc dookoła stołu rozmawiała z kimś przez komórkę.

- To kiedy będą? Żartujesz! - wściekała się. - Za godzinę to ja chcę mieć wyniki, a nie dopiero ekipę! Muszę kończyć - na widok Stokowskich policjantka zamknęła komórkę.

Beata podbiegła do Pędzickiej i złapała ją za rękę.

- Gdzie Jędrus? Znaleźliście go?

- Nie znaleźliśmy nikogo. Ale... proszę za mną. Poprowadziła ich korytarzem i otworzyła szeroko drzwi do jednej z sypialni.

- Czy mogliby państwo rzucić okiem?

Beata zrobiła krok do środka i na moment zamarła, po czym na miękkich nogach podeszła do łóżka, na którym leżała sterta rzeczy.

- To... to jego zabawki... - szepnęła, klękając na podłodze i biorąc do ręki czerwony strażacki samochodzik. - Pani komisarz, gdzie on teraz jest? Gdzie on jest? - ze łzami w oczach odwróciła się do Pędzickiej.

- Szefowo! Tutaj! Szybko! - dobiegło wołanie z drugiej części mieszkania.

Wszyscy troje jednocześnie pomyśleli o tym samym.

- Proszę tu zostać - rzuciła komisarz.

Ale tym razem ani Beata, ani nawet Andrzej nie zamierzali się jej słuchać, i kiedy tylko zniknęła w korytarzu, pobiegli za nią.

W niewielkim gospodarczym pomieszczeniu tuż obok kuchni ktoś leżał. Z korytarza nie było widać wyraźnie, co się dzieje w środku, ale słyhać było rozmowę Pędzickiej z jakimś funkcjonariuszem.

- Jak go mogliście wcześniej nie zauważyć! - grzmiała. -

Mieliście za zadanie przeszukać lokal, i co?!

- Między pralkę a ścianę był wciśnięty! - tłumaczył się pani komisarz podwładny. - Kto by tam zaglądał?

- Żyje?

- Tak, ale jest nieprzytomny, wezwaliśmy ambulans.

- Jakież obrażenia?

- Rana z tyłu głowy. Od ogłuszenia. Możliwe, że pęknięta czaszka.

Beata zacisnęła palce na dłoni Andrzeja. Czy to możliwe, że znaleźli Beckera?

- Przepraszam, ja muszę - zaczęła przepychać się między funkcjonariuszami. - Proszę mnie puścić...

- Puście panią! - rozkazała komisarz słysząc jej głos. - Może pani będzie wiedziała, kto to?

Beata wyminęła ostatniego funkcjonariusza i stanęła nad rannym.

- O Boże! - jęknęła na widok mężczyzny.

- Rozpoznaje go pani?

- Oczywiście! To Zbyszek!

## ROZDZIAŁ 53

### w którym Monika nareszcie otwiera mejla

Zasuwa odskoczyła z charakterystycznym stukotem. Monika weszła do mieszkania i z impetem rzuciła na podłogę dwie wypchane plastikowe torby. Z jednej natychmiast wysypały się na podłogę przybory kosmetyczne. Ukucnęła, żeby je pozbierać, i nagle załapała się łzami. Co za koszmar! - myślała o ostatnich dwudziestu czterech godzinach. Dlaczego mnie to zawsze spotyka?! Dlaczego jak już mi się trafi jakiś facet, to musi być do bani?!

Cały ten wyjazd od początku był jakiś... nie taki. Najpierw Borys wyciągnął ją z domu w dzikim pośpiechu, a na miejscu spotkania motocyklistów przed drogą okazało się, że coś mu się przestawiło i mają jeszcze całe pół godziny czekania w pełnym słońcu. Potem, kiedy chciała zadzwonić do Beaty i zapytać, co nowego w sprawie Zbyszka, nie mogła znaleźć komórki, choć głowę by dała, że ją chowała do torebki, no i najgorsze - wśród znajomych, z którymi mieli jechać nad morze, była niejaka Kinga.

Śliczna, filigranowa brunetka, mniej więcej osiemnastoletnia, w skórzanych spodniach i obcisłym podkoszulku, od początku bezczelnie podrywała Borysa. Chichotała, trzepotała rzesami i rzucała mu zachęcające spojrzenia, komentowane rubasznie przez resztę towarzystwa, a Monika z minuty na minutę czuła się coraz bardziej nie na miejscu.

Zwłaszcza, że Borysowi najwyraźniej zainteresowanie dziewczyny imponowało. Za to w stosunku do Moniki zrobił się jakby... mniej czuły i wylewny, traktując ją, jakby była przypadkową towarzyszką podróży.

Wieczorem, po przyjeździe na kemping koło Sobieszewa, wszyscy wylegli przed namioty i ruszyła impreza. Co ja tu właściwie robię, myślała Monika, siedząc z boku na pustej skrzynce po piwie i obserwując, jak Borys szaleje wokół ogniska

ze swoim towarzystwem. Po co on mnie tu zaprosił? Po co tak bardzo nalegał na wyjazd z Warszawy, skoro teraz mogłabym dla niego nie istnieć?

Nie mogąc znieść widoku obrzydliwych umizgów Kingi, poszła do namiotu po sweter. A kiedy wracała, za budynkiem łazienek natknęła się na Borysa namiętnie całującego Kingunię. Nawet jej nie zauważyli, tak bardzo byli sobą zajęci...

Zrozumiała, że nie ma tu czego szukać. Odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do namiotu. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to jak najszybciej wyjechać.

Nie miała plecaka, więc swoje rzeczy z motocyklowych juków przerzuciła po prostu do reklamówek i ruszyła w kierunku miasteczka. Borys co prawda dogonił ją po drodze i próbował zatrzymać, ale wspomnienie jego dłoni na pośladku Kingi pomogło jej zachować zdrowy rozsądek. Zostawiła wściekłego Borysa na plaży, a sama, marznąc, przeczekała na przystanku autobusowym do pierwszego porannego autobusu do Gdańska.

Jadąc pociągiem do Warszawy powtarzała sobie, że podjęła jedyną możliwą decyzję i że Borys to dupek. Potwierdzeniem tej tezy miały być głupoty, które usłyszała z jego ust, kiedy się rozstali. Chyba chciał ją poniżyć, bo wykrzykiwał za nią na całe gardło, że był z nią tylko dla pieniędzy. Jakich pieniędzy, myślała z zażenowaniem? O czym on bredził?

Przez całą drogę z Gdańska nie uroniła za nim ani jednej łzy.

Dopiero teraz, kiedy znalazła się sama w pustym mieszkaniu, rozkleiła się zupełnie. Usiadła na podłodze w przedpokoju, oparła plecami o szafkę na buty i zaczęła regularnie ryczeć.

Tę miłą masochistyczną czynność przerwał jej dźwięk telefonu komórkowego, dochodzący z... przez chwilę nie bardzo mogła ustalić, skąd. Dopiero po chwili, tknięta przeczuciem, podniosła się i z pewnym wysiłkiem odsunęła od ściany dużą, brzuchatą komodę po babci, która stała obok wieszaka na ubrania. Faktycznie, wśród kłębow kurzu i przeróżnych farfocli leżała jej nokia.

Monika schyliła się po telefon, który w międzyczasie przestał dzwonić. Wzięła aparat w dwa palce i poszła przetrzeć go do kuchni. Kiedy był już czysty, sprawdziła nieodebrane

połączenia. Osiem?! W dodatku wszystkie od Beaty. Pewnie coś ze Zbyszkim, pomyślała, i w tym momencie telefon zadzwonił ponownie. Poczta. „Masz 4 nagrane wiadomości”, odezwał się bezosobowy głos. „Jeżeli chcesz odsłuchać, naciśnij jeden”... Więc nacisnęła i poszła do pokoju włączyć komputer, bo przypomniało jej się, że ma przecież w poczcie mejla od pani detektyw.

Pierwsza wiadomość była od Beatki. Monika aż przysiadła, słysząc przerażające słowa przyjaciółki. Nie, to niemożliwe, pomyślała w panice, przechodząc do odsłuchania następnej. Ona się wygłupia! Założyła się z kimś albo mnie wkręcają...

Ale to, co dalej mówiła Beata, nie świadczyło o tym, że żartuje.

Przez ten czas komputer się załadował i Monika automatycznie uruchomiła Internet, a potem kliknęła ikonę poczty elektronicznej, jednocześnie odsłuchując kolejną wiadomość. O Boże, jęknęła, biedna Becia...

Na ekranie pojawiła się lista ostatnich dziesięciu otrzymanych mejli, z których tylko jeden był nie - przeczytany. Mejl z agencji detektywistycznej.

Bez zastanowienia kliknęła „otwórz”. Przed jej oczami pojawił się najpierw dokument tekstowy. Raport. Automatycznie zaczęła czytać, a jej oczy powoli robiły się jak spodki... Drżącymi palcami wybrała numer przyjaciółki.

- Beata? Odebrałam twoje wiadomości...

- O Boże, nareszcie! - jęknęła Beata w telefon. - Co się z tobą działo? Dlaczego nie oddzwoniłaś?

- Byłam na wyjeździe, zapomniałam komórki. Co z Jędrkiem? Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza.

- Ciągle nic - odpowiedziała w końcu cicho Beata. - Ja... ja... ja się... boję nawet myśleć... urwał nam się ostatni ślad. Nie mamy już żadnego punktu zaczepienia. Nie mamy nic. Nic...

Beata urwała i słychać było jak cicho płacze.

- Becia... kochana... proszę, nie płacz...wszystko będzie dobrze... zobaczysz. Słuchaj, ja mam ślad! Nie będę ci wszystkiego tłumaczyć, ale koniecznie powiedz policji, żeby sprawdzili niejakiego... - nachyliła się do ekranu komputera - Dębickiego. To prywatny detektyw. Adres ci prześlę zaraz

esemesem. On... on obserwował wasz dom - Monika, prowadząc rozmowę, klikała na kolejne zdjęcia umieszczone w raporcie. - Jestem pewna, że on musi mieć coś wspólnego z porwaniem!

- O Boże... Jak to? - w głosie Beaty było zdziwienie i niedowierzenie. - Prywatny detektyw?

- Opowiem ci wszystko, jak się zobaczymy. Zaraz do was jadę!

- Ale my jesteśmy... - Beata mówiła coraz ciszej, jakby zaraz miała zamiar zemdleć. - Jesteśmy... w szpitalu na Banacha...

- Gdzie?! - Monika pomyślała, że nie zniesie już więcej strasznych wiadomości. - Co robicie w szpitalu?!

- Bo... bo... znaleźli Zbyszka. Jest nieprzytomny...

- Jasna cholera! Już jadę!



## ROZDZIAŁ 54

### i wszystko staje się jasne

Czekali we trójkę pod pokojem lekarskim na wiadomości o Zbyszku.

- Państwo są rodziną pana Wierzbickiego? Lekarz, który stanął przed nimi, był blady i miał podkrążone oczy. Monika pomyślała, że wygląda tak, jakby sam potrzebował pomocy.

- Jesteśmy przyjaciółmi - odpowiedział Andrzej. - Co z nim?

- Uraz czaszki. Stan stabilny. Wyjdzie z tego.

- Możemy go zobaczyć?

- Dzisiaj nie. Proszę przyjść jutro. Może odzyska przytomność.

I odszedł.

Monika pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Jak to się stało? Skąd Zbyszek w mieszkaniu Beckera?

W tym momencie zadzwonił telefon Andrzeja.

- Stokowski... Tak, pani komisarz... - Dziewczyny obserwowały w napięciu jego wyraz twarzy. On ściągnął brwi i słuchał w skupieniu. - Rozumiem... Dobrze, czekamy...

Rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

- To Pędzicka - wyjaśnił dziewczynom. - Znaleźli tego detektywa, który obserwował nasz dom.

- I co?

- Trop prowadzi donikąd. Facet wykonywał zlecenie, ale o kliencie nic nie wie. Podał tylko rysopis:

wysoki, szatyn, drogi garnitur, złoty rolex, sygnet z wizerunkiem ptaka, lekki obcy akcent...

- Co powiedziałeś? - przerwała mu Beata. -

O tym sygnecie?

Monika zauważyła, że przyjaciółka zbladła.

- No, że miał złoty sygnet z wizerunkiem ptaka, pawia, zdaje się.

Beata objęła się rękami, jakby jej było zimno.

I rzeczywiście drżała.

- O Boże! - szepnęła. - Niemożliwe! To on!

Zapadał zmierzch. Wysiadły z taksówki przed zaniedbanym, niegdyś żółtym, parterowym domem. Beata poprosiła kierowcę, żeby zaczekał, i podeszły powoli do drzwi, z których odchodziła płatami brązowa olejna farba.

- To tutaj... - powiedziała Monika. - Pukamy? Beata nie odpowiedziała.

Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w leżącą w dawno niekoszonej, poprzerastanej chwastami trawie żółtą, plastikową łopatkę.

- Patrz! - wyszeptwała.

Pomysł przyjazdu do tej niewielkiej, kaszubskiej wioski, zrodził się zaledwie kilka godzin temu. Kiedy Beata zadzwoniła do komisarz Pędzickiej, żeby jej przekazać swoje podejrzenia co do osoby porywacza, policjantka nie potraktowała jej zbyt poważnie.

- Pani Beato... ja wiem, że pani bardzo to wszystko przeżywa i chwytą się każdej szansy, żeby znaleźć syna, ale to nie może być realny trop. Musimy się trzymać faktów. Teraz jesteśmy na etapie badania śladów z apartamentu Beckera. Jak tylko będę coś wiedzieć, dam znać.

Niestety, Beata nie miała żadnych argumentów, żeby ją przekonać. Żadnych, poza własną intuicją.

- Becia! Musimy coś zrobić - oświadczyła Monika, której ten nieprawdopodobny wręcz pomysł Beaty zupełnie nie zdziwił.

Wyszły właśnie ze szpitala, gdzie leżał Zbyszek, i zatrzymały na chwilę przed głównym wejściem czekając, aż Andrzej podprowadzi samochód.

- Jeżeli... jeżeli to rzeczywiście on - zaczęła Beata

- to gdzie może teraz być? Gdzie zabrał Jędrka?

- Wiesz co... - na twarzy Moniki pojawiło się skupienie. - Chyba jest takie miejsce...

I kiedy Andrzej podjechał, żeby je zabrać, dowiedział się, że zamiast do domu, ma je zawieźć prosto na lotnisko.

Teraz, po krótkiej, ale męczącej psychicznie podróży, stanęły u

celu. Monika wzięła głęboki oddech i zapukała do drzwi. Przez chwilę nie było słycać nic poza szczekaniem psa na sąsiedniej posesji, i Monika przypomniała sobie, jak trzy lata temu stała w tym samym miejscu, przed tymi samymi drzwiami, i tak jak teraz nasłuchiwała, czy ktoś się pojawi. Nawet zdenerwowana była podobnie. Z wnętrza dobiegło ciche skrzywienie podłogi, jak wtedy, przed laty.

Monika i Beata wstrzymały oddechy.

- Tak...? - w uchylonych drzwiach pojawiła się blada, zmęczona twarz starszej kobiety. Jej głos nie brzmiał zachęcająco. - O co chodzi?

- Gdzie on jest?! - Beata była na granicy hysterii.

- Czy pani wie, gdzie on jest?

Kobieta zeszytniała, a w jej oczach pojawił się strach.

Beata przysunęła się bliżej. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała złapać kobietę za ramiona i gwałtownie potrząsnąć, jednak w ostatniej chwili się powstrzymała.

- Gdzie Paweł?! Gdzie ten drań?!

Starsza kobieta patrzyła przez chwilę na Beatę, jakby się nad czymś zastanawiając, strach w jej oczach ustąpił miejsca smutkowi. W końcu zrobiła krok do tyłu i bez słowa otworzyła szerzej drzwi.

Wprowadziła je do ciemnego, zabałaganione - go pokoju, który sprawiał przygnębiające wrażenie, i stanęła przy stole, opierając o laskę.

- Wyjechał jakieś dwie godziny temu - powiedziała cicho. - Razem z dzieckiem.

Beata chwyciła kobietę za rękę i ścisnęła kurczowo.

- Dokąd on zabrał Jędrka?! Dokąd? Kobieta pokręciła przecząco głową.

- Przecież mi nie powiedział. Wyjechał i tyle... Beata skuliła się, jakby ją ktoś uderzył w brzuch, a po policzkach popłynęły jej łzy.

Przez chwilę wydawało się, że starsza pani po - głaszcze Beatę po głowie, ale nie zrobiła tego, tylko podeszła do krzesła i usiadła ciężko.

- Paweł przyjechał wczoraj - zaczęła. - Powiedział, że chce mi

pokazać wnuka.

Monika nabrała haust powietrza.

- Wnuka? To Jędrrek jest dzieckiem Pawła? Przyjaciółka przytaknęła tylko milcząco głową.

W jej oczach czaił się wielki smutek.

- O Boże, Beata! A Andrzej? Dlaczego pozwoliłaś mu myśleć, że Jędrrek to jego dziecko?

- Tak było lepiej dla nas wszystkich. Zresztą... i tak nie zrozumiesz.

Starsza pani uśmiechnęła się do Beaty.

- Taki śliczny, uśmiechnięty chłopaczek! A Paweł zupełnie oszalał na jego punkcie. Nawet myślałam, że skoro go przywiózł, to zostaną na dłużej, ale nie. Dziś nagle zdecydował, że jadą dalej. Chciał mnie ze sobą zabrać, ale ja go znam. Wiedziałam, że będą kłopoty. Zresztą jestem już za stara, żeby zaczynać nowe życie.

- Na pewno pani nie wie, dokąd wyjechał? - tym razem odezwała się Monika.

- On chyba nie chciał, żebym wiedziała. Kiedy rozmawiał przez telefon, zawsze wychodził gdzieś dalej. Tak, żebym nie usłyszała. Chociaż ja przecież ani słowa po niemiecku nie znam...

Monika objęła Beatę i przytuliła.

- Kochanie, uspokój się, proszę...

Kiedy Beata przestała w końcu płakać, Monika pociągnęła ją w kierunku wyjścia.

- Nie będziemy dłużej pani zawracać głowy... Do widzenia - pożegnała się, i nagle coś ją tknęło.

- Mówiła pani, że syn mówił po niemiecku? Kobieta przytaknęła.

Monika odwróciła się gwałtownie do przyjaciółki.

- Bacia! Przecież on na pewno chce go wywieźć za granicę! Jadą do Niemiec! Trzeba szybko dzwonić do Pędzickiej, może im się jeszcze uda go zatrzymać!

## ROZDZIAŁ 55

### czyli o tym, że nawet drań ma czasem serce

Prowadził wyjątkowo ostrożnie. Nie mógł ryzykować, że teraz przed samą granicą, pod byle pretekstem zatrzyma go policja. We wstecznym lusterku cały czas widział szare sportowe audi. Dla jadącego za nim Beckera przygoda z Polską również miała się ku końcowi. Jeszcze kwadrans i znajdą się po niemieckiej stronie.

Taki krótki wypad do kraju, a jaki owocny. Pewnie dlatego, że tak dobrze wszystko przemyślał. I dobrał odpowiednich ludzi do pomocy. Becker, którego wynajął w bardzo konkretnym celu, wywiązał się ze swojego zadania idealnie. Pawbud jeszcze długo będzie dochodził do siebie po krótkiej, ale intensywnej działalności nowego dyrektora. Pani prezes również.

Odetchnął głęboko. Musiał przyznać, że był zadowolony. Cholernie zadowolony. Miał przyjemne poczucie satysfakcji i świadomość, że wreszcie wyrównał rachunki. I zamknął pewien rozdział swojego życia.

Rzucił okiem na tylne siedzenie, gdzie przypięty w samochodowym foteliku spał jego syn, i uśmiechnął się pod nosem. Planując to wszystko, nie przypuszczał, że czeka tu na niego aż taka niespodzianka. Krew z krwi, kość z kości... Wyciągnął rękę za siebie i musnął palcami małe, ciepłe kolanko.

Nie pozwoli, żeby ich ktoś znowu rozdzielił.

„Granica 5 kilometrów”... No proszę, nawet polityka pomagała mu realizować marzenia. Przecież gdyby nie traktat z Schengen, wywiezienie dziecka z kraju nie byłoby takie łatwe.

W pamięci analizował wydarzenia ostatnich dni. Wszystko poszło gładko, tak jak się spodziewał, a jedno jedyne poważne potknięcie, czyli przypadkowe spotkanie na ulicy starego znajomego, Nowickie - go, który go rozpoznał i mógł wsypać, też udało mu się rozegrać na swoją korzyść. Wystarczyło go

zabić na budowie, przy okazji robiąc tym smród wokół firmy, a przede wszystkim wokół Wierzbickiego.

No, najadłeś się strachu, ty pierdoło, pomyślał z satysfakcją o Zbyszku. Wiałeś, aż się kurzyło. Głupi byłeś, naiwny jak zawsze. Przecież na działkę do twojej córki trafiliśmy jak po sznurku. Becker od razu chciał cię stuknąć, ale kazałem, żeby cię przywiózł do mnie. To ja chciałem mieć tę frajdę. Zdradziłeś mnie. A ja nie zapominam.

Przypomniał sobie wzrok Wierzbickiego, kiedy stał nad nim z pistoletem wycelowanym w jego głowę. Zbyszek klęczał na podłodze w łazience wynajętego mieszkania i miał w oczach takie przerażenie, że dla tej chwili warto było czekać długie trzy lata...

Nie rozumiał, dlaczego nie nacisnął wtedy spustu. Dał tylko znak Beckerowi, a kiedy się odwrócił, usłyszał jęk i głuchy łoskot upadającego ciała.

Jeżeli nawet przeżyje, pomyślał wtedy, do końca życia będzie się bał, że wróć.

Ale on nie zamierzał wracać. Nigdy więcej. Już nie. Zaspokoił swoje pragnienie zemsty. Sprawił, że kobieta, przez którą cierpiał, teraz cierpiała sto razy mocniej. I będzie cierpiała do końca życia, każdego dnia, każdej minuty, kiedy jej myśli powędrują do dziecka, którego przy niej nie będzie.

Swoją drogą nie przypuszczał, że Beata tak łatwo da się omotać, że nie zauważy misternie tkanej wokół siebie sieci. Wystarczył jeden anonim, żeby zburzyć jej zaufanie do męża. Jedno podejrzenie, żeby zwolniła niańkę. Jeden dyskretny ruch, żeby przyjęła nową, którą jej podsunął. Miał ją w garści i wykorzystał to, jak mógł najlepiej. Teraz została z niczym, napiętnowana na resztę życia. Nie będzie miała sił i ochoty cieszyć się z czegokolwiek, a już na pewno nie z pieniędzy, które mu ukradła.

Samochód jadący przed nim zaczął zwalniać. Nie zaniepokoiło go to. Choć ostatni odcinek E28 przed Kołbaskowem był idealnie prosty i spokojnie można było na nim rozwijać dopuszczalną prędkość, wielu kierowców odruchowo zwalniało przed granicą.

Nie chciał wyprzedzać, więc również zwolnił. Prędkościomierz pokazał osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Potem sześćdziesiąt, i wciąż opadał.

Co jest, do cholery? Zdziwiony zauważył ciąg czerwonych wstecznych świateł przed sobą. Jedno zwalniające auto nie dziwiło, ale długi sznur jadących wolno pojazdów? Nie, zdecydowanie przestało mu się to podobać. Zmrużył oczy, próbując dostrzec więcej w ciemnościach przed sobą. Coś mignęło w miejscu, gdzie kiedyś były szlabany...

Cholera jasna! Niebieskie pulsujące światło! Policja!

Odruchowo zwolnił jeszcze bardziej, analizując jednocześnie sytuację. Najprościej byłoby zjechać z autostrady w bok, ale wiedział, że na odcinku do granicy jedyne zjazdy z trasy prowadziły na parkingi dla tirów. Żadnej drogi, którą mogliby uciec.

Chwycił komórkę ze stojaka i nacisnął „1”. Becker zgłosił się po drugim sygnale.

- Gliny - rzucił krótko. - Trzymaj się mnie.

Z całej siły nacisnął hamulce, przekręcając jednocześnie kierownicę w lewo. Auto zatańczyło na asfalcie, przeleciało przez pas zieleni i wpasowało między dwa samochody jadące od strony Niemiec. Rozległ się pisk opon i klakson. Po chwili to samo powtórzyło się, kiedy audi Beckera zmieniło kierunek jazdy.

Przez chwilę myślał, że im się udało. Ale nagle we wstecznym lusterku zobaczył migającego koguta. Zrozumiał, że czekali na nich nie tylko na granicy.

- K...amać!!!

Prawdopodobnie radiowozy z wyłączonymi światłami stały również na parkingach po obu stronach autostrady. Nacisnął mocniej pedał gazu, ale bał się szarżować. Obecność dziecka krępowała jego ruchy. Swoim życiem mógł ryzykować, jego - nie.

Policyjne auto trzymało się ciągle w tej samej odległości, ale zdawał sobie sprawę, że autostradą od strony Szczecina prawdopodobnie pędzą mu na spotkanie kolejne. Jediną szansą na ucieczkę było znaleźć zjazd.

I znalazł. Kiedy tylko zauważył znak informujący o bezkolizyjnym skrzyżowaniu, dał znak światłami jadącemu ciągle za nim Beckerowi. Skręcając w prawo zauważył kątem oka jeszcze dwa niebieskie koguty migające za sobą. Robiło się gorąco.

Droga biegła teraz zakosami przez las. Jej nawierzchnia była w fatalnym stanie.

Zbliżając się do ostrego zakrętu zwolnił, i nagle tuż przed nim wyrosły dwa policyjne auta zaparkowane po obu stronach drogi. To mogło oznaczać tylko jedno - kolczatkę.

Nie było już czasu na nic. Samochód z ogromnym impetem wpadł na kolce. Rozległ się najpierw odgłos uderzenia, a potem głuchy stukot obręczy o podłoże. Znowu gwałtownie skręcił kierownicą, wprowadzając auto poślizgiem prosto w przecinkę, która jak na zawołanie otworzyła się przed nim po lewej stronie. Samochód trząsał się niemilosiernie, ale mimo to posuwał do przodu.

Dziecko na tylnym siedzeniu obudziło się i zaniósło płaczem.

We wstecznym lusterku zauważył, że Becker również wpakował się na kolczatkę. Szare audi obróciło się o 180 stopni i zatrzymało. Zaklął ponownie. Czy to możliwe, żeby jego perfekcyjny plan się nie sprawdził? Co zawiodło? Który element?

Skręcił jeszcze raz kierownicą i wbił samochód w gęste, leszczynowe krzewy, które zatrzymały auto. W pierwszym odruchu sięgnął po synka, żeby go wyjąć z fotelika, ale kiedy spojrział w jego zapłakane oczka, zrozumiał, że nie może wziąć go ze sobą. Miał szansę, żeby uciec. Niewielką, ale jednak. Z dzieckiem ta szansa zmalałaby do zera. Poza tym nie chciał ryzykować jego życiem. Mały zbyt wiele dla niego znaczył.

- Muszę cię teraz zostawić. Ale wrócę po ciebie. Wrócę, słyszysz? - Poglaskał jeszcze synka dłonią po policzku, wyskoczył z auta i zanurzył w ciemność lasu.



## ROZDZIAŁ 56

### żywcem wyjęty z filmów akcji

- Jest Andrzej! I Pędzicka! - poinformowała Monika przyjaciółkę, która pochyliła się właśnie, żeby wziąć na ręce Jędrka.

Chłopczyk, wyspany po nocy spędzonej w hotelu w Szczecinie, lot samolotem potraktował jako atrakcję życia i teraz buzia mu się nie zamykała. Cały czas nadawał coś po swojemu i próbował wydostać z nad - opiekuńczych ramion matki.

- Syneczku, zobacz, tata! - Beata pokazała dziecku wysoką sylwetkę Andrzeja, machającego od strony drzwi do terminalu. Patrzyła z uśmiechem, jak buzia malca rozjaśnia się, a w oczach zapalają radosne ogniki.

- Tata! - krzyknął na cały głos. - Tata!

Beata padła mężowi w ramiona, a Jędrak objął ojca za szyję.

- Jest moja dzielna, kochana żona - szepnął Andrzej Beacie do ucha. - Odzyskałaś naszego synka...

Beata spojrzała na niego z miłością i... niepokojem.

- Ty już wiesz, prawda? - spytała cicho.

- Co wiem? - zdziwił się Andrzej. - Że udało mu się uciec?

- Nieee - pokręciła głową Beata. - To, że Paweł jest ojcem Jędrka.

Andrzej uśmiechnął się i pocałował ją delikatnie w czoło.

- Zawsze wiedziałem - powiedział cicho. - Ale to nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

- Muszę pani, właściwie paniom, pogratulować

- Pędzicka sprawnie wepchnęła się między nich i uściśnęła mocno Beatę. - Jednak miały panie rację - Andrzej wyjął Małego z ramion Beaty i ruszył powoli w kierunku parkingu.

- Chodźcie, chodźcie, nie stójmy tak tutaj.

- A jak Zbyszek? - spytała pozornie lekkim głosem Monika.

Andrzej i Beata wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Całkiem nieźle. Pytał o ciebie... Monika klasycznie się

zaczerwieniła.

Beata już chciała pociągnąć temat, ale w porę przypomniała sobie o obecności Pędzickiej.

- Wpadnij do niego w wolnej chwili... Zatrzymali się przed samochodem Andrzeja.

- A właśnie... - Andrzej postawił Jędrka na ziemi.

- Ja powinienem jeszcze podjechać do centrum odebrać szczepionki.

- Oj - westchnęła Beata. - Ja ledwo żyję... Musisz naprawdę?

- To może ja panią odwiozę do domu? - zaproponowała Pędzicka. - I tak chciałam jechać do państwa, porozmawiać, a tak pogadamy po drodze.

- Świetnie! - ucieszył się Andrzej. - To jedźcie, ja będę najdalej za godzinę. Monika, wsiadaj, podrzucę cię na tramwaj.

- Przytulił żonę i pocałował Jędrka w kolano. - Tylko dam wam fotelik...

- Dziękuję, pani komisarz. Nie tylko za podwiezienie - Beata ostrożnie odpięła fotelik i wyjęła go z samochodu razem ze śpiącym jak kamień Jędrkiem. - Nie wejdzie pani na chwilę?

- Nie mogę! - komisarz wrzuciła jedynekę. - Muszę się przygotować do przesłuchania Beckera, już go do nas wiozą. Szkoda, że ten drugi uciekł... Ale proszę się nie martwić, złapiemy go.

Beata pokręciła głową.

- Najważniejsze, że Jędrus cały i zdrowy - stwierdziła stanowczo. - Reszta się nie liczy.

Pędzicka pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Ma pani rację! Do widzenia!

Beata poprawiła uchwyt fotelika i uciszając skomlące w kojcu psy weszła do domu.

Kiedy znalazła się w środku, odetchnęła głęboko chłodnym powietrzem i poczuła cudowną ulgę, że ma już to wszystko za sobą. Ostrożnie zaniósła Małego na górę. W dzieciennym pokoju powitały ich te same co zwykle pluszaki i rozsypane na kolorowej tapecie misie. Beata, wiedząc z doświadczenia, że Mały, wyjmowany z fotelika choćby najdelikatniej, i tak zawsze się budził, wstawiła fotelik razem z nim do łóżeczka.

- Śpij, kochanie, śpij... - szepnęła, pogłaskała dziecko po główce i wyprostowała się z uśmiechem. Miała straszną, ale to straszną ochotę na kawę...

Ekspres w końcu przestał bulgotać i ostatnie krople czarnej, aromatycznej cieczy spłynęły do filizanki. Beata postawiła ją delikatnie na tacy, obok cukierniczki i paczki ciasteczek maślanych wyłowionych ze spiżarni, i poszła z tym wszystkim na kanapę, odpocząć chwilę, zanim Jędrzek wstanie.

W salonie panował półmrok. Ciężkie, aksamitne story hamowały dostęp światła. Widocznie Andrzej, wychodząc rano do kliniki, zapomniał je odsłonić. Beata odstawiła tacę na stół, podeszła do okna i jednym ruchem odciągnęła zasłonę. Do pokoju wtargnęło ostre słoneczne światło. Zmrużyła oczy i wtedy zobaczyła, że po drugiej stronie szyby, dokładnie naprzeciwko niej, ktoś stoi.

Zasłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

To był on! Paweł! Stał na tarasie w podartej koszuli i zabłoconych dżinsach, i przez szybę mierzył do niej z pistoletu. Zamarła, wpatrując się jak zahipnotyzowana w jego oczy. Po chwili, która wydawała się Beacie wiecznością, Paweł ruchem głowy wskazał drzwi tarasowe.

- Otwieraj! - rozkazał.

To był impuls. Wyciągnęła rękę, ale zamiast na klamce, zacisnęła palce na zasłonie i błyskawicznym ruchem zaciągnęła z powrotem gruby materiał.

Puściła się biegiem w kierunku holu. Kiedy dopadła do schodów, rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Paweł wybił szybę ramieniem i wpadł do środka, zrywając zasłonę razem z karniszem.

Przerażona, potknęła się o stopień i o mało nie przewróciła.

Paweł ruszył za nią.

Beata wbiegła po schodach na górę, wpadła do dziecinnego pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. Oparła się o nie, ciężko dysząc, ale zanim zdążyła zrobić cokolwiek, Paweł z całej siły uderzył w nie od drugiej strony, odrzucając Beatę na przeciwległą ścianę.

- Honey, Tra homel - powiedział z demonicznym uśmiechem

na przystojnej twarzy.

Siedziała skulona na podłodze i, drżąc na całym ciele, wpatrywała w lufę pistoletu, wycelowanego w swoje czoło. Po policzkach płynęły jej łzy.

- Cieszysz się, że wróciłem? - zaczął cichym głosem, podchodząc bliżej - No powiedz, że się cieszysz...

Ukucnął przy niej, wyciągnął lewą rękę i złapał ją brutalnie pod brodę... Beata próbowała się odsunąć, ale za plecami miała ścianę.

- Nie pamiętasz, jak nam było dobrze razem? Możemy to powtórzyć... ptaszku...

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Nie, to nie.

Przysunął pistolet do jej twarzy. Beata poczuła na skroni chłodny dotyk metalu...

- Dlaczego? - wyszeptwała, połykając łzy. - Dlaczego?

Podniósł się i podszedł do łóżeczka. Jędrzek ciągle spał, umoszczony w foteliku.

- Nie rozumiesz? Człowiek musi mieć jakiś cel w życiu. Ja od trzech lat marzyłem tylko o tym, żeby wyrównać z tobą rachunki. Zabrałaś mi wszystko...

Beata płacząc wyjąkała:

- Powiedzieli mi, że nie żyjesz! Ten wypadek... Paweł wyciągnął rękę i pogłaskał śpiącego Jędrka po włosach. Na małym palcu lewej ręki zalśnił złoty sygnet ze stylizowanym pawiem.

- Ludzie są strasznie pazerni... Dałem samochód jakiemuś bezdomnemu... A ten debil wsiadł i pojechał, nawet nie sprawdził, czy są sprawne hamulce...

Chwycił pałąk fotelika i wyjął go z łóżeczka. Dziecko przeciągnęło się, ale nie obudziło. Paweł ruszył w stronę drzwi. Nagle zatrzymał się, zawrócił i stanął znowu nad Beatą.

- Wtedy, w Chorwacji, mogłem cię zabić. Nie wiem, co mnie powstrzymało. Ale dzięki temu mam jego - przysunął fotelik w stronę Beaty, a kiedy nachyliła się, żeby dotknąć dziecko, odsunął się krok do tyłu, odstawił fotelik na podłogę, ujął pistolet w obie dłonie i uniósł na wysokość jej głowy. - Nie potrzebujemy towarzystwa. Żegnaj.

- Rzuć broń!

W drzwiach stała komisarz Pędzicka z bronią gotową do strzału.

- Już!

Paweł powoli opuścił rękę z pistoletem i, ciągle stojąc tyłem do policjantki, zaśmiał się ironicznie.

- Odsiecz? Tak szybko?

- Nie trzeba było zostawiać na widoku kradzionego samochodu ze szczecińską rejestracją - wyjaśniła spokojnie Pędzicka. - Rzuć broń, ale już!

Paweł napiął mięśnie, odwrócił się błyskawicznie i wycelował w policjantkę. Huknął strzał.

## EPILOG

W niedzielne popołudnie korytarze Szpitala Klinicznego przy Banacha były puste i ciche. Monika szła wzdłuż długiego rzędu drzwi, szukając separatki, do której przeniesiono Zbyszka z oddziału intensywnej terapii. Numer 26... o, jest! Zatrzymała się, poprawiła włosy, zapukała delikatnie i nie czekając na odpowiedź zajrzała do środka...

Na łóżku obstawionym jakąś skomplikowaną aparaturą medyczną, leżał Zbyszek. Miał zamknięte oczy. Chyba spał... Nieśmiało podeszła bliżej i popatrzyła na niego z troską. Oddychał równo, ale był bardzo blady, a pod oczami rysowały się głębokie cienie. Biedny... Z wahaniem wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała jego dłoń, leżącą na kołdrze. Ten dotyk sprawił, że poczuła nagły przypływ czułości i tęsknoty.

Tak mało brakowało, a straciła by go na zawsze. I dopiero dramatyczne wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że zrozumiała, jak bardzo ciągle go kocha.

Jak mogła być taka głupia? Jak mogła od niego odejść? Jak mogła wpakować się w tę całą niesmaczną aferę z Borysem? Czy Zbyszek będzie umiał jej wybaczyć?

Przysiadła na brzegu łóżka. Zbyszek poruszył się, westchnął i powoli podniósł zapuchnięte powieki.

- Monika...

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko uśmiechnęła się do niego.

W jego szarych oczach pojawił się ciepły błysk.

- Przyszłaś... jak dobrze...

Przesunął rękę po kołdrze w jej kierunku. Nakryła ją swoją dłonią i uśmiechnęła się do niego. Przez chwilę nic nie mówili.

- Martwiłyśmy się o ciebie - odezwała się w końcu, używając bezpiecznej formy liczby mnogiej. - Zniknąłeś tak nagle.

- Musiałem - miał jeszcze bardzo słaby głos. - Bałem się, że mnie zabije.

Monika bezwiednie zacisnęła palce na dłoni Zbyszka.

- Paweł?

Powoli skinął głową.

- Muszę się napić...

Podniosła mu odrobinę poduszkę, pomogła wygodniej usiąść i podała butelkę wody ze słomką. Zbyszek wziął kilka łyków, po czym już mocniejszym głosem zaczął mówić dalej:

- Tamtego wieczoru, kiedy zginął Nowicki... Upiłem się i zaczęło mnie nosić. Wyszedłem z biura, łąziłem po budowie. Nagle pod nogi spadł mi człowiek. Szok. Wytrzeźwiałem w moment. Patrzę w górę, a tam Paweł... Musiał go zepchnąć. Pamiętam te jego oczy, zimne, straszne. Pomyślałem, że to niemożliwe, bo przecież on nie żyje... I wtedy się zaśmiał i krzyknął do kogoś: Łap go! I już wiedziałem, że to nie duch...

Opadł na poduszki, zmęczony emocjami, które odżyły. Zamknął oczy i przez chwilę szybko oddychał.

- Zacząłem uciekać. Byłem przerażony. Zabrałem trochę rzeczy z biura i pojechałem na działkę do Krysi. To były najgorsze trzy dni w moim życiu. Zgubiłem gdzieś komórkę... nie wiedziałem co robić. Jak wyszedłem raz do wsi, do automatu, to wydawało mi się, że ktoś za mną idzie...

- To wtedy, kiedy przede mną uciekałeś?

- Nie wiedziałem, że to byłaś ty... Pociągnął kilka łyków z butelki.

- A policja? Dlaczego nie poszedłeś na policję?

- Co miałem im powiedzieć? Że Nowickiego zabiłem nie ja, tylko duch faceta, który nie żyje od trzech lat? Ty byś uwierzyła w takie bzdury?

Monika odchrząknęła.

- No nie... Zresztą myśmy się faktycznie denerwowały z Beatą, że coś nabroiliśmy. Ta karteczka z pogrózkami u ciebie w pokoju...

- Jaka karteczka...?

Monika odszukała w kieszeni dzinsów sfatygowany arkusik i podała Zbyszkowi.

- Wyrwana z twojego kalendarza...

Zbyszek obejrzał ją uważnie i na jego twarzy pojawił się uśmiech zawstydzenia.

- Musiałem być pijany, jak to pisałem.

- Naprawdę chciałeś kogoś zabić? - Tak...

Przez chwilę milczeli, patrząc sobie w oczy.

- Kogo? - szepnęła Monika.

- Tego dupka, który mi ciebie zabrał. Monika poczuła, że się rumieni.

- Wiesz, że to nie tak... Zresztą z nim już skończone... - I żeby zmienić niewygodny temat, spytała: - A jak się znalazłeś w apartamencie Beckera? Znaczą Pawła?

- Becker mnie znalazł. Dopadł mnie na działce. Próbowałem się bronić, ale ogłuszył mnie i zabrał ze sobą. Paweł chciał mnie wykończyć osobiście. Powiedział, że wtedy, trzy lata temu, zdradziłem go, a on nigdy nie wybacza zdrady. Ale w końcu nie strzelił. Nie wiem, dlaczego. Zwłaszcza, że tyle o nich wiedziałem... Dostałem w głowę i ocknąłem dopiero tutaj, w szpitalu.

- Ale mogłeś się nie ocknąć - powiedziała cicho Monika. - Nie wiem, co ja bym wtedy zrobiła... - dodała jeszcze ciszej, ale Zbyszek usłyszał.

- Moniś, kochana moja... - zaczął, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju bez żadnego skrepowania wpakowała się komisarz Pędzicka, a zaraz za nią Beata i Andrzej z ogromnym bukietem kwiatów. Monika aż podskoczyła, odsuwając się od Zbyszka jak najdalej.

- Jak zdrówko? - zagrmiał Andrzej. - Wracaj, chłopie, do formy, bo nam się dziewczyna zamartwia.

Purpurowy rumieniec ogarnął nie tylko twarz Moniki, ale również jej dekolt, co zauważyli wszyscy obecni w pokoju, ze Zbyszkiem na czele.

- Przecież do szpitala nie wolno przynosić kwiatów - odpowiedziała zaczepką na zaczepkę.

- No nie wolno. Ale jesteśmy w asyście policyjnej...

Pędzicka roześmiała się i pogroziła Andrzejowi palcem.

- Mnie proszę do tego nie mieszać. Wpadłam tylko powiedzieć panu Zbyszowski, że już przestał być naszym głównym podejrzanym o zamordowanie No - wickiego. Becker zaczął sypać... Jak wreszcie złapiemy Jabłońskiego, to pójdzie siedzieć na sto lat.

Zbyszek uniósł się na łokciach.



- Jak to złapiecie?! To on nie siedzi?! Pędzicka z Beatą wymieniły szybkie spojrzenia.

- Nie. A już prawie go miałam... - przez twarz policjantki przebiegł grymas złości. - Strzelił do mnie... Nie trafił, ale uciec mu się udało.

Zbyszek westchnął i opadł na poduszki.

- Wypuściliśmy za nim oczywiście list gończy - kontynuowała Pędzicka - ale ludzie jego pokroju mają w zanadru tyle tożsamości... Na pewno już dawno przekroczył granicę.

Zapadło ciężkie milczenie.

- Pani komisarz, a co powiedział Becker? - zagadnęła po chwili Monika.

Pędzicka wykonała uspokajający ruch ręką.

- Dużo interesujących rzeczy... To może ja usiądę.

Andrzej podsunął jej krzesło.

- Po pierwsze, co już właściwie wiedzieliśmy wcześniej, za wszystkim stał Paweł Jabłoński. Dosłownie za wszystkim. Wynajął mieszkanie w Warszawie, zebrał ekipę... Beckera umieścił w firmie, żeby miał oko na panią Beatę i dodatkowo bruździł od środka, przecież ten drugi wypadek na budowie to też była jego robota... Wynajął detektywa, żeby zdobyć o pani jak najwięcej informacji, potem przysłał anonim, żebyście państwo zwolnili jedną niańkę, a przyjęli do pracy drugą, podstawioną przez niego... Przede wszystkim miała się upewnić, czy Jędrus jest rzeczywiście jego dzieckiem, a potem go porwać.

Beata kręciła głową z niedowierzaniem.

- Ale przecież Beckera przysłał mój wspólnik z Berlina...

- Listy były sfałszowane. To nie był dla nich żaden problem, zwłaszcza że Jabłoński miał sporą wiedzę na tematy firmowe. Wszystko przewidział, wszystkich obstawił, nawet panią Monikę...

- Monikę? - zdziwił się Andrzej. - Po co?

- Zdaje się, że poprzednio nieźle mu krwi na - psuła. Tym razem wołał, żeby się od niego trzymała z daleka. Więc jej zapewnił inne zajęcie... - komisarz uśmiechnęła się porozumiewawczo...

- Bo... Bo... Borys? - wyjąkała Monika.

- Tak. Dostał na panią zlecenie... Zbyszek o mało co nie spadł z łóżka.

- A to sukinsyn! - zaklął, wywołując ogólną konsternację i kolejny rumieniec u Moniki.

Komisarz podniosła się z krzesła i pochyliła nad chorym.

- Panie Zbyszku, muszę lecieć. Czy jeszcze coś chce pan wiedzieć?

Zbyszek przytaknął.

- Tylko jedno. Jak się zorientowaliście, że to Paweł?

- O to proszę zapytać panią Beatę... - odpowiedziała komisarz, pomachała im ręką i zniknęła za drzwiami.

Beata z poważną miną wyjaśniła.

- W rysopisie, który podał tamten detektyw, było, że jego klient miał sygnet z wizerunkiem pawia. A Paweł nosił kiedyś taki, zrobił go sobie na zamówienie.

Zbyszek zamknął na chwilę oczy.

- Rzeczywiście - powiedział cicho. - Pamiętam...

Spróbował wygodniej się położyć, ale łokieć ześliznął mu się z poduszki i Zbyszek cicho jęknął.

- Kiedy cię stąd wypuszczą? Wiesz już coś? - zainteresował się Andrzej.

- Podobno jeszcze kilka dni muszę zostać...

- Tylko ani mi się waż znowu mieszkać w biurze

- pogroziła mu palcem Beata. - Dopóki nie będziesz się czuł normalnie, weźmiemy cię do nas.

- Nie chcę wam robić kłopotu - zaprotestował.

- Naprawdę!

- I nie będziesz... - odezwała się nagle milcząca do tej pory Monika.

Zbyszek spojrzał na nią uważnie.

- Monisiu, o co chodzi?

Monika po raz trzeci oblała się szkarłatnym rumieńcem, po czym przysiadła na brzegu łóżka, wzięła go delikatnie za rękę i powiedziała.

- Zamieszkas u mnie...

## **GORĄCE PODZIĘKOWANIA**

*dla naszych rodzin i przyjaciół za niezmierzone pokłady cierpliwości, wsparcie duchowe i materialne oraz za kolacje przy świecach.*

*Madzia, Patsy, Szymek i Michał, kochamy Was!*

*Specjalne podziękowania dla Marcina Klimaszewskie - go za podsuniecie nam tytułu, a dla babci Magdy za zaplecze kulinarne i organizacyjne. Dzięki, Tato! Dzięki, Mamo!*

*Ucałowania i podziękowania dla Ani Klimaszewskiej: tak trzymaj, Mamo! Również dla Michała za wszelką pomoc organizacyjną: - )*

*Całusy dla Pedra Maciejki za wyrozumiałość dla żony, z przeprosinami za wszystkie samotne chwile i zimną zupę... Podziękowania serdeczne dla Andrzeja Ziemskiego za wyjątkowy sposób wspierania procesu twórczego!*

*Gorące podziękowania dla Zuzy za wszystko i dla Kie - rana za cierpliwość.*

*Monice R., Monice K., Majce i Łucji za to, że są od zawsze.*

*Pani Marii i panu Stanisławowi Domańskim - za wszystko.*

*Naszym recenzentom testowym: Ewie D., Joli Z., Czar - kowi, Piotrkowi i wszystkim tym, którzy*

wyrazili szczery i nieklamany zachwyt Dogrywką -  
dzięki wielkie.

Panu Andrzejowi Piotrowskiemu, Ani Szewczyk i  
innym sąsiadom bliższym i dalszym podziękowania  
za to, że zawsze można na nich polegać.

Również Eli Grzebalskiej i Pośpiechom, którzy  
potrafią jak nikt pocieszyć i nakarmić, oraz  
Rumcajsowi - on tam już sam dobrze wie, za co  
Kawiarni Mili Moi - za wyjątkową atmosferę...

Warsztatowi samochodowemu Wojciech i Piotr  
Fogiel - za niezawodną pomoc w nagłych  
przypadkach...

Ale przede wszystkim Autorki dziękują sobie  
nawzajem za to, że tyle ze sobą wytrzymały i nadal,  
ku własnemu i innych zdziwieniu, pozostają w  
przyjaźni.

Przy pracy Agnieszka wspierała się jak zwykle  
muzyką, tym razem byli to sami ulubieńcy: The Paris  
Riots, Kev Fox, Tom Jobim, Joy Division, Mike  
Patton, Carjack Mal - lone, The Cure, Fleet Foxes,  
Twilite, Meadow i wielu innych...

WYDAWNICTWO NOWY ŚWIAT

Czy istnieje recepta na szczęście? Wydawałoby się, że Beata ma wszystko – kochającego męża, ślicznego synka i własną firmę. A jednak już w pierwszym rozdziale przeżywa małżeńskie trzęsienie ziemi. Do akcji ratunkowej wkracza Monika, jej najlepsza przyjaciółka. Zajęte sprawami damsko-męskimi obie bohaterki nie zauważają, że tuż obok czai się prawdziwe niebezpieczeństwo. Pętla się zaciska...

Jak zwykle w komediowych kryminałach autorstwa duetu Gacek & Szczepańska akcja biegnie w zawrotnym tempie, a momenty sensacyjne przeplatają się z humorem.



FOT. ARTUR HOJNY

**KATARZYNA GACEK:** dziarska brunetka, żyje rytmem podmiejskim. Boczne drogi przemierza w adidasach, samochodów się już co prawda nie boi, ale nadal jej ulubionym środkiem lokomocji jest rower. Teorię zdobytą na psychologii usiłuje zamienić w praktykę hodując stadko dzieci i pisząc książki oraz scenariusze filmowe.

**AGNIESZKA SZCZEPAŃSKA:** delikatna blondynka, prowadzi z wdziękiem klasyczne city life oraz całkiem spory samochód. Z wykształcenia prawnik, z powołania artystka, rzuca się głową naprzód w różne artystyczne przedsięwzięcia, im bardziej zwariowane, tym lepiej.

Wspólny stan posiadania: jedenaście lat przyjaźni, czworo ruchliwych dzieci różnej płci i w różnym wieku, trzy psy, dwa wiecznie głodne koty, liczne grono przyjaciół oraz nieprawdopodobne ilości nowych, szalonych pomysłów :-)



WYDAWNICTWO  
NOWY ŚWIAT  
www.nowy-swiat.pl

ISBN 978-83-7386-363-1  
Cena detal. 29,90 zł



9 788373 863637

*Ali-Baba*

PATRONAT  
**merlin.pl**